



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumentie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>





K. P. 1860. Osiński

PAMIĘTNIK

HENRYKA DEMBIŃSKIEGO

JENERAŁA WOJSK POLSKICH.

Z rękopismu wydał

S. B.

POZNAŃ,

nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha.

1860.

100



K. 11

Grenadier kompanii wyborczej 5. pułku strzelców konnych wojsk Księstwa
Warszawskiego
rys. tusz. i akwar., 1912 (Muzeum WP, 4 — 7(64))



Od Wydawcy.

Pamiętnik znakomitego wojownika który ogłaszam, obejmuje wypadki jego żywota od najmłodszego wieku aż do roku 1812 włącznie.

Nie jest to pierwsze dzieło wyszłe z pod pióra tego żołnierza; wyjątek z listu generała pisanego do mnie, o dawniejszych podaje bliższą wiadomość.

„Pisma przezemnie wydane (pisze generał), są „nieliczne, pierwsze było dzieło pod tytułem: „„Mein „Feldzug nach und in Litthauen, und mein Rückzug „von Kurzany nach Warschau“, wydane w Lipsku „1832 r.; podyktowałem go doktorowi Spazierowi po „niemiecku przez ośm dni pobytu mego w Dreźnie. „Z tego dziełka jestem kontent, gdyż dusza moja, „wtedy pełna wzruszenia, lała na papier to co serce „czuło.

„Drugie ogłoszenie jest opis tego samego odwrotu „z Litwy w języku francuskim, ale z tego nie jestem



[The text in this section is extremely faint and illegible due to heavy scanning artifacts and noise. It appears to be a list or a series of entries.]



autora, mogą posłużyć za przedmowę do jego żywota.

„Od najmłodszych lat, bo od kolebki prawie cier-
 „piałem za ojczyznę jak to czytelnik w części życia
 „mojego tu opisanęj zobaczy. Służąc jój później
 „w każdej potrzebie, ile mi siły tylko pozwoliły, są-
 „dziłem że opis życia mojego nie będzie dla ziomeków
 „obojętnym. Mam nadzieję że i dalszy ciąg będę mógł
 „przed śmiercią tak wiernie opisać jakem to w dzisiej-
 „szem ogłoszeniu zrobił. Błędów których się dopu-
 „ściłem nie żałuję, niech każdy któregooby wypadki
 „w podobnym położeniu postawiły, tych unika, ale za-
 „razem niech każdy Polak nabierze przekonania, że
 „ufność w Bogu podwaja nasze siły. Ta ufność krze-
 „piła omdlewające z głodu pod Berezyną członki, i do-
 „prowadziła mnie tam gdzie ratunek niespodziewany
 „czekał. Ta ufność w późniejszych zdarzeniach życia
 „pozwoliła mi przedsięwziąć i przeprowadzić to, co
 „innym niepodobnym się zdawało; a jeżeli nie dopiął
 „celu zupełnego, główną przeszkodę znalazłem w tém,
 „że nie było Boga w sercu u tych, którzy przeważny,
 „ale nie na sumieniu oparty wpływ na wypadki wy-
 „wierali.

„Dziś świat o nas zapomnieć usiłuje, lecz od nas
 „samych zależy, aby Bóg o nas nie zapomniał. Niech
 „każdy Polak w Bogu sumiennie zaufa, niech ani oso-

„bistego wyniesienia, ani żadnej korzyści dla widoków
„swoich nie szuka, a Bóg tak niespodzianą może ze-
„słać pomoc, jak mi ją dał po gorąco odmówionej
„nad Berezyną modlitwie.“ (Paryż dnia 21. lipca
1859 r.)

Rękopism który ogłaszam był spisany ze słów
generała, powiększony jego własnoręcznymi przypi-
skami i dodatkami, przyczém autor raczył mnie wspie-
rać swojemi radami i uwagami, do których zastoso-
wałem się z największą ścisłością, układając całość
w nieprzerwany ciąg opowiadania.

Należy mi dodać, jakim przypadkiem zostałem
wydawcą tego ważnego i ciekawego dziejowego po-
mnika. Bawiąc w Paryżu w r. 1857. p. Karól Sień-
kiewicz upoważniony przez generała Dembińskiego, za-
chęcił mnie do zebrania składki w celu nabycia rękó-
pismu i ogłoszenia go drukiem; zacni współrodacy moi
na pierwsze wezwanie ze zwykłą a znaną skwapliwo-
ścią, złożyli podwójną sumę w stosunku ceny przez
samego autora naznaczonej, tym czynem dając nowe
świadectwo powszechnej czci dla zasłużonego krajowi
męża.

Dnia 25. stycznia 1860 r.

S. B.....

Spis rzeczy.

| | Strona. |
|---|---------|
| Rozdział I. | |
| Od urodzenia mego do pożaru we wsi Zambrzyce..... | 1 |
| Rozdział II. | |
| Pobyt mój w różnych wsiach położonych w Galicyi, przybycie nasze do Krakowa i udanie się do wsi Sędziejowice, kupionój przez moich rodziców dla obszernego dworu w tój wsi..... | 6 |
| Rozdział III. | |
| Pobyt mój w Sędziejowicach aż do udania się do Krakowa powtórnie, gdzie na kursa filozofii chodził; wybieranie się moje do Legionów Polskich aż do podróży do Wiednia..... | 18 |
| Rozdział IV. | |
| Pobyt mój w akademii inżynierów w Wiedniu od roku 1807 aż do wyjazdu do Krakowa i końca 1809 r..... | 39 |
| Rozdział V. | |
| Wejście do pułku 5go jazdy aż do awansu na oficera, co przy końcu 1810 r. lub na początku 1811 r. nastąpiło..... | 51 |
| Rozdział VI. | |
| Służba przez rok 1811 aż do opuszczenia z pułkiem-Warszawy na wiosnę 1812 r..... | 78 |
| Rozdział VII. | |
| Od pobytu mego w Kałuszynie aż do przejścia Niemna pod Grodnem | 95 |
| Rozdział VIII. | |
| Ruchy nasze od Grodna aż do Smoleńska..... | 99 |
| Rozdział IX. | |
| Ruchy nasze w Wielkiej arcy. aż do bitwy pod Mołajakiem..... | 114 |
| Rozdział X. | |
| Od bitwy pod Mołajakiem aż do opuszczenia Moskwy..... | 142 |

Rozdział XI.

Bitwa pod Woronowem, Czerykowem aż do końca bitwy pod Taru-
tiną, inaczéj bitwą pod Roźdeństwem zwanéj, 18. paźdz.....146

Rozdział XII.

Ruch nasz ku Medynie aż do powrotu na trakt Mołajski.....172

Rozdział XIII.

Ruchy nasze i rosyjskiéj głównej armii od Mołajska aż do Smo-
leńska.....178

Rozdział XIV.

Różne przygody moje od czasu opuszczenia w odwrocie Smoleńska aż
do przejścia Berezyny.....189

Rozdział XV.

Pacierz na drodze do Mołodeczna aż do przybycia mego do Wilna..205

Rozdział XVI.

Wyjazd z Wilna, znalezienie chorego brata mego i przybycie do
Warszawy217

Opis życia mego od najmłodszych lat moich.

ROZDZIAŁ I.

Od urodzenia mego — do pożaru we wsi Zambrzyca.

Życie moje tak często ulegało zmianom, że zdaje mi się z ciekawością każdy, w późniejszych może latach chętnie je zechce poznać. Urodziłem się 16. stycznia 1791 roku we wsi Strzałków, parafii Janina, wówczas do województwa Sandomirskiego należącój. Ochrzczony zaś byłem, ile mi matka moja opowiadała, we wsi dziedzicznój ojca mego, Góry, do województwa Krakowskiego należącój. Rodzice moi byli Ignacy Dembiński, chorąży naówczas Krakowski i Maryanna Dembińska z Moszyńskich, córka hrabiów Moszyńskich, grand-metrów dworu saskiego. Miło mi wspomnieć dzisiaj, ile razy w życiu doznałem prawdziwój rozkoszy, kiedym w jakiejkolwiek stronie dawnój Polski wspomniiał, że synem chorążego Krakowskiego; nie pamiętam bowiem aby człowiek większego szacunku, jak mój ojciec, używał.

Pierwsze chwile życia mojego podobnemi prawie były do tych, których*) dziś doświadczam, mając 64 lat, to jest cierpienie. Rodzice moi z dziewięciorgiem naówczas dzieci mieszkali we wsi Góry, podczas rewolucyi Kościuszkowskiej. Ojciec jako jeden ze znakomitych posłów sejmu konstytucyjnego, skazany był przez Katarzynę cesarzową rossyjską na wywiezienie do Syberyi. Przyjaciele rodziców uprzedzili ich z Warszawy o tém co zająć miało; to spowodowało rodziców do nagłego opuszczenia dóbr Góry i kraju, wtedy przez Moskali zajętego. Wrzucono nas na wozy fornalskie i nad Wisłę, przez którą przeprować się mieliśmy do Galicyi austryackiej, nagle zawieziono. To co tu opowiedziałem, wiem jedynie z opowiadań matki mojej i najstarszego mego brata Ludwika. Pierwsza chwila życia, której wrażenie zachowałem, był przewóz na promie i krzyki przewoźników z powodu fali na Wiśle, lecz to prawie jak we mgle w pamięci mojej zostało. Drugie wrażenie już żywiej i wyraźniej doznane, było następne: Przyjechaliśmy na noc do wsi Kosacice, dóbr krewnego rodziców moich, p. Bennego. Żem wtenczas był w piastowaniu, kobieta która mi za piastunkę służyła, jedząc wieczrą z inną czeladzią, posadziła mię na stole obok dużej misy kaszy jaglanej. Ponieważ liczba biesiadujących była znaczna, stół przechylił się i kasza, jaglana oparzyła mi łytki, co mi nogi mocno

*) Z tego widać iż pamiętnik ten pisany był w roku 1855.

pokaleczyło. Z Kosacic pojechalismy do Andrychowa, gdzie nam W. p. Ankwiczowie dworu na mieszkanie na jakiś czas odstąpili. W Andrychowie, pamiętam, jeszcze bawilem, kiedy wojsko austriackie, po podziale Polski przeznaczone do zajęcia kraju po Pilicę, przechodziło. Andrychów opuściliśmy, dla wsi Geraltowic p. Wilkońskiego, którą ile pamiętam, rodzice moi wzięli w dzierżawę, żeby się z liczną rodziną mieć gdzie schronić. Jak tam długo bawiliśmy, tego nie pamiętam, to tylko wiem, że do Geraltowic zjechał guwerner Francuz, przez ojca mego ze Szwajcaryi sprowadzony, ksiądz Piotr Boucher, którego przed rewolucją francuską i śmiercią, która tam prawowiernych księży ściagała, schronić się był zmuszony. Po roku od jego przybycia, przejechalismy do dóbr Zembrzyce, na których mój ojciec miał dość znaczną summę zastawną. Dwór we wsi tej był na piętro wysokości zbudowany, lecz drewniany, w stylu starożytnym co do wielkości izb. Dolne piętro było wszędzie w oknach mocnymi kratami żelaznymi opatrzone, co szczególnie w tych czasach zaburzenia w kraju było potrzebne dla częstych rabunków, które przypisywano Góralom, bliskich Karpat. Rodzice oddalili się do miasta Krakowa, aby interesami majątkowemi się zatrudnić, a to szczególnie z powodu, że w kilka dni po oddaleniu się naszym ze wsi Góry, zjechał oddział Kozaków, którego ojca mego miał zabrać, a nie zastawszy nikogo z naszej rodziny, zemstę Katarzyny na majątku wywarł. Znalezione piki za oł-

tarzem w kościele, które ojciec dla rewolucji Kościuszkowskiej był przygotował, były powodem do tén większej zemsty. Poczciwego księdza Borzęckiego proboszcza wsi Góry i wielkiego przyjaciela mego ojca, mocno zbatożyli, poczém nastąpiło kompletne zniszczenie przez ogień tak kościoła jak wszelkich budowli dworskich. Jedyna studnia nawet, sto kilkadziesiąt łokci głęboka, została zniszczona. Spuścili się aż do dna, żeby cembrzynę od dołu spalić i po spaleniu zupełném cembrzyny, ziemią studnią zarzucili, aby nawet jej ślad zagubić. Po takiém zniszczeniu tak dworu jak folwarków zwołali gromadę i oświadczyli jój, że gdy teraz pana nie mają, wolno im jest grunta, pasiekę, między siebie podzielić; a że pola była wtedy okryte zbożem, dla zaczątych już podobno żniw, myśl ta zgromadzonych włościan mocno kusila, lecz wystąpił wieśniak nazwiskiem Golik i ten przypominając współwłościanom sprawiedliwość obchodzenia się z nimi ojca, mojego, uratował i dobytek ojca i gromadę od hańby. Czyn ten Golika, został mi w pamięci, ponieważ syna jego starszego dużo od siebie, później poznałem; odziedziczył on i ojca swego poczciwość i dość znaczny kawał gruntu, przez ojca mego na dziedzictwo całej tój rodzinie przeznaczony (co ta rodzina do dziś dnia posiada).

W Zembrzycach, pamiętam, przepędziliśmy lato przynajmniej jedno i niewiem jak długo mieli rodzice zamiar tam zostać, gdyby nie następujący wypadek.

Okolo Bożego Narodzenia wszczął się wśród nocy w naszym domu pożar. Możeby był ogień nas wszystkich, a z pewnością mnie, pochłoniął, gdyby nie czujność i przywiązanie księdza Piotra Boucher, guwernera naszego. Ten na pierwsze okazanie się ognia a raczej dymu, którego z dołu przez myszą dziurę do pokoi, gdzieśmy spali, gwałtownie się wdzierał, wsadził w tę dziurę palec i tam już tak był ogień gwałtowny, że mu palec sparzył. Pobudził nas w ten moment i na dół sprowadził. O uratowaniu rzeczy ani myśleć było można, a tém mniej domu, którego z suchego drzewa zbudowany i tarcicami obity, palił się z żywością wiorów stolarskich. Mróz suchy, którego wtedy panował, o dostarczaniu wody ani pozwalał myśleć. Że nas w koszulach wyciągnięto i na podwórze wyprowadzono, a zimno było dokuczliwe, nie pamiętam czy z powodu tego zimna czyli też raczej z chęci uratowania karetki z 4ma końmi drewnianymi i pięknie malowanymi, którą w pudełku pod łóżkiem miałem, wróciłem do palącego się domu, aby ten drogi skarb dla 50 letniego dziecka uratować. Ks. Boucher przerachowawszy nas na podwórzu, widzi że mnie brakuje, wraca więc do spalonego domu i jak mi później opowiadał, znalazł mnie leżącego na schodach i spokojnie śpiącego, porwał mnie i z ognia wyniósł, lecz ani tego pojąć mogę jakim sposobem mnie ogień nie sięgnął w czasie, kiedy jego twarz, ręce i ledwie nie całe ciało tak zostało opalone, że skóra z niego zeszła i długi czas to odchorował.

Poświęcenie to jego musiało być znaczne, kiedy rodzice moi, ponimo strat, które raz po razie tak we ws Górach, jak i tu w Zembrzycach doznali, bo w ostatnim ogniu więcej jak na sto tysięcy mieli szkody księdzu Boucher 20,000 zł. na majątku swoim, w nagrodę zapisali, od których procent oprócz swojej pensyi zawsze pobierał.

ROZDZIAŁ II.

Pobył mój w różnych wsiach położonych w Galicyi, przybycie nasze do Krakowa i udanie się do wsi Sędziejowice, kupionej przez moich rodziców dla obszernego dworu w tej wsi.

Po kilku dniach zostaliśmy gościnnie przyjęci w dobrach Sucha do Wp. Wielopolskich należących, tam zdaje mi się koniec zimy przebyliśmy, a na wiosnę przewieźliśmy się do Krakowa, gdzie pamiętam mieszkaliśmy naprzeciwko klasztoru Marków, podobno na ulicy Sławkowskię. Czy rodzice nasi w tym samym domu mieszkali, nie pamiętam, ani też bytności sióstr moich dobrze oznaczyć nie mogę.

Winiem tu wspomnieć co składało rodzinę moję, oprócz ojca i matki. Miałem wtedy cztery siostry i czterech braci; 1sza Leona, później margrabina Wielopolska, 2ga Tekla, później Wp. Osławska, 3ci z rzędu był brat mój Ludwik, 4ta siostra Anna, później pani

Libiszewska, 5ty brat mój Kasper, któren w kampanii 1806 na 1807 z ran umarł; 6ta Cecylia, dziś jeszcze panną. Następowalem Ja, po mnie 8my Jan, któren w czasie ataku Smoleńska 1812 roku prowadzac pułk 15ty piechoty liniowej jako podszeft sztabu Jc Zajaczka, kilkoma kulami razem przeszyty poległ, ostatni Wacław, któren w 17m roku życia swojego odbywszy kampanią 1812 i 1813 roku w okolicach Sédan, we wsi Pouru-St. Remy, we Francyi umarł. Nie wiem czy starszych odemnie dzieci co umarło, lecz zdaje mi się, że później jeszcze matka moja dwoje dzieci urodziła, których śmierć, przynajmniej jednej, dobrze pamiętam. Wiele lat które z nas wówczas miało, tego także nie wiem, pamiętam tylko, że we wsi Zambrzycach był ze chrztu ceremonialnego brat mój młodszy Jan chrzczony, a to z téj okoliczności pamiętam, że mi kazano mundur mój Sandomirskiego województwa, co było paradną moją suknią, jemu pożyczyć i zem tak zazdrościł by mi munduru nie zniszczył, zem ciągle za nim chodził pilnując, aby mundurowi co złego się nie stało; tak ruchów jego pilnie strzegłem, że ze wstydem wyznaję, iż mu ledwiem oka pięścią nie. wybił, kiedy się o drzwi otarł zbyt mocno.

W Krakowie także nie pamiętam, jak długośmy bawili. Rodzice moi szukali tedy wsi w bliskości dóbr Góry, aby się tam przenieść, co nie było rzeczą łatwą z powodu, że trzeba było obszernego domu, aby tak liczną rodzinę pomieścić, tém bardziej ze troskliwi

o wychowanie nasze, oprócz gubernera Francuza, trzymali nauczycieli do nauk innych. Pierwszym nauczycielem moim języka niemieckiego i pisania był pan Szpor, a dla sióstr guwernantka jedna czy nawet dwie.

Znaleźli nakoniec rodzice wieś dla siebie dogodną Sędziejowice, w obwodzie Stopnickim, powiecie Szydłowskim i tam latem przewiezienie całego naszego domu nastąpiło. W Sędziejowicach przepędziłem lat kilka, bo do 14go roku życia mojego tam mieszkałem. Miałem lat dziesięć, kiedym ojca mojego stracił, którego po długiej chorobie w 49m roku życia swego umarł. Nieznajomość doktorów, którzy go leczyli, była, ile się zdaje, przyczyną jego przedwczesnej śmierci; leczyli go bowiem jakby chorobę miał wewnętrzną, kiedy po śmierci okazało się, że cała choroba była osadą krwi w głowie, spowodowaną uderzeniem się mocnym w głowę, na co wysoki wzrost ojca mego często narażał.

Śmierć ojca nie mały wpływ na ówczesne życie moje wywarła. Matka musiała się zająć interesami prawnymi, które jedynie ojciec dotąd prowadził, a matka rolne gospodarstwo, do którego pociąg i zdolność miała szczególną. Interesów nieco zawikłane z powodu złego rządu osób, którym mój ojciec znaczne kapitały był wypożyczył, częstego oddalenia się matki mojej wymagały. Główny spór prowadziła matka z margrabiami Myszkowskiemi, którzy podług erekcyi majoratu, długów zaciągać nie mieli prawa; tych więc naglić za ży-

cia należało o oddanie, inaczej sukcesorowie płacić nie mieli obowiązku. Znaczne więc dobra po długich sporach i procesach, oddano w sekwestr mojej matce, a że intraty krajowe wtedy jedynie prawie na sprzedaży pszenicy opierały się, pamiętam jak każdej jesieni znaczne summy złotem, matka moja w Sędziejowicach odbierała. Takem mało wtedy interesów rozumiał, że zdawało mi się, iż ta intrata ze wsi Sędziejowic jest tak znaczną, że później daleko, wróciwszy z wojska, gdym wieś tę w dziedzictwo odebrał, sądziłem się bogatym człowiekiem i to wpłynąć mogło na późniejsze życie moje. Wracam tedy do wpływu natychmiastowego, jaki śmierć ojca na mnie i moje wychowanie wywarła.

Częste, jak powiedziałem, oddalanie się matki mojej, dozór nad nami osłabiło, tém bardziej że ks. Boucher, poduczyszwy się trochę po polsku, gruntowną poczciwością swoją tyle zaufania uzyskał, że się nieco interesami rolniczemi i budowlami, których te wymagały, kupnem inwentarza i t. d. trudnić zaczął. Nowy ten obowiązek zmuszał go także do częstych wycieczek i myśmy wtedy jedynie pod dozorem professora rachunkowości i języka niemieckiego zostawali; a że ci pp. profesorowie często się zmieniali i nie zawsze ludźmi regularnego prowadzenia się sami byli, nie wzbudzali w nas uszanowania, tém samém i posłuszeństwa. Hulaliśmy więc do woli, i co tylko swywoła młodych chłopców wymyśleć mogła, było naszą rozrywką. Że nas

matka nasza nader skromnie co do żywności wycho wywała, oczywiście pierwszą myślą było figle nasze na to obracać, aby niedostatek stołu wynagrodzić, owoce więc obszernego sadu były pierwszym celem naszym zabiegów, lecz kwaśne jabłka, niedojrzałe śliwki, nie wystarczały; tropowaliśmy więc kury i dobrze się kryć musiała ta, któraby jaje gdzieindziej jak tam, gdzieśmy na nią czekali, zniosła. Gospodyni domu, którą wtedy gdy jej kto chciał dokuczyć, szafarką zwano, poczciwa pani Rodkiewiczowa, rady sobie przed psotami naszymi dać nie mogła. Utworzyłem sobie bandę, której jako najfiglarniejszy zostałem naczelnikiem; składali ją bracia moi młodszy Jan i Wacław, bracia ks. proboszcza Bąkiewicza i synowie ekonoma Płazińskiego. Szli oni wszędzie, gdzie ich prowadził, choć czasem między nami przychodziło do walki; szczególnie między nami trzema braćmi, t. j. dwoma młodszymi odemnie i młodszymi Płazińskimi. Nieraz na polu stawaliśmy przeciwko sobie, kamieniami wszczywał się bój; jeden z Płazińskich bardzo zręcznie kamienie z biczem puszczał, widać więc z tego, jak walki nasze zacięte były, bo kamień z biczem puszczone ledwie nie z ostrością kuli leci. Razu jednego tak mocno trafił brata mego młodszego Wacława, że po tym razie atak na niego przystąpił, a że broń jego tylko w oddaleniu była groźną, srodze pod pięścią moją, pomimo że doskonale uciekał, odpłacił. Od téj pory broń kamieni z biczem puszcanych uważaliśmy jako przechodzącą granicę jaka w walce

może być użytą i takowaliśmy znieśli. Frygawka zaś, to jest kij rozłupany, w który się kamień wsadza, za mniej niebezpieczną uważana, była niejako między nami przyjęta. Tym kilku latom rozpusty, winienem może zrećność ciała, którą dziś przez uczenie gimnastyki usiłują nadać młodzieży, może i zrećność w przeprowadzeniu figlów dała mi tę ufność w sobie, która mi w późniejszym życiu szczęśliwie wyjść pozwoliła z niejednego położenia, które się drugim niepodobnemi wydawały. Pomimo figlów moich a może i przed niemi (bo zdaje mi się jeszcze za życia ojca), historią powszechną, a szczególnie historią wojen starożytnych: Cyrusa, Hannibala i Alexandra Wgo. doskonale umiałem i pamiętam, że zdawszy egzamen z historii pozwolono mi zażądać podarku jakiej zechcę, a że dążności zawsze miałem wojenne, oczywiście fuzya była pierwszą rzeczą, o którą prosiłem i tak byłem niecierpliwy, aby być prędko w jej posiadaniu, że nie dał czasu, aby tę w mieście u rusznikarza kupiono, lecz żądałem aby koniecznie fuzyą od starego Kulki, z której kilka wilków na ponętę był zabił, kupiono. Stało się więc zadosyć méj woli i drogi ten skarb, około kolby szpagatem ściągnięty, dostałem. Kulka, był to stary chłop, którego mieszkał w chałupie nad wodą Baba zwaną. (Rodzaj jeziorka.) Był przy chałupie sad, gdzie ów Kulka ścierwo zdechłych koni na ponętę kładł i z chałupy, w której dziurę sobie był wyrąbał, kilka wilków zabił.

Wszystkie moje figle zawsze przysły stan wojenny miały na celu. Opisanie życia Scytów, którzy z łuku strzelać musieli, aby śniadanie na sznurku wiszące odstrzelić, zdawało mi się najszlachetniejszym sposobem życia. Drapanie się po drzewach jak najwyższych, aby wróble z gniazda przynosić, tak mnie zrobiło zręcznym, że raz jednego w lesie wsi Śladkowa z nami graniczącej, po wybiegłym chojaku tak cicho się do wiewiórki podkradł, że ta mając wzrok wlepiony w resztę bandy, przed drzewem stojącej, nie poczuła żadnego poruszenia drzewa, i takem blisko do niej doszedł, iż mogłem ją ręką uchwycić. Przypominając tu, iżem stchórzył przypominając sobie, że mnie może ugryźć w rękę i zażądałem pół głosem, aby mi który chustkę podał, co wiewiórkę spłoszyło i na inne drzewo przeskoczyła. Kiedy się do jednego złego przyznałem, muszę i drugie ważniejsze zło ze szczerością, z jaką chcę życie moje opisać, wspomnieć, to jest że mając 11 lub 12 lat, nabrałem nałogu pijaństwa. Zwyczaj polski częstowania wódką gościa jaki z rana przyjechał, był do tego pierwszą sposobnością. Pilnowałem więc jak od stolika odeszli, żeby się wódki napić, a tym sposobem wciągnąłem się coraz bardziej, tak że potem ani zamek ani kłódka do schowania wódki dostatecznymi nie były. Może się nieco do tego i przykład nauczyciela mego przyczynił, bo circa quintam horam, jako ksiądz, odwiedziany był przez innych księży, a wtedy lagena wina nie jedna wypró-

źnioną została, gdzie mnie chodzącemu około pijących nieraz kieliszek ofiarowano. Nie przypominam sobie prawdziwie, jakem od tego nałogu już nieraz zgorzenie robiącego odwykł, lecz to nie trwało jak kilka miesięcy.

Pomimo figłów moich byłem niejako faworytem gubernera mego; ten mnie często w podróże, które odbywał, z sobą zabierał, być może że figle, które w jego niebytności w domu płatałem, skłaniały go do tego, te bowiem często przechodziły granicę i nieraz się zdarzyło, że jakem się zbyt bał kary, która po prosta była różgą jaką nas mocno ćwiczył, uciekałem z domu i to nad kurnikiem, to pod stodołą, w słomie zagrzebany nocowałem. Szczególniej pocziwy ks. Boucher razu jednego był przestraszony; obawiając się sam grzmotów i piorunów, dnia jednego gdy mi zagroził ukaraniem i gdym czuł, że zrobiony figiel był za mocny, uciekłem z domu przed wieczorem i schroniłem się do wozowni na klucz zamkniętej, do której przez wrota od psów na dole wygrzyzione, wcisnąłem się. Traf chciał, że tej nocy burza z piorunami była moena, do strachu więc piorunów przywiązywała się obawa w nim, aby mię piorun nie zabił. Pamiętam, gdy nawałnica ustała, kiedy jeszcze wszyscy spali, wysunąłem się z wozowni, przeszedłem krowiarnią i tam w słomie na karmę dla bydła przeznaczonęj wkopałem się. Od świtu poczęto mię wszędzie szukać; było to częstém zatrudnieniem czeladzi dworskiej, a że podczas nawałnicy

będąc nader lekko ubrany, spać nie mogłem, mając jedynie koszulę i spodnie na sobie, zakopawszy się głęboko w słomie nad ową oborą, doskonale zasnął i już słońce wysoko było na niebie, to jest około 9 godziny, kiedy usłyszałem zbliżających się ludzi, co mnie szukali. Nie chcąc się dać złapać i do worka wsadzić, bo mnie czasem w worku do domu przynoszono, przebiłem strzechę, zeskoczyłem na ziemię i pędem lecąc do domu, równemi nogami przez okno otwarte wskoczyłem do pokoju. Jakoś kary wtenczas uszedłem, może dla tego, że przestрах podczas piorunów, poczciwego księdza Boucher do przebaczenia mi skłonnym uczynił. Z resztą i to za mną przemawiało, że żadnego brata do téj ucieczki nie namówił.

Te powyżej przemawiające powcdy, t. j. jeden ze mnie bardzo lubił, drugi ze mnie nie chciał w domu zostawić, spowodowały go że jak jechał do Dąbrowy na jarmark, mnie ze sobą wziął. Dąbrowa wtedy była sławna z jarmarków na konie i zjazd obywateli zawsze był liczny, ile mi się zdaje 10 dni trwający.

W czasie bytności naszój w Sędziejowicach, lecz zdaje mi się już po śmierci ojca mojego, poszła starsza siostra moja za męża, za hrabiego, później margrabiego Józefa Wielopolskiego. Pamiętam to wesele z różnych względów, a najpierw że się z niejaką solennością odbyło. Ożenienie to od strony pana młodego układał starosta Chłapowski, ojciec dzisiejszego jentała, którego o granicę z Sędziejowicami miał dobra

Chmielnik. Ślub odbywał się w zimie, a że zjazd był wielki, nie mógł dwór pomimo swęj obszerności wszystkich pomieścić, wszystkie więc budynki jakie tylko służyć mogły, jakoto: plebanią, wikarnią i dom organisty, urządzono na przyjęcie gości. Nas trzech młodszych braci gdzieś w chałupie osadzono, gdzieśmy nie tylko nocowali, ale i jeść nam przynoszono, na wieczory jedynie przywożono nas do dworu, gdzie tańcowano.

Siostra moja po ożenieniu wyjechała z mężem do dóbr Wielkie-oczy, niedaleko Lwowa położonych, gdzie w jesieni ks. Boucher z najstarszym moim bratem Ludwikiem i mną, dla odwiedzenia siostry pojechał. W tój podróży dopuściłem się czynu niewłaściwego choć często między ludźmi używanego; przywłaszczyłem sobie bowiem psa pudła cudzą własnością będącego, lecz wina ta nastąpiła prawie sama z siebie: dojeżdżając do Pilzna, pies ten nader wesoły, błakał się na trakcie, gwizdnąłem na niego i ten na krytą bryczkę naszą półbrodzką z ochotą wskoczył i zaraz się do mnie przywiązał. To była mniejsza wina, lecz gorzej zrobiłem nazajutrz. Była to niedziela; ks. Boucher poszedł mszą odprawiać do kościoła, z bratem moim, mnie zaś dla pilnowania rzeczy w domu zajezdnym zostawiono; stałem na progu bramy, a mój pudel przy mnie, kiedy przychodzi baba z chłopem, psu się bardzo przypatrują i słyszę jak baba mówi: „może to ten“: domysliłem się, że szukają psa a tego nie znają; i wtedy dopu-

ściłem się rzeczy, którą się najbardziej brzydę, to jest kłamstwa, bom śmiało się baby zapytał: co to, ps szukacie? a na jej odpowiedź, że tak jest, śmiało powiadam, o! to nie ten i na dowód tego, kom hir pudel, w języku niemieckim zawołałem. Pies z radością przednie łapy oparł mi na piersiach i widząc, jak do mnie był przywiązany, odeszli dalej. Choć temu więcej jak 50 lat minęło, zawsze sobie to kłamstwo wyrzucam, i zdaje mi się, śmiało mówić mogę, że od tego czasu nigdy nie zmyślił, tém bardziej że pamiętam, u ojca mego i u gubernera miałem wielkie łaski z powodu skrupulatnego trzymania się prawdy zawsze.

Dojechawszy do siostry, zastaliśmy ją w domku nowo postawionym niedaleko wsi do tych samych dóbr należącój, Nachaczów i Semirówka zwanych, główne zaś dobra były w dzierżawie. Siostra była wtedy bliska połogu, jednakże pojechali z mężem, z bratem moim i ks. Boucher do Lwowa; jeszcze wtedy do gwałtownych figłów nie byłem nawykł, zabawa więc z psem i wojna z osami, które w bliskim ogrodzie rój swój miały, te kilka dni samotności pomogły bez tęsknoty przepędzić. Że te osy zawsze w pokojach, między fruktami na talerzach kręciły się i nieraz żądło swe w palce wpuszczały, umyśliłem gniazdo ich znaleźć i jednym razem wytepić. Dopótym szukał w starym ogrodzie, dopókim gniazdo nie znalazł. Uwarzyłem więc garnek wody, przysposobiłem tłok, do tłoczenia ich

w gnieździe, a stanąwszy nad gniazdem, garnek ukropu w toż wlałem i tłokiem zacząłem obiema rękami dusić. Wysypały się z roju jak para z kotła, w gołej głowie mojej między włosy tak wielka ich liczba się wplątała, że mnie pobiegł do domu i stara panna służąca musiała mnie prawie całkiem ostrzyż; lecz czy dla tego, że sparzone były ukropem, czy też traf chciał, mnie żadna nie skaleczyła, chociaż to pierwój często się trafiało. Po powrocie mojej siostry i wszystkich, pamiętam, zaczynały się siewy jesienne i oficjaliści zjeżdżali się w wieczór dla odbierania dyspozycyi na dzień następny. Dyspozycyę te dawała zawsze moja siostra, a szwagier jedynie słuchał. Razu jednego, gdy wyszli ekonomowie, mówi mój szwagier do żony: „Moja kochana, mnie się zdaje, żeśmy przeszłego roku już siali,“ a na odpowiedź mojej siostry, że to co zasianém zostało, już zebrane i że się sieje na rok następny, wyznał, że się tak mało zna na gospodarstwie iż sądził, że jak kto nowe dobra odbiera i te raz zasieje, podług swego sposobu widzenia, w następnych latach jedynie zbiera, a wiadomość, że co rok siać trzeba, dużo go do posiadania dóbr zniechęciła.

W późnej jesieni wróciliśmy do Sędziejowic.

ROZDZIAŁ III.

Pobył mój w Sędziejowicach aż do udania się do Krakowa powtórnie, gdzie na kursa filozofii chodził; wybieranie się moje do Legionów Polskich aż do podróży do Wiednia.

Zdaje mi się potrzebném dać ogólne wyobrażenie wychowania naszego a tém samym wspomnieć nieco o rodzicach moich, gdyż moralny wpływ jaki na mnie wywarli, do dziś dnia jest podstawą myśli moich. I tak, ojciec mój i matka byli gruntownie nabożni, pamiętam jak ojciec przed każdą podróżą chodził do spowiedzi i komunią przyjmował. Był to człowiek w całym znaczeniu najgruntowniejszej moralności, przytém najgorliwszy patriota, bez zapału, lecz z przekonania, był więc jednym ze znakomitych posłów sejmu Konstytucyjnego. Wychowany w instytucie pijarskim, przed ożenieniem swoim podróżował po Europie, lecz w celu jedynie naukowym, co w owych czasach rzadkiem było zdarzeniem w Polsce. Miłośnikiem prawdy był wielkim i może tę cnotę we mnie niejako wrodzoną bardzo polubił.

Matka zaś żywego i bystrego umysłu, gorliwa patriotka, więcej nierównie zajmowała się interesami majątkowymi, aniżeli ojciec, który przez zbytnią ufność

dogadzając przyjaciółom, nie jedną sumę wypożyczył tak, że narażoną była na straty.*)

Wychowanie nasze powierzone głównie ks. Boucher, było troskliwie przez rodziców dogłądane; egzamina częste przed nimi składaliśmy. Fizycznie zaś wychowanie nasze było twarde, t. j. że nas do wszelkich niewygód hartowano. Pościel każdego z nas składała się z siennika, prześcieradła, małej poduszki i kołdry, tak że ja, któren od dzieciństwa miałem skłonność do bicia krwi do głowy, musiałem pod siennikiem lub poduszką kilka łup drzewa podkładać, aby głowa wyżej od nóg leżała. Jedzenie skromne i nie zawsze dość obfite, np. krómką chleba przy początku obiadu udzielona, musiała koniecznie aż do końca tegoż wystarczyć. Z rana, zimą czy latem, nauka szła bez przerwy, tak jak po obiedzie aż do wieczora. Podczas rekreacyi w zimie czy w lecie wychodziliśmy do ogrodu lub na podwórze i tam bawiliśmy kilka godzin, to ko-

*) Ojciec mój był w całym znaczeniu prawy człowiek i prawy Polak; chciał postępu, czego dowodem jego prace w sejmie Czteroletnim, ale był konserwatorem, z którego powodu matka moja nie raz mi mówiła, że miał na liście proskrypcyjnej księdza Kołłątaja, któren partya Ruską kierował; te uczucia ojca mego, wrodzona starożytna polska gościnność, robiły że dom nasz po wielkiej rewolucyi francuskiej był schronieniem kilkunastu rodzin dawniej szlachty francuskiej, markizów, diuków, z żonami, dziećmi, czasem z guwernantkami i dosyć liczną służbą; szczególniej ich dużo przejeżdżało i kilka tygodni u nas bawili, kiedy korpus Kondusza rozwiązano i oni do Rossyi przejeżdżali. Byli oni nader względnie i gościnnie przyjmowani i nawzajem wielki szacunek ojcu mojemu okazywali, już dla zgodności myśli, już i dla tego, że ojciec mój miał ordery Śgo Stanisława i Orła Białego wielką wstęgę, co u Francuzów wówczas, Grand cordon bleu, nader wiele znaczyło.

piąc sobie jamy w zaspach śniegu, to innemi temu podobnemi żywemi ruchami; a kiedyśmy zmęczeni do domu wracali, przyzwyczajano nas, aby się nigdy nie przebierać ani nawet obuwia nie zmieniać. Dwa razy w tydzień a może i raz tylko, t. j. w sobotę, przynosiły nam kobiety służące koszule i pończochy; brudna koszula służyć miała na noc a biała na dzień; że zaś odzież ciała była także skromna i choć w zimie nie ciepła, staraniem naszym było zawsze, kobiety trudniące się bielizną tak obałamucić, aby koszula jedna a czasem więcej w posiadaniu każdego zostały. Przypominam sobie, że raz jednego tak z ręcznie się parę tygodni wykrecał od oddania brudnej koszuli, że czterech na raz na sobie nosił, a że pomimo tego guzików na szyi nie zapinałem i pierś gołą wystawała, matka moja patrząc na tę gołą pierś, pyta się mnie: „Cóż ty Henryku, koszuli na sobie nie masz?“ Żem matkę w dobrym humorze widział, odpowiedziałem: „Są mamó“; matka z zadziwieniem: „Jak to, dwie koszule nosisz?“ Ja na to nic, tylko dalej się śmieję, zbliża się matka do mnie, wyciąga z pod kamizelki koszulę jedną po drugiej, i aż parschnęła od śmiechu, gdy cztery znalazła. Kobiety od bielizny naturalnie wyłajane zostały. Zabaw nam niewinnych nie broniono, owszem jeden z lokai był może dla tego umyślnie przyjęty, że był doskonałym ptasznikiem. Ten nauczył nas ptaki pod poły (sieć) łapać, jak szpaka zakładać, aby ciągnąc go za ogon pód górę, ogona mu nie wyrwać,

jak posadnikom skrzydła zawiązywać, aby przelatujące stada ptaków tego zawiązania nie widziały i zgoła jak całe ustawienie ptakołówstwa urządzać. Miało to dobry cel, bo nas chętnie przed świtem dnia z łóżek ruszało, gdyż trzeba było wszystko urządzić, nim stada ptaków z lasu na zér przelatujące, przeciągały. Lecz było to ptakołówstwo częstych pokut przyczyną. Ponieważ po śniadaniu od lekcji nie wolno było odstępować aż do południa, a najwięcej przeciąg ptastwa głodnego z rana się odbywał, każdy z nas więc kolejną pod pozorem potrzeby, biegł chyłkiem do ogrodu, aby parę minut w budzie ptaszniczej posiedzieć, co jak spostrzeżoném zostało, oczywiście pokutę za sobą pociągało. Narzędzia rzemieślnicze, jako to: dłótka, świ-derki, ośniki do budowania klatek lub łapek na myszy zawsześmy mieli pod ręką i doskonale się nauczyłem klatki i potrzaski budować. Palce zawsze pokaleczone nie wstrzymywały mię od téj pracy, która acz małą rzeczą jednak zdaje mi się umysł otwiera i naucza nie w jednéj rzeczy zaradzenia sobie. Igły, nici do przyszywania guzika lub zaszywania rozprutéj sukni mieliśmy zawsze i pilnowano, abyśmy sami te małe naprawy robili. Oprócz lokai były zawsze młode chłopaki do służenia nam trzem młodszym braciom, jeden chłopak do czyszczenia butów i odbywania podlejszych prac a drugi, jakiś syn ubogiej rodziny, któren nam tylko do stołu usługiwał i z nami nauki niektóre pobierał. Jest to może oszczędny sposób służenia młodym chłopcom,

lecz tego nie pochwalam, przypominając sobie jak nieraz do złych nałogów przez podobnych chłopców byłem namawiany. Naturalny wstręt do szkodzenia im przez doniesienie o ich namowach, wstrzymał mię od oskarżenia ich, lecz Bogu jedynie winienem, że ich nie usłuchał.

Wspomniałem powyżej o nałogu do wódki jakim był nabrał i pamięcią napróżno szukałem jakim sposobem od nałogu tego odstąpiłem. Winienem więc wspomnieć o zmianie, jaka we mnie zaszła pod rozlicznym względem a szczególnie w tym, że w figlach moich przestałem komu bądź szkodzić. Nie przypominam sobie, aby nałóg pijaństwa tak długo był u mnie trwał, ale to pamiętam, że zmiana jaką w sobie uczułem, nastąpiła od pierwszej komunii. Akt ten, do którego długo mię przygotowywano, przyjąłem z rewnem nader uczuciem, płakałem serdecznie i wszystkich kogo obrazić mogłem, czułem przeproszał za to, com im kiedykolwiek złego zrobił. Jeżeli dalej żywość we mnie wrodzona była burzliwą, to jedynie sobie szkodziłem lub siebie na szkodę i niebezpieczeństwa narażałem.

Należy także wspomnieć nieco o sąsiedztwie naszym, a przynajmniej o tych domach, z którymi więcej rodzice moi żyli. Że w Sędziejowicach był kościół parafialny, do którego domy szlacheckie kilkunastu wsi okolicznych na nabożeństwo codziennie przyjeżdżały, a kościół był tylko kilka kroków od domu naszego

oczywiście ci co do parafii należeli, częściej u nas byli. W Śladkowie była dziedziczką pani Bystrzanowska wdowa po kasztelanie tegoż imienia, którego katolikiem zwano, bo miał zwyczaj zaklinać się zawsze: jakem katolik. Pani Bystrzanowska, piękna i uprzejma kobieta, miała synka Feliksa o kilka lat odemnie młodszego, a że był jedynakiem i nieco zepsutém dzieckiem, dużo zawsze byłem zmartwiony, kiedy mi się moja matka z nim bawić kazała, a to szczególnież z powodu, że miał ze 4 lata mniej odemnie, bo z resztą był miły chłopczek a później godny człowiek; zginął on przy boku moim jako mój adjutant, gdym Szałwie na Litwie atakował. W Humentowku bawili państwo Grodzicy, właściciele tej wsi, godni ludzie. P. Grodzicka z domu Załuska była krewna méj matki. Po tych dwóch domach był dom przyjemny w wiosce Saliszów do p. Kantego Miroszewskiego należący. Ten miał syna Józefa, który od młodych lat dowcipne wiersze pisał i w wielkiej przyjaźni z bratem mym starszym Ludwikiem zostawał. Z Saliszowem graniczył hrabia Tarnowski w Tarnoskale, którego żona z Szaniawskich krewną również była méj matki. Do Tarnoskały częstośmy jeździli, a nawet jedną zimę z guwernerem naszym ks. Boucher tam przepędziliśmy. Był to poważny i wesoły człowiek ten hrabia Tarnowski, w jego domu reszta jeszcze pańskości dawnéj polskiej przechowywała się. Stajnie co do liczby koni i masztalerzy liczne, marszałek dworu, kamerdynery,

liczna liberya, a wszystko z dorosłych ludzi było złożone. Gościnność polska, dom ten w okolicy odznaczała. Drugi dom temu podobny w bliskości wsi Góry, gdzieśmy czasem jeździli, był państwa kasztelaństwa Dembowskich w Sancygniowie i równie wesoły dom w Węchadłowie pp. jenerałstwa Walewskich.

W zimie, którąśmy w Tarnoskale przepędzili, jeździł kiedy niekiedy ks. Boucher do Sędziejowic, gdyż jak powiedziałem, zawiadywał nieco interesami méj matki, która w tym roku udała się była do matki swojej do Drezna, gdzie wielką ochmistrzynią była przy dworze saskim. W podrózach tych do Sędziejowic zwykle sankami odbywanych brał mnie czasem ks. Boucher z sobą. Wspominam o tém, ponieważ w jednej z tych podróży znalazłem w kieszeni od surduta książeczkę do pacierza ręką własną ks. Boucher napisaną, którą mi tenże mistycznie wsunął i nad któremi modlitwami było napisano, że kto ten pacierz codziennie odmawiać będzie, zasłuży sobie na wielkie łaski u Pana Boga. Pacierz ten od dnia tego do dziś dnia zawsze odmawiam i żadna czynność nawet w kampaniach od tego mię nie odwiodła; jeknakże wyznaję, że po upadku naszym w roku 1831, po powrocie z Litwy, zrażony niesprawiedliwością niektórych ziomków moich, którzy mnie od władzy odpychali, dla rzucenia się w ręce Krukowieckiego, zwątpiłem niejako o sprawiedliwości Bożej i kilka lat pacierza tego nie odmawiałem, aż dopięro przygnębiony różnemi nieszczęściami, po kilku

latach do tego pacierza powróciłem i da Bóg sił, do śmierci go odmawiać nie przestanę.

Wspomnienia powyższe o uczuciach patryotycznych moich rodziców, które często wyłączną rozmowę w domu naszym stanowiły, przypominają mi jak nas, małe dzieci, wypadki polityczne żywo zajmowały. Kiedy bowiem za życia jeszcze mego ojca, jednego wieczora przyszła wiadomość, że generał Bonaparte w powrocie swoim z Egiptu do Francji przez Anglików schwycony został, wiadomość ta wznieciła w nas dzieciach różnorodne uczucia. Brat mój młodszy klaskał z radości w ręce, mówiąc: „Bonaparte est pris,“ ja znów mocno się na niego ofuknąwszy, żałowałem serdecznie.

Ze smutkiem wspomnę także, a więcej jak ze smutkiem, bo prawie z wyrzutem sumienia, że marzeniem młodości mojej było ciągle wskrzeszenie Polski za pomocą Węgier. Nigdy Węgier, który chodząc po kraju z towarami, do domu naszego wstąpił, nie opuścił, abym mu różnych zapytań politycznych i czy lubią swego cesarza austriackiego, nie uczynił. Lecz żaden z nich nigdy mnie nie zadowolnił; była w nich zapewne ostrożność a może i brak czucia. Nie mogę się nie zastanowić nad zbiegiem wypadków, które dziecinne moje marzenia później do możności uskutecznienia ich w osobie mojej prowadziły; i jak powiadam, mam wyrzut sumienia, bo gdybym był Gergieja w r. 1849 rozstrzelać kazał, a przynajmniej arę-

sztować, los ojczyzny mojej, los Europy i świata byłby dziecinne moje marzenia urzeczywistnił.

Nie pamiętam, w którym roku brat mój Ludwik się ożenił, lecz pamiętam, że miał on wtedy lat 19. Po zaręczynach jeździł często do Galicyi i razu jednego, było to w niedzielę, dzień był pogodny, poszliśmy przed summą do stajni, dosyć od domu odległej, dla oglądania koni cugowych, nowo sprzężonych. Położenie stajni było następujące: tworzyła ona front czworobocznego budynku, gdzie były wolarnie, krowiarnie, a ku dworowi łączyła się z długim folwarkiem, w którym mieszkał ekonom i plenipotent do interesów prawnych, którego wtedy matka moja już trzymała, bo i dóbr była przykupiła i interessa prawne miała liczne. Między folwarkiem a dworem był starożytny i obszerny lamus, z żelaznemi drzwiami i pod tym piwnice; następował długi dom, nasz dwór, a po lewej stronie tegoż, nowo przymurowana oficyna, gdzie były kuchnie, spizarnia, pralnia i obszerny pokój, przez brata mego Ludwika zamieszkały. Oglądając konie usłyszeliśmy mocny strzał, brat mój obrócił się żywo, pytając, co to jest? a ja choć o kilka lat od niego młodszy, z najzimniejszą krwią powiadam: „to Staś Janka zabił!“ mój brat zmarszczył czoło i mówi: „co ty gadasz?“ biegniemy ku dworowi a spotykający nas ludzie zatrwożeni, też same udzielają nam słowa: „Staś Janka zabił.“ Jakim sposobem to tak szybkie odganiecie wypadku nastąpiło, tego sobie do dziś dnia

wytłumaczyć nie umiem, że zaś zdarzył się jedynie przypadkowo, opis jego będzie najlepszym dowodem. Brat mój tego samego dnia miał wyjeżdżać po południu, a że przez Galicyą przejazd wtedy był niebezpiecznym, gdyż z powodu głodu liczne bandy się powtórzyły, przygotował więc sobie do téj podróży pistolety, każdy czterna lotkami nabity; służący mego brata tłumok pakował, Janek zaś był parobkiem do wołów, lecz doskonale czterma końmi powoził, jako rodem z Gór, wsi okolicznój, gdzie najlepsze krakowskie są furmany, mając nadzieję, że go brat na furmana liberyjnego weźmie, z tęsknotą przygotowaniom do podróży się przypatrywał i w otwartych drzwiach z sieni do pokoju brata mego stanął, oparłszy głowę o odrzwia. Lokaj tłumok urządził, kiedy Staś, chłopak do usług naszych, wielki ruszalski, wszedł do pokoju i pistolety na szkatułce przy łóżku brata leżące, wziął do rąk i do Janka mierzy, mówiąc: „ja do ciebie strzelę“. Nieborak Janek odpowiada: „strzel“, a półgłówek ten przyłożył palec do cyngla. Pistolety z pierwszego spustu biły i cztery lotki Jankowi głowę przeszły. Nie zupełnie jednak byłem odgadł, bo nie szczęśliwy Janek jeszcze 2 tygodnie żył po tym strzale. Działo się to jakoś przed zniwami.

Tego samego roku w jesieni opuściliśmy Sędziejowice i pojechaliśmy do Krakowa, gdzie matka moja kupiła była kàmienicę na Małym rynku od pana Romanowskiego. Podróż ta a raczój przeniesienie się

nasze do Krakowa, z powodu tego nastąpiło, żeśmy już byli nauki gimnazyalne odbyli. Nauki te wolno było w domu odbywać, lecz co rok do rektora szkół krakowskich jeździliśmy na egzamina, a że w roku tym już egzamina maturitatis zdałem wraz z bratem Janem, przeniesiliśmy się do Krakowa, żeby na kursa filozoficzne chodzić.

Pamiętam, że w tych podróżach na egzamina poznałem wieś Małaszów, którą matka moja była kupiła a później panu Ponińskiemu odprzedała: roku ani czasu kiedyśmy do Krakowa przybyli, nie pamiętam, to tylko wiem, że téj saméj jesieni przeciągały wojska rossyjskie, a szczególniej gwardya, przez Kraków na bitwę pod Austerlitz. Nie do wypowiedzenia jak mi się wojsko rossyjskie wtedy podobało, tak że o mało do tegoż nie wszedłem, silnie namawiany przez kapitana pułku kawaler-gwardów księcia Galicyna, któren nie wiem jakim sposobem poznawszy się z ks. Boucher i chorując w Krakowie podczas bitwy Austerlitzkiej, często przez nas bywał odwiedzany. Był to młody i uprzejmy człowiek, on nas zaręczał, że po 10ciu latach służby będziemy pułkownikami, co mnie się zdawało największém szczęściem na świecie. Nie wiem, co mnie od tego odwiodło, może grubiaństwa, któru księżę Konstanty, dowódzca tego korpusu, niektórym Polakom wyrządził; np. p. Włodzimierzowi Potockiemu stojącemu na ulicy zrzucił kapelusz z głowy za to, że mu się nie ukłonił, a z gospodarzem Szydłowskim

w którego stał, jeszcze więcej po grubiańsku obszedł się; o czém może mieszkańcy Krakowa pamiętają. Może też przeczuwałem, że Napoleon o Polsce pomyśli; to pewne, że wstręt do Austryaków już wtedy nad wstrętem do Moskali we mnie górował, bo pamiętam jak w Tarnoskale kapitanowi węgierskiej piechoty, pułku Jelacyca, Ripard (rodem Walończyk), któren mię się pytał, czy nie chcę do jego kompanii na kadeta wstąpić, odpowiedziałem językiem francuskim, którym on dobrze mówił: „oui, je serai soldat, mais ça sera pour vous sous ma jambe“, dodając giest ręką i podnosząc nogę do góry.

Nie długo kłeska pod Austerlitz już mi wszelką myśl służenia gdzie indziej jak w Polsce z głowy wybiła.

Podczas bytności naszej w Krakowie poszła druga siostra moja za męża, za p. Walentego Osławskiego, dziedzica już naówczas dóbr Janowiec, naprzeciwko Puław. Zdarzeń innych w rodzinie naszej nie przypominam sobie; zaszła jedynie zmiana stosunków między mną a guwernerem naszym, bo ten choć mnie już bić poprzestał, do czego był bardzo porywczy, chciał mnie jako żaka traktować i karać za mały występki, nie wiem, czy nie za to, że go w rękę całować nie chciałem, jakem od dzieciństwa robił; kazał mi za pokutę kłęcząc, czemu się stanowczo oparłem. Zrobiło to wielkie na nim wrażenie: a żeśmy wtenczas już nie w domu matki mojej mieszkali, ale w osobnym domu najętym.

na Szpitalnej ulicy, pobiegł żywo do matki żaląc się na moją krnąbrność i chciał aby mnie na rekolekcje do klasztoru reformatów zamknąć; lecz matka moja przywoławszy do rady szwagra mego Osławskiego i wielkiego przyjaciela domu naszego, prowincyała ojców reformatów Drochojewskiego, wesołego i miłego staruszka, wraz z nimi osądziła, że mam słuszną. Poczciwy ks. Drochojewski, jak powiadam, wielki nas wszystkich przyjaciel, który, gdy przyjeżdżał do Sędziejowic, lubił z nami figlować, bardzo mnie lubił, z powodu szczerego mego nabożeństwa i zawsze pobożną duszą w żartach swoich nazywał.

Od wypadku tego stosunki nasze zmieniły się i w najlepszej żyjąc zgodzie z ks. Boucher już żadnych kar nie odbierałem. Pomnożyło się towarzystwo nasze, ponieważ matka moja zezwoliła, aby młodych ludzi, rodzin, które z nią były w dobrych stosunkach, na edukacją przyjął i tak: dwóch młodych Goczałkowskich wnuków starościny Puszetowej, z domu Załuskiej, najpierwej przybyło; później trzech młodych Bzowskich. Spacery nasze były więc wesołe i zwykle przyłączali się do nas młodzi Michałowscy i Ożarowscy. Zeszedł czas aż do końca 1806 r. spokojnie. Jedynie Kraków mocno ucierpiał z powodu tyfusu, którym wojsko austriackie po klęskach Ansterlitzkich, Kraków zaraziło. Przy końcu roku 1806, po kampanii pruskiej, weszły wojska francuskie z Napoleonem do Warszawy i zaczęto mocno w Krakowie między młodzieżą polską do

legionów się wybierać. Austriacy swoim zwyczajem temu przeszkadzali i na kogokolwiek tylko posądzenie było, że się do wojska polskiego wybiera, brano do wojska i ubierano w kamasze. Mnie równie jak drugich zapał do wojska polskiego ogarnął. Zacząłem przemyśliwać o sposobach dostania się za Pilicę, lecz trudno było znaleźć potrzebne fundusze, bo całe życie nasze aż do roku tego, nigdyśmy grosza w kieszeni nie mieli, a nawet myśli żądania pieniędzy od matki do głowy nie przychodziły; udałem się więc do środka następującego: W czasie mieszkania mego w Sędziejowicach i rozpusty mojej wdrapania się po dachach i drzewach, takem odzież na sobie darł, że téj natarczyć było niepodobieństwem; tak iż osądzono, że najlepší jest sprawić mi skórzane spodnie, bo te i do jazdy konnej, do której często pomimo zakazów choć skrycie uciekałem się i do drapania się po drzewach, trwałszemi się okazały, lecz i to nie pomogło. Pamiętam, że stawiano obszerne stodoły w podkowę, w miejsce obalonych przez wiatr starych. Wdrapałem się więc aż do szlemienia tych stodoł, kiedy jeszcze krokiew nie było, i z wyraźnym niebezpieczeństwem życia, wsiadłszy okraczkiem na szlemię, trzy stodoły podkowę formujące, objechałem. Co mi dwie dziurki wielkości talara, w tych nowosprawionych skórzanych spodniach na tyłku wydarło; doniesiono o tém méj matce i za pokutę zrobić mi kazała frak z sukna sieraczkowego, jakiego liberya na płaszcz dostawała i spodnie ze

zgrzebnego płótna, z jakiego worki robili. W tym stroju do pani Bystrzanowskiej do Śladkowa, mnie na obiad z sobą wzięła. Można sobie wystawić, jakem się tam ciągle rumienił i ułożyłem sobie tak manewrować żeby nigdy więcej tego fraka nie wkładać. Że jednak rewizye sukien moja matka co kilka miesięcy robiła starałem się i inne suknie lepiej szanować i fraka tego nigdy nie pokazywać, żeby jej z pamięci pomału wyszedł; dojechał więc ten frak do Krakowa zupełnie nie ruszony. Umyśliłem więc frak ten na sprowadzenie potrzebnych pieniędzy użyć i mówię do brata mego Jana: „Wiesz co Jasiu, trzeba nam ten frak sprzedać, postawimy na loteryą i za te pieniądze pojedziemy do legionów.“ Jan chętnie na to przystał, zawołaliśmy żyda, którego nam dwa reńskie czyli 8 złp. za frak zapłacił. Że mój brat śmielszy był do ludzi, mówię mu: „Idźże teraz na loteryą i postaw na terno“, a na za pytanie jego, na jakie numera, dyktuję mu: 6, 12, 36. On się okrzyknął, że to złe numera. Że zgoda była między nami jak największa, pytam się go: A jakież ty chcesz? Podyktował swoje i jakieśmy zaczęli terno dobierać, zamiast jednego, 6, 12, 36 zrobiło się teraz piętnaście i w miejsce 8 złp. na terno, wypadło po 8 groszy pol. Poszedł więc i bilety na te 15 terno przyniósł. Było to w późnej jesieni, chodziliśmy na spacer, na błonie ku Woli, gdzie się piechota austriacka musztrowała. Dnia tego, w którym loterya przyjąć miała, Jaś pod pretekstem lepszego nauczania się lekcji;

pozostał w domu i dopiero wracając ze spaceru, spotykamy go zadyszanego; zbliża się do mnie i mówi: Wygraliśmy! pytam go się, jakie numera i odpowiada mi: 6, 12, 36. Mieliśmy więc siedemset kilkadziesiąt złotych, zamiast 40 tysięcy. Ani mi na myśl przyszło żebym żał do niego okazał. Powiedziałem, nic to nie szkodzi, postawimy raz drugi. Sprawiliśmy sobie rajtuzy skórą podszyte, spencery z sieraczkowego sukna, zaczęliśmy łać kule i pilnieśmy na loteryą resztę pieniędzy na próżno stawiali. Lecz ten frak wywarł wpływ na karierę moję, bo matka widząc nasze zamiary, przywołała mnie razu jednego do siebie i z dobrocią mówiąc do mnie, powiada: „Mój Henryku! Widzę, że ty z Janem chcecie iść do wojska, cieszy mnie wasze uczucie, bo wiesz dobrze, jak ja i twój ojciec ojczyznę „zawsze kochamy, ale jeżeli pójdiesz do wojska, tak „młody i bez nauk wojskowych, nie oddasz ojczyźnie „usług takich, jakie oddać możesz, posiadając nauki woj- „skowości. Powiem ci więc, że wołałabym, abyście je- „chali do Wiednia do akademii inżynierów i tam sztuki „wojennęj się nauczyli.“ Zbyt kochałem matkę, zbyt jój byłem posłuszny, zbyt zdrową wreszcie była jój rada, abym się był mógł moment wahać. Pocałowałem ją w rękę oświadczając gotowość postąpienia po- dług jój woli.

Żałuję, że dat dobrze nie pamiętam w głowie, bo może to co tu opisałem, nastąpiło w roku 1807, zaszedł był bowiem wypadek w zimie r. 1806 na 1807

któren rozmowę tę moję z matką jak mi się zdaje, uprzedził, bo już matka moja z żalem mi mówiła, że to co się w Warszawie tworzy, jeszcze nie jest Polską.

Wypadek ten był następujący: Żył w Krakowie drugi starszy brat mój Kasper; ten skończył był nauki, a że skłonność miał do strojów i zabaw, piękny nader męczyzna, nikt go nie posądzał, aby życie nieco gnuśne, na życie obozowe chciał zamienić. Razu jednego, pamiętam w zimie, wracając z akademii na Grodzkiej ulicy będącej, wstąpiłem do brata mego i z zadziwieniem widzę na szkatułce pistolety mosiężne z bagnietami. Proszę go o pożyczanie mi tych pistoletów dla strzelania do celu, on mi powiada, że dobrze, ale że bym jemu na czwartek przyniósł koniecznie. To naleganie jego na ścisłą datę dnia, spowodowało miężem go się zapytał, czy on w piątek do legionów myśli jechać? Czy się zmieszał mojem zapytaniem, a raczej twierdzeniem, bom mu powiedział: „chcesz je mieć na czwartek, bo w nocy jedziesz do legionów“, zapytał mnie, kto mi to powiedział? Że wiedziałem, iż najlepszym przyjacielem jego był równoletni, jednych z nim skłonności, pan Sebastyan Badeni, syn pani Marcinowej (jak matkę jego nazywano), zamiast odpowiedzi, kto mi powiadał, mówię: „wiem że jedziesz z Sebastyanem Badenim“, na co on: „no kiedy wiesz, to mi musisz pomódz do przeniesienia rzeczy na ulicę Sławkowską, do ostatniego domu, zdaje mi się Trebki, gdzie powóz nasz czekać na nas będzie.“ Przyrzekłem

mu, że na to liczyć może i że nikt o tém wiedzieć nie będzie.

W wieczór przed nocą naznaczoną przyszedł do księdza Boucher, aby się z nim pożegnać i jako przed przyjacielem zwierzyć. Poczciwy Boucher pomimo że był emigrantem francuskim, będąc szlachetnym człowiekiem, daleki, aby go od tego odwieść, uściskał go i zmusił, aby 50 dukat. przyjął, aby mu w drodze pieniędzy nie zabrakło i razem nas trzech braci jako i Kaspra dobrém winem w pokoju swoim sypialnym, już sam będąc w szlafroku, zaczął raczyć. Obracając się do mnie ks. Boucher dodaje: „Mój Henryku, proszę cię, daj mi słowo, że z bratem nie pojedziesz“, co mu najsoleńniej obiecałem, że tego nie zrobię; jednakże po chwili widząc, że go ta myśl mocno trapiła, bo się znowu do mnie odzywa: „Mój kochany, nie gniewaj się na mnie, że pomimo twój obietnicy ciebie na klucz „zamknę“; gdym i to z największą uległością przyjął, dużo go moja powolność ucieszyła. Nie długo po tém zagrożeniu pożegnał nas brat Kasper, bo już wszystko spało i było około 11tej w nocy. Wyszedłem z sypialnego pokoju ks. Boucher do pokoju, gdzie m sypiał i brata Kaspra we drzwiach sieni czyli przedpokoju pożegnałem, a skoro ten wyszedł, że łóżko moje obok drzwi stało, zakręciłem kluczem dwa razy, aby drzwi doskonale zamknąć, po czém się położyłem. Po chwili ks. Boucher w pantoflach i szlafroku przychodzi, aby podług zagrożenia drzwi zamknąć, chce klucz obrócić,

6.

ale ten nie idzie, ja mu wtedy mówię jak najspokojniej: „nie na tę stronę“, zakręca więc kluczem dwa razy i kompletnie drzwi mi otwiera. Wiedziałem o tém że się z klamki drzwi mocno otwierały, próbuje on więc klamką, drzwi ustąpiły, uściskał mię i spać poszedł. Pomimo że m wiedział, iż drzwi są otwarte, zaczekałem do ręki ks. Boucher dobrze nie zasnął, a wstawszy z łóżka cicho, silnie klamkę zakręcam, drzwi otwieram, aby się przekonać, że m wolny. Zasnąłem później na chwilę, ale tym snem czujnym, którego zegary bijące na mieście słyszeć dozwalały. Jak uderzyła 1sza w nocy, ubrałem się i schodzę na dół, tam nowy kłopot, drzwi na ulicę były na klucz zamknięte i grubym rygłem drewnianym w mur wchodzącym zaparte. Wiedziałem że parobek czyli gospodarz domu ogromny ten klucz gdzieś obok drzwi zwykły był zostawiać. Szukałem więc rękoma wszędzie, gdzie m się mógł domyśleć, i po długich szukaniach znalazłem na koniec. Otworzyłem drzwi, klucz z sobą wziąłem i drzwi zamknąłem ze dworu. Był to dom p. Szastra na Szpitalnej ulicy naprzeciwko kościoła i klasztoru panien Św. Tomasza. Biegnę brnąc po kolana w śniegu, do brata mego, na 2iem piętrze w domu mój matki mieszkającego; tam zastaję wszystko prawie upakowane, dał mi brat ciężką szkatułę dębową, parę pistoletów i coś jeszcze więcej i z tém wysłał na Sławkowską ulicę, do wiadomego domu p. Trebki, sam zaś pobiegł na ulicę Stolarską do towarzysza podróży p. Sebastyana

Badeniego. Zostawiwszy rzeczy we wskazaném miejscu, gdzie wierny mego brata służący Jan Starun na niego z koczem czekał, powróciłem do domu, spotkałem wtedy dopiero patrol kirasyerów austriackich: bo ci wtedy strzegli pilnie wybierających się do legionu; szczęście że już w rękę nic nie miał i ich podejrzenia nie wzbudził; miałem jeszcze czas rozebrać się i położyć nim świtać zaczęło. O godzinie 7ej przychodził fechtmistrz nazwiskiem Wangien, kapral wojska austriackiego a dezertter francuski; bo jak wojsko francuskie weszło do Polski, duża się dezercya w wojsku tém była wszczęła. Wangien prawdziwy typ francuskiego żołnierza służącego w wojsku którém pogardzał, był nieco fanfaronem i lekcy szpadronu, które mi dawał, nader głośne były, t. j. że tupanie prawej nogi o podłogę było prawie ciągłe a przy tém głośno komenderował cięcia i pchnięcia, jakich od ucznia wymagał. Skoro się lekcy zaczęła, obudził się ks. Boucher i krzyczy przez zamknięte drzwi, zapytując mię, kto metra od fechtunku wpuścił, odpowiadam mu, że metr wszedł tak jak zazwyczaj i drzwi jego otwieram, on mię wtedy z gniewem zapytuje, pokazując klucz, który z pod poduszki wyciąga, kto drzwi otworzył, a ja mu z uśmiechem odpowiadam, że to on sam zrobił, że drzwi, które ja na dwa razy byłem zamknął, on dwa razy otworzył. Chciał się z razu gniewać, ale mi łatwo było przekonać go, że się nic złego nie stało i że bratu pomogłem, a sam podług

danego słowa, pomimo chęci zamknięcia mię, pozostałem. Śmiał się więc sam z siebie i figiel mój po całym mieście się rozszedł, do czego sam p. Wangien zapewne wiele się przyczynił. Dowodzący w Krakowie generał austriacki, Hohenzoller, mocno się uśmieł i oświadczył chęć poznania mię, lecz nie chciałem mu zrobić tój grzeczności, chociaż on istotnie był bardzo godnym człowiekiem; uważałem tylko, że dwaj synowie jego równego prawie ze mną wieku, ile razy mnie spotykali na spacerze, mocno mi się przypatrywali. Wyjazd brata mego i pana Badeniego doszedł do władzy nader szybko, o nim doniosła rządowi pani Badeni, matka jedynaka syna Sebastjana. Znalaziono bowiem na schodach nowy nie noszony but, któgen zapewne służący, niosąc bagaże, upuścił i po bucie tym doszła rzecz do matki. Wysłano około południa oddział 16u kirasyerów, ale na szczęście ujeżdżających śnieg ciągle padał i wszelki trop powozu zakrył tak, że szczęśliwie Pilicę przebyli.

Zdaje mi się, że epizod ten rozmowę matki mojej ze mną, namawiającą mię do Wiednia, poprzedził.

ROZDZIAŁ IV.

**Pobył mój w Akademii Inżynierów w Wiedniu od roku 1807
aż do wyjazdu do Krakowa i końca 1809 r.**

W późnej jesieni, roku 1806 czy 1807 pojechaliśmy, ja, Jan i Wacław, do Wiednia, gdzie nas odwoził szwagier nasz Osławski. W Wiedniu pod protekcją pani Alexandrowiczowej byliśmy generałowi Bourgeois, komendantowi akademii inżynierów, przedstawieni i w kilku dniach do akademii przyjeści. Wacław jako najmłodszy, wszedł między działy klasy 1ej i 2ej, która zupełnie oddzielnie nauki odbierała, jadła i spała. Ja zaś z bratem moim Janem, weszliśmy do klasy 3ej w której było jak pamiętam 73ch uczniów i gdzie już nauki potrzebne wojskowemu dawano. Professorowie niektórzy byli cywilni, lecz drudzy jako to: nauczyciel matematyki, byli kapitanowie lub majorowie inżynierzy. Z Polaków, kiedym wszedł, było około 50ciu, lecz ci prawie wszyscy byli w klassach już wyższych; w naszej zastaliśmy tylko: Tarnowskiego którego później w pułku 46m ułanów polskich w kampanii 1812 r. kulą w głowę ugodzony, w okolicach Możajska poległ; Ledóchowskiego który w roku 1848 już jako pensyonowany generał austriacki w Węgrzech osiadł; i Dąbskiego z Krakowskiego. W innych zaś klassach było dwóch Turnów, Ignacy Ledóchowski, którego jako generała artylerji polskiej, ar-

senałem warszawskim za Królestwa Polskiego dowodził, a w ciągu wojny 1831 r. twierdzą Modlina; nie robił służby polowej, ponieważ już 1812 r., jako dowódzca baterii artylerii konnej, nogę prawą od strzału kuli armatniej był stracił.

Było jeszcze dwóch braci Zwan-Strachockich, Jan Ledóchowski dzisiejszy poseł sejmu naszego, Jędrzejowicz, dwóch braci Romanków. Zdaje mi się jeszcze Menciszewski, a reszty już dziś nie przypominam sobie. Akademia ta pod względem naukowym dzieliła się na trzy części; 1sza i 2ga klasa jak mówiłem dzieci; 3cia, 4ta, 5ta i 6ta uczniów sposobiących się w ogóle do wojska, bez różnicy broni, 7ma zaś klasa już i mundur innego koloru nosząca i w oddzielnym budynku mieszkająca, składała się z wyboru uczniów klasy 6ej, którzy się do korpusu inżynierów już liczyli i do wszystkich tajemnic budowy fortec austryackich przypuszczeni byli. Klasa ta miała najwięcej 12u uczniów, a czasem tylko 10ciu, jeżeli potrzeby wojsk tego nie wymagały. Było przyjętém, że kto nie chciał do korpusu inżynierów wchodzić, temu wolno było klasę 5ą, gdzie mechaniki głównie uczono, pominąć, t. j. że z 4ej mógł od razu do 6ej postąpić.

Życie uczniów było jak najregularniejsze i takie jakie wojskowemu przystoi; łóżko składało się z materaca z wałkiem pod tymże bez poduszki, przykrycie zwywoite odpowiednie temperaturze ogromnych sy-

pialni, gdzie po 60u lub 70u w jednej się mieściło. Każdy miał komodę o 3ch szufladach, na której stała miska i kubek cynowe; do służby uczniów było 20u z kompanii saperów, każdy uczeń mógł sobie wybrać służącego płacąc mu podług naznaczonej taksy, których nazywano putzer (chędożyciel). Tego obowiązkiem było buty i mundur chędożyć; bo strój nasz był zupełnie podobny do mundurów oficerów piechoty, i jedynie tèmeśmy od oficerów się różnili, żeśmy róż u kapeluszków nie mieli, ani téż feldcechów u szpady. Podoficerowie zaś saperów, byli naszymi dozórcami, tak w sypialniach jak w klassach. Oficerowie kolejają brali inspekcyą i trzy razy do nocy sale sypialne całą noc oświecane zwiedzali. O godzinie do wstawania wyznaczonej, w lecie 6ój w zimie 7éi, podoficer dawał znak do wstawania silném, podwójném uderzeniem, długim laskowym kijem o szeroką tarcicę. Na znak ten, każdy był obowiązany wyskoczyć równemi nogami z łózka i sięść na stolku obok tegoż będącego. Na łózku siedzieć, ani się tego dotknąć już nie było wolno. Pół godziny czasu zostawione było do umycia i ubrania się, podczas ubierania wchodził służący cywilny, ten trzewiki w nocy chędożył i liberyą akademicką podobną do cesarskiej nosił; wchodził on z koszem pełnym bocheneczków chleba żytniego, kładł każdemu na pościeli należący mu bochenek, który brano do ręki, chowano w zanadrze i stawano w szeregi na długich korytarzach, zkład manewrowano w porządku po dwóch

do kościoła, gdzie pater Felner, kapelan akademicki, mszą odbywał, do której mu zawsze 4ch uczniów służyło. Z kościoła szliśmy do klasy i w drodze był czas śniadania. Skoro się do klasy przybywało najpóźniej w kwadrans zaczynała się lekcya, najczęściej dobrego pisania lub jakiego języka; a po téj dopiero przychodził oficer wykładający matematykę, jako główną podstawę sztuki wojennej, lub inne wojskowe lekcye; o 12ej szliśmy do stołu, gdzie oprócz kilku potraw każdy dostawał porcyą wina $\frac{1}{2}$ zejdla. Po obiedzie udawaliśmy się na rekreacyą do ogrodu, po czém wracano do klas innych jak z rana, gdzie lekcye rysunków dwie godziny trwały; po tych, do ogrodu na uczenie się musztry pieszej, tak szkoły żołnierza musztry karabinowej, jak szkoły batalionu i po godzinie rekreacyi wracano do klas naukowych, gdzie zwykle wieczorami przychodził kapłan wykładać lekcye wiary katolickiej; o godzinie 7ej kolacya z dwóch potraw, z równą ilością wina, i po kolacyi prosto do łóżka.

Co 6. miesięcy następowała klasyfikacya uczniów, każdemu uczniowi dawano listę imienną całej klasy, aby ten porządek numerów tak jak cenil zdatność współuczniów, ułożył; po czém professor matematyki stanowczą liczbę układał. Wyznać trzeba że klasyfikacya ta, zawsze nader sprawiedliwą była i emulacyą wielką wzbudzała; dwaj pierwsi uczniowie w każdej lassic, tę we wszystkich wypadkach reprezentowali.

Brat mój Jan, choć młodszy odemnie, był zawsze drugim na liście, bo był nadzwyczajnej pilności i głowę prawdziwą matematyczną posiadał. Pierwszy w naszej klasie był nazwiskiem Ferro; ten był matematyką przesiąkły. Łagodnego charakteru człowiek, ale od zabaw wszelkich unikający. Ile wiem umarł on w Polsce jako oficer austriackiej inżynierii 1812 r. służąc w korpusie niby posiłkowym austriackim. Ja w tej klasyfikacji nie doszedłem wyżej jak do 110 numeru ani też spadłem niżej jak 15y, miałem bowiem wadę, że godziny do nauk matematycznych przeznaczone, na czytanie dzieł strategicznych tracił, i tak zawsze pod książką matematyczną trzymałem dzieło inne strategią wykładające; dla tego też jakem zaczął służbę obozową, nic mi nowém nie było chociaż już wtedy jako dowódzca kompanii (szwadronu) jazdy, z kolei służbę obozową całego pułku robiłem. Dobre stawianie widet, placówek, zręczne odbywanie patrolów, miałem jakby wrodzone, co temu czytaniu jedynie przypisywać mogę, bo dzieła które nam w tym względzie czytać dozwolano, były nader dokładne. Zastanawiając się nad dokładnością nauk jakie w akademii istniały a porównując te z naukami kursów filozoficznych w Krakowie, przez tychże samych Austryaków wykładanych, nie mogę pominąć systematycznego kierowania umysłów przez rząd austriacki. W Krakowie gdzie się na owcę do strzyży, na krajowego obywatela sposobił, lekcye były tak ciemno dawane, że trzeba było

i nadzwyczajnego pojęcia i nadzwyczajnej pilności, aby się czego bądź nauczyć, tu zaś w akademii inżynierów, gdzie się już człowiek do służby stanu sposobił, nauki były tak dokładnie dawane, że jak łopata mieściły się w głowie.

Winiem tu wspomnieć że wstąpiwszy do klasy mojej chciałem się od razu z Węgrami, których było więcej 20tu, zaprzyjaźnić, lecz do tego przyjść nie mogłem, pomimo usilnego mego starania. Mógłbym to nieco przypisać téj okoliczności że z bratem moim Węgier nazwiskiem Krajner chciał rywalizować, lecz pomimo że był dobrym uczniem, zdatność brata mego zawsze go za sobą trzymała, czego on strawić nie mógł, a że miał talent kupienia około siebie ludzi, nastąpiło między jego ziomkami a mną więcej niechęci jak przyjaźni i w ogóle charakter ich nie był szczéry. Gniewało ich to że we wszystkich klassach między dwoma pierwszymi zawsze był Polak. Z uczuciami naszymi narodowemi odzywać się tam nie wypadało; z resztą umiał rząd austriacki umysły dla siebie kierować, bo jak się zaczęła kampania 1809 r. bardzo wielka liczba Polaków będących w akademii poszła do wojska austriackiego na oficerów, gdyż było zwyczajem iż nawet bez skończenia wszystkich klass, kto się podał że chce służyć w wojsku, dostawał nominacją oficera. Ja o tém nigdy nie myślałem i pomimo ostrożności, koniecznie potrzebnej w tym względzie, więcej ię z Włochami tam będącymi łączyłem, bo z tych

wielka liczba ze wstrętem swym do Austrii nie tała się.

Co jeszcze charakter polski odrębny od drugich okazać może, to że w całej akademii nie było tylko cztery stancye osobne, które dopłacając pewną kwotę mieć było można, aby się tylko na liście żądających zapisać i pomimo że w akademii podczas mojej bytności, wielkie imiona Lichtensteinów, Waldsteinów, Fürstembergów i t. p. były, już kilka miesięcy przed moim opuszczeniem akademii, wszystkie cztery te stancye przez Polaków były zamieszkane i my nawet trzej bracia jedną z tych stancyi zajmowaliśmy.

Zapomniałem zrobić wzmiankę że w kilka miesięcy po naszym przybyciu i wstąpieniu do klasy 3ej zjechała do Wiednia sławna pani Staël-Holstein, córka Neckera. Ta miała syna mego wieku, któren do téj saméj wszedł klasy. Oddając go oczywiście z wysokiem bardzo rekomendacyami, co jéj położenie między arystokracją austryacką bardzo ułatwiało, że była jak wiadomo nieprzyjaciółką cesarza Napoleona, prosiła generała Bourgeois, aby jéj syna zapoznał z kilkoma lepiej wychowanymi młodzieńcami i generał nas obydwóch braci na to wybrał. Pani Staël kilkakrotnie nas na obiedzie u siebie miała, gdzie zawsze towarzystwo znajdowaliśmy liczne, lecz że między tymi gośćmi bywali zawsze dyplomaci tak rossyjski jak i inni Francyi przeciwni, a my wtenczas całe nasze nadzieje na zwycięztwach Napoleona pckładali, przychodziło tam

do częstych sporów, zresztą i młody Staël ile pamiętam nie bawił jak kilka miesięcy w akademii, było to trochę zepsute dziecko i słabiej nader kompleksy.

Zwyczaj a raczej reguła akademii była że nikt oprócz uczniów klasy 7ej nie mógł wyjść na miasto, aby jaki cywilny go nie zaprosił i po niego do akademii nie przyszedł, równie aby po témże aż do odźwiernego nie odprowadził. Znaleźć kogo, aby zaprosił choćby tylko pozornie na obiad, było trudno, ale o powrócenie do domu nikt sobie kłopotu nie robił; było więc przyjętém że się wracało do akademii i o kilkadziesiąt kroków od bramy, pierwszego lepszego cywilnego któren przechodził, prosiło się aby do odźwiernego odprowadził, do czego mieszkańcy tej części miasta już byli przywykli. Wychodzić na miasto nie można było inaczej, jak w mundurze i przy szpadzie. Mieliśmy przywilej żeśmy na teatru dworskie Burg-Theater i Kärthnerthor-Theater, płacili bilety tak jak oficerowie garnizonu t. j. 10 gr. parter i godzina była tak do powrotu spóźniona, że można było bezpiecznie po teatrze z czasem wystarczyć. W lecie wychodziła część uczniów na zdejmowanie planów w okolicy; zgoła nauki wojskowe były doskonałe, lecz za jeżdżenie konno, uczenie się pływania, trzeba było osobno płacić, których to lekcji myśmy nie brali. Umiałem pływać i jeździć na koniu tak jakem się w Sędziejowicach sam nauczył. W 1808 matka nasza, która była najlepszą matką, zjechała

do Wiednia aby nas odwiedzić i zdaje mi się, że to jój bytności w Wiedniu winienem żeśmy stancyą osobną dostali, co mi się później bardzo przydało.

Roku 1809 jak wiadomo zaczęła się wojna w dwóch stronach t. j. od Renu postępowwała armia francuska ku Wiedniowi, w czasie kiedy arcyksiążę Ferdynand z Galicyi Austryackiej przechodząc Pilicę, jak mówiono w 40,000 ruszył na Warszawę. Buletyny, extrablatt po austryacku nazywane, o ciągłych zwycięztwach wojsk austryackich nam donosiły, i dla wzniecenia większego zapału, zawsze nam te extrablatty w czasie obiadu przynoszono, co naturalnie wielkie wiwaty wywoływało, lecz przy wiwatach, nie wiem czy popędem Polaków czy inaczej, kaźden wstawszy z miejsca jak wypił wino ze szlanki tłukł tę o ziemię. Pamiętam że w tym akcie z nie jednym Włochem takżemnie mrugnąłem, mając przekonanie że extrablatt kłamie. Po dwóch takich wiwatach podziękowano nam za gorliwość zapału naszego, jednakże z proźbą, aby szklanek już nie tłuc, co łatwo zrozumieć kiedy przeszło czterysta szklanek za kaźdym extrablattem pękło. Codziennie przerzedzały się miejsca na ławkach, dla przyjmujących nominacye oficerskie. Razu jednego po bitwie pod Regensburg, gdzie wojska austryackie dużą klęskę poniosły, przemawia do nas wykładający nam matematykę, major Ennehuber: „Panowie, „nie jeden z was podał się z gotowością słuźenia kra- „jowi, lecz rząd troskliwy o waszę przyszłość, szla-

mi doręczył, poczem siedliśmy do stołu; uważałem na twarzy jego nieukontentowanie, lecz przypisywałem to jedynie wypuszczeniu z rąk swoich pieniędzy. W końcu dopiero obiadu mówi do nas: „Panowie Polacy pięknie się dziś w akademii inżynierów odznaczyli“; a na zapytanie moje co się stało, oświadcza nam że przyszły nominacje na oficerów i że żaden Polak nominacji téj nie przyjął. Nie chciałem mu mówić żem głównym tego kroku sprawcą, bom kilka dni między podaniem się naszym a tym dniem był użył aby każdemu Polakowi przedstawić że nam nie wypada w służbę austriacką wchodzić, a krok mój do generała w momencie wszędzie wiadomy, okazał im jakiej się drogi trzymać mają. Opuściliśmy dom agenta wracając do akademii gdzieśmy zastali ruch nadzwyczajny, bo każdy był nominacją na oficera odebrał i feldcech do szpady przypiął; zastałem i ja nominacją moję i mego brata, które w trójkąt złożone, bez odpieczętowania czytać było można i widziałem żem do Orelli'ego chevaux-légers na podporucznika był przeznaczony. Natychmiast te nominacje do pokoju kapitana inspekcji zapieczętowane odniosłem. Widać że uczniom akademii tego postępowania Polaków nie ogłoszono, bo każdy z kolegów który mnie spotkał pytał, do którego pułku jestem przeznaczony i każdy się dowiedział żem w Orelli cheveaux-léger'ach. Nazajutrz wyprówadzi-
liśmy się do miasta, gdzie landkuczera zgodziłem.

Wojska francuskie były wtedy w S. Pölten, t. j.

o 2 czy 3 stacye pocztowe od Wiednia, tak se oddział jeńców francuskich, który widziałem, nieopatrzony z ran świeżą krwią broczył. Zamieszanie w Wiedniu było wielkie, plakaty wzywające do broni były liczne, jeden tworzył korpus strzelców liberyjnych; inne każdy stan stosownie do możności, do stawiania w szeregach zachęcały, a liczba ułodzących ku Węgrom i Galicyi była wielka. Nagliliśmy furmankę aby spiesznie wyjeżdżał, do czego i on ile mógł prędko się zabierał. Dokompletowaliśmy mu podróźnych przez zabranie z sobą Jędrzejowicza, którego później był kapitanem artyleryi konnej polskiej, zdaje mi Strachockiego i Romanków. W Wiedniu w hotelu gdzie stałem, leżał Polak Krysztof Turno, któremu 100 reńskich pożyczyłem, bo był bez grosza, a zbyt chory aby mógł jechać; wszedł on do służby jak pierwszy wojska francuskie i mężnie przy szturmie Saragossy poległ jako adjutant Bronikowskiego jenerała.

ROZDZIAŁ V.

Wejście do pułku 5go jazdy aż do awansu na oficera, co przy końcu 1810 r. lub na początku 1811 r. nastąpiło.

Wyjechawszy z Wiednia przez Tabor-Brücke, nocowaliśmy w Austryi tak przepelnionej podróźnymi ułodzącymi, żeśmy noc na stołkach przebyć musieli.

Dojechalismy do Brunn; jadąc w mundurach, byliśmy hojnie przez oficerów pączem raczeni, bośny mówili, że jedziemy do pułków arcyksięcia Ferdynanda komendy. A że opinia publiczna extrablatami austriackimi zbałamuciona sądziła, że Warszawa Austriaków z radością przyjęła, ani im na myśl przyjść mogło, że mamy inne nadzieje; to samo czekało nas i w Ołomuńcu.

Nie wiem czy z rozmowy to z oficerami austriackimi, czy pominięta chwila szybkiej decyzji zmieniała zdania, tak brata mego Jana jak Jędrzejowicza. Ciągłe mi wyrzucali zem ich do kroku niewłaściwego pociągnął, że nam należało do wojska austriackiego wnijsć, bo już Polski niema, lecz z ogniem na to odpowiadałem: że jeżeli jój niema, to ja ją zrobię. Tak myśl w umyśle moim od młodości silnie była utkwiała i przypominam sobie, że w roku 1806 kiedy Napoleon ze zwyciężkami wojskami wchodził do Polski, poczułem smutek, czy to z zazdrości, czyli téż z obawy, że nie dobrze rzeczy krajowe pokieruje i jakby przez mgłę miałem uczucie, że jabym to był lepiej zrobił! Jakkolwiekby, ponieważ żadnych wiadomości o wojsku polskiem księcia Poniatowskiego od bitwy pod Raszynem nie mieliśmy, sądziłem że istotnie siły zbrojnej polskiej w Księstwie Warszawskiem już niema i jedynie opierając się na nadziei, że ja 19o letni chłopak Polskę wskreszę, z moimi towarzyszymi podróży walkę prowadziłem. Takieśmy dojechali aż do

Cieszyna, tam furman stanął na rynku nie wyprzęgając koni i mówił nam że parę godzin zabawi bo z właścicielem landkuczy chce się zobaczyć. Użyliśmy tego czasu aby do bliskiego kafenhauzu na śniadanie wstąpić. Gdy nam dano szynkę i wina, zbliżył się do stolika przed kilkoma miesiącami współluczeń nasz Tarnowski, którego już wtedy oberlejtantem był w pułku węgierskiej piechoty. Ten siedząc przy stoliku, nieco zepsutą polszczyzną, bo od dzieciństwa, nie opuszczając, w akademii był wychowany, mówi do nas: „Wy tam jedziecie do Polski, a wam Dąbrowski, którego 30,000 kosynierów zebrał, głowy poucina“. Popchnąłem nogą pod stolikiem brata i Jędrzejowicza żeby ich uwagę na tę wiadomość zwrócić; przed Tarnowskim zaś nie chciałem myśli mojej objawiać, ani mu się sprzeciwiać, bo miał nieco powierzchowność służbistego austriackiego oficera. Skorośmy dalej ruszyli ku Bielskowi, zaczęliśmy napotykać bataliony landwerów w czekoladowych mundurach; była to hotoła niechętna, że domy opuszcza; wszystko co od Wiednia jechało, zdrajcami nazywała. Pierwszy batalion jedynie słowami nas lżył, lecz że o kilkaset kroków ciągnęły jedne za drugimi, już następny karabinami zaczął kłóć powóz. Nie wiem przyczyny, dla której mundury byliśmy zdjęli, szybko więc wzięliśmy te napowrót i ostrym wzrokiem jakby oficerowie austriacy, patrzaliśmy w oczy przeciągającym, którzy tylko wzruszeniem nieukontentowanie wywierali.

Furman chorągiew austryacką na powozie wywiesił, co całemu ekwipażowi urzędową nadało posłać. Dojeżdżając do Bielska, czy też go minawszy, zaczęliśmy napotykać galicyjskich frejkurów, których tworzyli dla Austrii hrabiowie Lanckoroński i Rzewuski. Ze się to rekrutowanie między włóczęgami odbywało, spotkaliśmy wóz czterekonny, na którym kilku frejkurów w mundurach i z czapką czworograniastą na głowie, ze skrępowanemi w tył rękoma do góry brzuchem jak barany leżeli. Pokazałem to upierającym się ze mną bratu i Jędrzejowiczowi, mówiąc: „to wasza komenda.“ Tak rząd austryacki umiał pilnie wszelkie wiadomości taić przed krajem, że dopiero dojechawszy do Mogielan od gospodarza austrii i to w tajemnicy o prawdzie tego co się działo dowiedzieliśmy się, t. j. o zdobyciu Sandomierza, Zamościa i poruszeniu ks. Poniatowskiego na Kraków. Oczywiście że od téj chwili wszyscy byli mojego zdania. W Krakowie zastaliśmy matkę naszą. Ta po przywitaniu nas kazała nam nazajutrz wyjechać na wieś, aby władzom austryackim ująć z oka, a że podczas bytności naszej w Wiedniu, kupiła była dobra Jurków, z massy Ożarówskich, gdzie także kapitały rodzice moi mieli, i wieś Góry bratu naszemu starszemu Ludwikowi była oddała, pojechalśmy do brata naszego, t. j. ja i Jan, a Wacław jako dziecko został przy matce.

W parę dni po przybyciu do Gór, pojechał brat mój Ludwik z bratem Janem do Sędziejowic, a że na

pół drogi jest miasto Pińczów, przez które przejeżdżać koniecznie potrzeba, idąc pieszo pod górę pińczowską, spotyka mój brat Jan korpus oficerów austriackich bez szpad i między innymi znajomego naszego, ledwie nie razem z nami z akademii wysłanego; pyta go się, co on tu robi; mówi, że jest jeńcem przez Polaków pod Górą zabranym i na słowo honoru, że podczas téj wojny służyć nie będą, wracają do Austrii. Przyznać należy, że się szybko uwinął, kiedy kampanią tak prędko skończył.

Oficer ten nazywał się Zillinger, poczciwy młody człowiek ale trochę prostakowaty; że był wysokiego wzrostu, opuszczony w postawie i usta zawsze otwarte trzymał, nadano mu w klasie przydomek die Gans, gęś, choć temu lat blisko 40, doskonale to pamiętam.

W kilka dni wrócili bracia do Gór i nie długo po tém zaczął się odwrót Austriaków na Pińczów, Działoszyce, a wkrótce za nimi zaczęła się w okolicy straż przednia ks. Poniatowskiego pokazywać, która składała się z 5 pułku strzelców konnych pułkownika Turno i 6 pułku ułanów pułkownika Dzięwanowskiego. Pierwsze strzały polskie usłyszałem około Pińczowa gdzie jazda flankierowała. W parę dni dowiedzieliśmy się że pułkownik Turno znajduje się we dworze wsi Lubcza i tego samego dnia przeciągał około dworu wsi Gór, patrol 40 huzarów austriackich wysłany z patrolem od Działoszyce ku Piń-

czowu. Wysłaliśmy natychmiast rządzcę dóbr Góry, Zadębskiego, aby pułkownika Tarno o ruchu tym uwiadomił i pokazał łatwość jak ten schwycić można. Z niecierpliwością wyszliśmy na dach wysokiego na piętro murowania, w którym mój brat mieszkał. Widzimy z Lubczy wychodzący oddział któremu Zadębski za przewodnika służy, postępujący ku Górom, lecz ten wszedłszy w mały lasek na drodze będący, z tego nie wychodzi. Nie do wypowiedzenia nas to zmartwiło tém bardziej, że widzimy od Pińczowa, że owych 40 huzarów stępo manewrując wracają. Gdyby był oddział polski nie zatrzymywał się w lasku, mógł co do nogi patrol ten uchwycić, lecz spóźnienie, tamtych uratowało. Naraziliśmy się tu na wielkie niebezpieczeństwo, bo skorośmy spostrzegli oddział z Lubczy wychodzący, zasadziliśmy z konia huzara austriackiego, który na boczny patrol był wysłany i tego ja z pistoletem w rękę i lokaj mego brata Ignacy jako niewolnika strzegli. Szczęściem naszym, że huzary po swego jeźdźca nie przysłali. Nadciągnął nareszcie oddział polski i z dobytymi pałaszami galopem nas, trzymających huzara, obskoczył. Niemały był nasz postrach, bośmy dopadających nas jeźdźców za huzarów brali, nie wiedzieliśmy bowiem, że szassery na kampanią tę, przybrali byli tylko lance, a patrol z kilku ludzi, któren kilka dni pierwój okazał się w Górach, był właśnie lancami opatrzony; ci zaś ich nie mieli, lecz białe kołiste płaszcze jak huzary. Skorośmy tylko bermycę

oficerską ujrzeni opuścił nas strach, lecz zaczęliśmy oficerowi robić wyrzuty dla czego wcześniej nie przyszedł, które mu i w pułku zrobiono i pan porucznik Ejdziałowicz zmuszony był z powodu tego błędu służbę wojskową opuścić. Oddział austriacki zabrał był w patrolu ku Pińczowu podoficera Wojniłowicza i dwóch żołnierzy szasserów, których p. Ejdziałowicz, gdyby był miał więcej śmiałości, mógł z łatwością odbić. Tego samego dnia wieczorem pojechaliśmy do Lubczy, gdzie ja się zaraz do pułku Turny zaciągnąłem nie chcąc matki narażać na nieprzyjemności. Dopóki władze austriackie w Krakowie rządziły, siedzieliśmy w Górach, aż do odebrania wiadomości, że ks. Poniatowski z wojskiem polskiem miasto to zajął. Lecz nie bardzośmy długo na tę wiadomość czekali. Dat miesiąca nie pamiętam, lecz było to w samym żniw początku. Przybywszy do Krakowa dowiedzieliśmy się o wojenno-politycznym wybiegu do jakiego się Austriacy udali, aby nam osadzenie Krakowa niepodobnem uczynić. Gdy już ks. Poniatowski zbliżał się do Krakowa, wysłali Austriacy znakomitym stopniem opatrzonego parlamentarza z propozycją aby dla oszczędzenia rozlewu krwi i chcąc uniknąć zniszczenia miasta, kilka dni czasu im zostawić do opuszczenia Krakowa, co ile mi się zdaje otrzymali, lecz inaczej oni dozwolonego czasu użyć zamysłali. O 12 mil od Krakowa znajdował się w Tarnowie korpus rosyjski nietylko nas posiłkujący, lecz którego potajemnie w naj-

ściślejszych stosunkach był z Austryakami. Wysłał więc dowódzca austriacki wezwanie do ks. Suwarowa, któren tym korpusem dowodził, zapraszając go aby piechotę na wozy wsadził, i lekką jazdę szybko poruszył, by jemu, a nie ks. Poniatowskiemu posadanie Krakowa oddał. Jenerał rossyjski chętnie się do tego przyczynił i kilka kompanii piechoty zjechało na wozach do Krakowa równie jak i jenerał ze sztabem. Ks. Poniatowski dowiedziawszy się o tém zdradzieckim postępowaniu, ruszył natychmiast do Krakowa; przednią straż jego kolumny tworzyła baterya artyleryi konnej Włodzimierza Potockiego; gdy ta straż przybyła przed bramę Mikołajską, zastała uformowaną piechotę rossyjską, która z bronią na ramieniu w poprzek bramę zajęła. Że się artylerya ta stępo była zbliżyła a strzelać nie wypadało, kazał ks. Poniatowski kolumnie téj zawrócić i rozpędzając konie w galop, tak przez bramę Floryańską równie przez piechotę zamkniętą, do miasta wpaść. Stało się jak rozkazał; Moskale którzy równie strzelać nie śmieli, przed rozpedzonymi końmi rozstąpić się musieli, a że jazda i piechota ciągłym sznurem za artyleryą postępowały, zostało więc wojsko polskie na wszystkich ważniejszych punktach rozstawione. Główny odwach przy ratuszu zajęty był przez piechotę rossyjską, lecz grenadyery, zdaje mi się 12go czy 20 pułku piechoty polskiej, zostali na wyrównanie piechoty rossyjskiej sformowani; po czém dano rozkaz szlusuj w prawo, co oczywi-

ście grenadyery tak silnie wykonywali, że piechota rosyjska przed parciem ustąpić musiała. Dziwne było położenie obu wojsk w Krakowie; Moskale resztę korpusu do Krakowa ściągnęli i wszędzie jakby gotowi do boju stali. W rynku naprzeciwko Szarłej kamienicy 12 dział odprzodkowali; naprzeciwko których dwa szwadrony polskie, pierwszych dni ciągle na koniach gotowi do ataku stali. Postawiono baraki na rynku, w których kilka tysięcy piechoty polskiej obozowało, a ks. Suwarów ze swojej strony przed swoim mieszkaniem również w rynku kilka batalionów ustawił i tak wszędzie, aż ku Podgórzowi za Wisłą oddział polski stał naprzeciw rosyjskiego.

Sądziliśmy, że Napoleon korzystać będzie ze zwycięstwa, aby Polskę odbudować i austriacką potęgę zmasać w Europie; robiono nam nadzieję, że lekki korpus francuski pod komendą generała czy marszałka Berthier ruszy naprzeciwko nam i my, że wskroczy my do Austrii. Wysilenia Polaków przechodziły wtenczas wszelką miarę i możność. Wojsko polskie Księstwa Warszawskiego znacznie pomnożone zostało. Zaczęła się kampania 6ma pułkami jazdy, teraz ich było 16, w tej samej proporcji pomnożono piechotę i inne bronie, kiedy ze smutkiem doszła nas wiadomość o błędnem postępowaniu cesarza Napoleona, któren ożeniwszy się z arcyksiężniczką austriacką, Maryą Ludwiką, sobie i nam przez ten zgubny alians grób wykopał.

Nie mogę tu tak ważnej dla Polski pominąć okoliczności, abym nie wspomniał o ofiarach patriotycznych, jakie Polacy dla pomnożenia sił narodowych ponosili. Wielu utworzyło kosztem swoim pułki. P. Włodzimierz Potocki z Daszowa na Ukrainie znaczne summy wydał na wzbogacenie wojska polskiego artylerją konną, której to broni dotąd nie miała. Wybór młodzieży polskiej do téj artylerji się garnał. Hrabia Małachowski, dziedzic dóbr Końskie, utworzył pułk kyrasyerów, którego jednakże dwa tylko, lecz pięknie dobrane miał szwadrony. Piętnasty pułk ułanów uformował kosztem swoim Trzeciecki z Podola. O innych formujących pułki wspominać nie będę, bo często trafiło się, że chęci u nich przechodziły możność i nie jeden z nich straciwszy eo miał, przy tytule pułkownika starać się musiał, aby rząd resztę kosztów na dokompletowanie pułku poniósł. Lecz szczegóły te zostawić muszę temu, którego by na dowodach piśmiennych epokę tę chciał opisać. Ja tu jedynie pamiętniki moje, tyjące się méj osoby, chcę jako materyał do historyi naszej spisać.*)

*) Gdy wojska polskie w owym czasie zwały się niejako z armią francuską i jej losami, uważam za rzecz właściwą, zwrócić w tém miejscu uwagę czytelnika przelotnym rzutem oka na początek i tworzenie się tak sławnych legionów polskich, tudzież na formacyę innych w kraju pułków.

Jeszcze w 1793, generałowie Dąbrowski Henryk i Wodzicki Józef powzięli zamiar zebrania wojska polskiego i połączenia się z armią Rzeczypospolitej francuskiej. Po wzięciu Warszawy przez Suwarowa w 1794 Dąbrowski przedstawił myśl swoją, następcy Kościuszki

Nim wiadomość o zawartym już pokoju nadeszła, Kraków bawił się hucznie. Książę Poniatowski ubó-

naczelnemu wodzowi Wawrzeckiemu radząc zebrać pozostałe 20,000, wojska polskiego i te wraz z królem Stanisławem Augustem przenieść nad brzegi Renu, spodziewając się być dobrze w rzp. francuskiej przyjętym i tym krokiem zmusić dwory nieprzyjazne do układów. Stanisław August oparł się temu. Ale odtąd emigranci polscy zwróciwszy oczy na Dąbrowskiego, pod jego dowództwem zaczęli tworzyć legiony, w obozie francuskim. Za pośrednictwem De la Roche i Tremo Dąbrowski w 1796 otrzymał od dyrektoryatu francuskiego pozwolenie utworzenia legionów polskich we Włoszech. Po proklamacyi 20. stycznia 1797 tysiąc dwiestu Polaków stanęło pod jego rozkazami, we trzy tygodnie. W kwietniu już było 5000 pod bronią. Z tą siłą miał wkroczyć przez Kroczyń, Węgry, do Polski, gdy preliminarya pokoju w Leoben 18. kwietnia zniszczyły jego zamiary. Po zawarciu pokoju w Campo-Formio, Bonaparte nie dopuścił do kongresu Rastadzkiego reprezentacyi polskiej, gdy legiony w 1797 liczyły 7,146 żołnierzy podzielonych na dwa korpusy pod dowództwem generałów Kniaziewiczza i Wielhorskiego. W r. 1798 zdobyli Rzym i Mantuę. W tymże czasie generałowie Jerzy Grabowski i Władysław Jabłonowski utworzyli legiony rzymskie. W bitwach pod Civita-Castellana, Gaëta, Magliano, Calvi, Sezza, Cascano, Neapolem, Capuą wojska nasze okryły się sławą. Podczas tej wojny Dąbrowski otrzymał pozwolenie uformowania nowego pułku jazdy polskiej. Zwycięstwa generała rosyjskiego Suwarowa w 1799, wzięcie fortecy Porta-Ceresza i choroby epidemiczne zmniejszyły legion Wielhorskiego do ośmiuset ludzi. Umowa kapitulacyi wydała resztę żołnierzy w ręce Austriaków, a generałowie Wielhorski i Amilkł Kosiński wzięci w niewolę i odesłani do Wiednia. Legion zaś generała Dąbrowskiego będący podówczas w Neapolu, złączył się z armią francuską w Toskanii i w bitwie pod Trebbią, 17, 18, 19 czerwca 1799 doznał także dotkliwych strat, straciwszy tysiąc ludzi zabitych i pięciuset rannych. W bitwie pod Novi 15. sierpnia 1799 pierwszy ten legion Dąbrowskiego, walczący pod dowództwem generała Saint-Cyr, był prawie do szczętu zniszczony. Pozostali oficerowie legionieści, prosili generała Dąbrowskiego listem z dnia 2. grudnia 1799, aby się udał do Bonapartego, żądając nowój pomocy za tyle poświęceń. Dąbrowski powierzwszy dowództwo Jabłonowskiemu wyjechał do Paryża, gdzie już znajdował się pierwszy konsul, powróciwszy z Egiptu, i wyjednał z łaskawością prawo utworzenia siedmiu nowych batalionów piechoty i jednego batalionu artyleryi, pod nazwiskiem pierwszej legii polskiej, na żołdzie rplitej. francuskiej. Nad Renem utworzono inną legią, tak zwaną Naddunajską. pod dowództwem Jer-

aby ksiądz Poniatowski także go nie odwiedził. Na balu u méj matki byliśmy księciu trzój bracia przed-

wskiego i cztery inne pułki piechoty zwane legią Nadwiślańską. Napoleon wystąpił nad brzegi Ebra i Tagu, a nadto dwa pułki ułanów i jeden pułk chevaux-légerów. Bitwy pod Somo-Sierra, (30. listop. 1808) Madrytem, Valladolid, Cadixem i Occaną, w których nieśmiertelną chwałą okryli się generałowie Krasiński, Koziotulski, ks. Sułkowski i inni, byłym nowym dowodem waleczności Polaków. Wr. 1809 Austria wypowiedziała wojnę Francji i weszła z wojskiem do Księstwa Warszawskiego. Ks. Józef Poniatowski zwiększywszy wojsko stanął na czele 10,000 korpusu i pod Raszynem 19. kwietnia oparł się trzy razy liczniejszej armii austriackiej, pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda d'Este. Lecz w skutek umowy przed przemagającą siłą Austrii, wojska austriackie zajęły Warszawę. Ks. Poniatowski złożył w Sierocku radę wojenną, w której uchwalono pójść na Lublin i Lwów dla odebrania tych miast zajętych przez Austriaków. Dnia 18. maja Polacy opanowali Sandomierz a 28. maja Dunin na czele stu ochotników zdobył Lwów. Generałowie Dąbrowski i Zajaczkowski przybyli z nowymi posiłkami z Wielkopolski; arcyksiążę Ferdynand po 40 dniowym zajęciu Warszawy uciekł z téj stolicy, a 15. lipca ksiądz wszedł zwycięzko do Krakowa na czele 18 tysięcznego wojska. Generał Sokolnicki otrzymał wojenną władzę nad tą stolicą, a ks. Henryk Lubomirski władzę administracyjną. Generał Hebdowski mianowany naczelnikiem Galicji. Ignacy Potocki, Tadeusz Matuszewicz i Mikołaj Bronikowski udali się do Wiednia dopominać się u Napoleona o swoje prawa. Pokój zawarty w Wiedniu między dworem austriackim a cesarzem Francuzów (14. paźdz 1809 r.) powiększył Księstwo Warszawskie przyłączwszy do niego połowę tylko odebranych z rąk austriackich przez Polaków prowincji, a mianowicie: Krakowskie, Radomskie, Lubelskie i Podlaskie. Lwów i całą Galicję zawojowaną już przez wojska polskie, oderwane zostały. W 1809 r. 18. grudnia zwycięzkie wojska polskie, powróciły do Krakowa w tryumfie. W 1810 r. Księstwo Warszawskie wyrokiem króla saskiego podzielone zostało na cztery obwody, nad któremi władzę otrzymali generałowie Zajaczek, Dąbrowski, Kamieniecki i Sokolnicki. Ks. Józef Poniatowski został naczelnym wodzem. Piechoty 17 pułków, kawalerji pułków 16 składały tę armią 60cio tysięczną, wzmocnioną od ostatniej kampanii pułkiem kirassyerów Małachowskiego i dwóch pułków huzarów. W tym to czasie ks. Dominik Radziwiłł z Litwy, Marcin Tarnowski na Wołyniu, August Trzeciecki na Podolu utworzyli swoim kosztem każdy po jednym pułku ułanów. Inni mniej możni obywatela Ukrainy, Podola, Wołynia i Litwy formowali pojedyncze szwadrony utrzymywane na ich własnym żołdzie.

stawieni; brat mój starszy Ludwik wszedł na prostego wołyżera do któregoś pułku piechoty, zdaje mi się Stasia Potockiego. Ja, jak powiedziałem, zaciągnąłem się na prostego żołnierza do 5go pułku strzelców konnych; brat mój Jan choć najmłodszy z nas bę-

Traktat zawarty przez Napoleona z Austryą 14. marca r. 1812 i tajna umowa oddania Polakom Galicji w zamian za Illyryą, również też zamiar cesarza francuskiego wkroczenia w granice Rosyi, ożywiła na nowo nadzieje naszego narodu. Napoleon przybył 2. czerwca 1812 r. do Poznania gdzie był przyjęty przez senatorów Wybickiego i Sobolewskiego. Książę de Pradt i baron Bignon wyprawieni zostali jako ambasadorowie od dworu francuskiego, pierwszy do Warszawy, drugi do Wilna, gdy już wojska francuskie weszły do Litwy. Dnia 24. czerwca tegoż roku w Kownie armia przepawiła się przez Niemen. W kilka dni później ułani polscy ks. Dominika Radziwiłła pierwsi weszli do stolicy Jagiełłów. Napoleon przybył do Wilna 28. czerwca, w tym samym dniu gdy w Warszawie sejm walny pod prezydencją ks. Adama Kazimierza Czartoryskiego z wiceprezydentem Stanisławem Zamojskim wezwał naród do powszechnej konfederacyi, która odtąd przybrała miano konfederacyi Królestwa Polskiego. Wezwanie przyjęto jednomyślnie z niesłychanym zapalem. Wojsko polskie składało się w tym czasie z 80 tysięcy. Pod przewodnictwem Wybickiego, deputacya wysłana z doniesieniem o tém Napoleonowi do Wilna, 11. lipca, przyjęta była przez niego zimno. Tegoż dnia cesarz dawał posłuchanie deputacyi z ks. Żmujdzkiego, na czele marszałka Zagiełła, która również jak pierwsza otrzymała przyrzeczenie nagrody za poświęcenie. W Litwie ustanowiono rząd tymczasowy. Składali go Stanisław Sołtan, Karol Prozor, Józef Sierakowski, Aleksander Sapięha, Franciszek Jelski, Aleksander Potocki, Jan Sniadecki i Józef Kossakowski. Kraj organizował się według planu Napoleona. Młodzież akademicka utworzyła gwardyą honorową przyboczną cesarza, pod dowództwem Gabryela Ogińskiego. Jenerał Konopka sformował gwardyą litewską. Aleksander Chodkiewicz, Konstanty i Rudolf Tyzenhausowie, Karol Przeździecki, Rajewski, Giedrojc, Stanisław Czapski, Michał Tyszkiewicz, Giełgud, Obuchowicz, Biszping, Józef Wawrzecki, poświęcili majątki swoje dla utworzenia innych pułków. Korpus 50cio tysięcy Polaków połączony z armią francuską odbył kampanią 1812 r. Trzydzieści tysięcy żołnierzy naszych w niej poległo.

jących w służbie, zapoznawszy się z pułkownikiem 16go pułku piechoty Kęszyckim, zamienił mundur grenadyera pułku 2go piechoty, na stopień porucznika w pułku Kęszyckiego; lecz przy przedstawieniu się naszym księciu Potiałowskiemu jeszcze był prostym grenadyerem, do czego nadzwyczajnie wysoki wzrost jego dawał mu niejako prawo. Księżę brata męnu Ludwikowi miejsce w kancelaryi swojej wojskowej przetrzymał, co było grzecznym zaproszeniem, aby do towarzystwa jego należał i ciągle później u stołu księcia jadał i wieczory w jego towarzystwie przepędzał.

Mnie księżę uprzejmie podporucznikiem w pułku 7m ułanów mianował; był to pierwszy pułk z nowo tworzących się pułków, lecz podziękowałem księciu za tę nominacją, prosząc aby mi pozwolił w pułku starym, do którego się na prostego żołnierza zaciągnąłem, pozostać, abym się dokładnie służby nauczył; na co oczywiście zezwolił, może z niejakiem zadziwieniem, bo już wtedy zaczęto się o stopnie ubiegać. Do świętości orszaku księcia przyczyniał się wtedy piękny oddział guidów, dowodzony przez szefa szwadronu Miączyńskiego; był to korpus ze 100 jeźdźców złożony, którzy mandury oficerskie strzelców konnych jazdy nosili; t. j. bermysa (czapka niedźwiedzia okrągła) i krój szaserski. Zapewne ten mundur Miączyński przybrał przez pamięć dla generała Miączyńskiego, który broń tę we Francji zaprowadził i sławną dywizyą

z 4ch pułków złożoną, o której historia wojen francuskich często wspomina, dowodził.

Skoro tylko wiadomość urzędowa o zawarciu pokoju nadeszła, zaczęło wojsko polskie wracać ku Warszawie. Najpierw wracały oddziały niedoformowane i potrzebujące organizacyi lub wyćwiczenia; pułkownik Turno odebrał rozkaz posłania zakładu pułku do Warszawy, zebrał więc oddział ludzi rannych lub mniej do frontu przydatnych, dobrał do tego 80 kadetów, którzy się jako ochotnicy do pułku jego zaciągnęli. Ja w tej liczbie się znajdowałem. Oddział cały był powierzony porucznikowi świeżo na kapitana mianowanemu, Cimerman, dawnemu podoficerowi jazdy pruskiej, bo pułk nasz 5ty początkowo prawie całkowicie był zformowany ze starych żołnierzy pruskich, Polaków jak się rozumie; ale podoficerowie niektórzy, chociaż Niemcy, najchętniej służbę pruską na służbę polską zamienili. Cimerman był służbista, najzdolniejszy do utworzenia szybko zdatnych szeregowych z młodych żołnierzy. Szybkie awanse jakich 1809 r. w kampanii doszedł, winien był waleczności jaką okazał będąc wachmistrem w szarży w mieście Kocku przez szefa szwadronu sławnego żyda Berko zrobioną, gdzie Berko przez huzarów austriackich zarąbany, a Cimerman niezliczoną liczbę cięć pałasza odebrał; ręce miał tak pocięte pałaszem, że był prawdziwym kaleką; lecz że był dobrym instruktorem i administratorem zachowano go w służbie. Kadeci w tym oddziale byli oddani pod

szczególny dozór starego wachmistrza grenadyerów pułku naszego Fridriks, także Niemca. Niełatwo było staremu Fridriksowi spokojność między 30ma młodymi ludźmi utrzymać, zdrożności wielkich nie było, jednakże trafiały się małe nadużycia i tak np. pamiętam, że w marcu około Jędrzejowa stanęliśmy w zamożnej wsi, do księży Cystersów należącej. Wysłani za kwatery kadeci nie mogli się racyą żołnierską zadowolnić. Zastaliśmy więc we dworze, t. j. u rządzcy dóbr, kwaterę dla nas zrobioną, przytém zbiór kontrybucyi przez kwatermistrzów rozpisanej. Była tam znaczna liczba plastrów miodu, bo właśnie podbór pszczół wtedy się odbywał, kilka kóp jaj, kilkadziesiąt kur, mleka, séru, śmietany, masła, zgoła było czém bankietować. Stary Fridriks nie bardzo się gniewał, bo oczywiście do biesiady z nami zasiadł. Za całą tę zdrożność, ja jeden stałem się odpowiedzialny, chociaż istotnie bynajmniej się inaczej do winy nie przyłożyłem, jak tém, zem razem z innymi jadł co było: istotnie winnymi byli kwatermistrze, lecz ci nazajutrz tak umieli zręcznie dosiąć koni, że jak ksiądz kommissarz klasztorowy zaczął się o należytość upominać, nikogo już nie było na kwaterze oprócz mnie. Płacić za 30stu hulaków nie chciałem, lecz że ksiądz wymagał dowodu, aby się przed zwierzchnikami zasłonił, musiałem mu wydać bon, któren się zaczynał od słów: „Zaświadczam „jako my kadeci pułku 5go, będąc na kwaterze, tu „nazwisko wsi, data dnia i miesiąca, zjedliśmy kur,

„jaj etc.“, wszystko wyliczone. Wspominam o tém⁶ bo w kilka lat później przejeżdżając przez Jędrzejów już jako oficer, spotkałem się z owym księdzem i on mi ów kwit przypominał, mówiąc że go jeszcze zachowuje. Od téj uczyty już skromnie jak na żołnierzy przystało, maszerowaliśmy dalej. W Końskich znalazłem stojący pułk 16sty piechoty, a w tym, porucznikiem grenadyerów brata mego Jana. Karyera jego do téj chwili była następująca: chodził w Krakowie w mundurze grenadyerskim, zdaje mi się pułku 2go liniowego, lubił świat i w nim się często pokazywał, tam zapoznał się z pułkownikiem Kęszyckim, który go namówił, aby się do jego pułku przeniósł, obiecując mu nominacją oficera i kartkę czyli list do niego w téj myśli napisał. Brat mój, który umiał się dosyć wysoko cenić i praw swoich niechętnie ustępował, list ten za nominacją uważał, lecz dla tego Krakowa nie opuszczał, gdzie go zabawy trzymały. Gdy już zaczęto armią do porządku przyprowadzać, musiał mój brat, który szlify grenadyerskie na oficerskie już był zamienił, w oczy uderzyć. Przywołać go kazał generał Fiszer, który był inspektorem piechoty i zapytał go się, kto go oficerem mianował; brat mój list pułkownika Kęszyckiego na dowód mu okazał, a że wtenczas nominacji podobnych było mnóstwo i z resztą powierzchowność brata mego, człowieka dobrze wychowanego okazywała, generał Fiszer ważności nominacji nie zaprzeczył, lecz dał mu rozkaz udania się do pułku. W krótko po przybyciu

jego, zostali wysłani przez generała Fiszera niektórzy pułkownicy piechoty, starych pułków, dla zrobienia inspekcji po nowo formujących się pułkach. Do pułku Kęszyckiego wyznaczony był pułkownik Krukowiecki; mój brat starszy Ludwik chcąc Janowi pomódz, pracując w kancelaryi księcia Poniatowskiego, wiedział gdzie który pułkownik jest przeznaczony; udaje się do Krukowieckiego, prosząc go, aby przy inspekcji pułku 16go miał wzgląd na brata będącego tam oficerem. Krukowiecki, którego ton zawsze był opryskliwy, odpowiada: „Bądź pan pewny, że jeżeli brat pański doskonale musztry nie zna, to go jako ostatniego podporucznika na liście umieszczę.“ Jednakże po odbytej inspekcji umieścił brata mego jako najstarszego z całego pułku porucznika, pierwszego do awansu na kapitana, a to nie przez żaden fawor lecz następujący zbieg okoliczności. W pułku Kęszyckiego kompania grenadyerów batalionu 1go złożona była ze starych żołnierzy francuskich; byli to ludzie, którzy podczas niewygód kampanii zimowej z r. 1806 na 1807 dezertowali w wojsku francuskim, a którzy przy zwycięztwach wojska polskiego 1809 r. przyszli zmazać swoje winę, służąc w wojsku naszym, bo im przystęp do armii francuskiej nie był dozwolony, owszem kara za dezercyą, z wyraźnego rozkazu Napoleona, czekała.

Przybycie brata mego doskonale po francusku mówiącego, znającego z resztą musztrę pieszą z akademii wiedeńskiej, przyjęli ci ludzie z radością i jako poru-

cznik dowodził on tą kompanią. Gdy zjechał Krakowiecki i musztrę pułku odbył, nie mogła oczywiście żadna kompania równać się z tymi starymi żołnierzami, a że porządek ten i dokładność musztry bratu musiał przypisać, nie dziw więc, że go jako pierwszego porucznika do awansu umieścił. Że mi może okoliczność nie pozwoli już mówić o bracie moim Janie, wspomnę tu dalszą jego karierę. Umysł jego bystry, chęć awansu i niezmordowanie w pracy, nie pozwoliły mu długo nudną służbę frontową w pułku piechoty odbywać. Postarał się więc, aby wiadomości jakie miał w inżynierii polowej, doszły do wyższych władz wojskowych i na początku 1810 r. przeniósł się do sztabu głównego. Tam zdatność jego coraz jaśniej się okazywała, a gdy wojna przeciw Rosyji była łatwą do przewidzenia, wysłany został nad Wisłę w okolicę Ryki i Sieciechowa, aby plan biegu Wisły z oznaczeniem punktu, gdzieby szanice na prawym brzegu Wisły budować należało, oznaczył. Tę pracę z taką znajomością sztuki wojennej odbył, że gdy plany swoje w sztabie księcia Poniatowskiego złożył i rozmowami w memoryale poparł, w nagrodę, pomimo że awansu wtenczas w armii nie było, został kapitanem sztabu mianowany, mając wtedy lat 18. Był to człowiek do najwyższych stopni wojskowych stworzony, miałem sposobność ocenienia go gdy w kampanii 1812 r. jako pełniący służbę szefa sztabu dywizji Zajączka nieraz nad Dnieprem powierzone miał sobie rekonesansy

z kilku broni złożone. Odwaga jego przechodziła wszelkie granice i była przyczyną jego śmierci, bo prowadząc 15sty pułk piechoty do ataku na Smoleńsk, jechał on jeden konno na czele pułku, mając zawsze postawę nader strojną. Miał swój sposób noszenia kapelusza, akselbanty u munduru tak zawsze zawieszał, że mu dawały strojną postać; ogromny żabot koszuli wychodzący z rozpiętego na przodzie munduru, sprawić musiał, że cel strzelającej ze strzelnic piechoty ku niemu się obrócił, bo zginął od trzech kul razem ugodzony, a koń jego dostał ich siedem. Długie lata po śmierci jego oficerowie pułku 15go o tej jego rycerskiej postawie i śmierci wspominali.

Po jednym dniu odpoczynku w Końskich ruszyliśmy na Drzewice, Raszyn, do Warszawy, gdzie na początku zimy 1809 r. stanęliśmy. Postawiono nas w koszarach Mirowskich, gdzie zupełnie jak prości żołnierze służbęsmy odbywali. Siennik i kołdra były każdego pościelą; musieliśmy konie nasze sami chędożyć; ja miałem lokaja cywilnego, któremu jednak nie wolno było konia mego frontowego dotknąć. Musieliśmy furaz na plecach nosić, zgoła wszystkie służby odbywać równie z żołnierzami, oprócz wyrzucania nawozu z pod koni. Bardzom później w służbie mojej był kontent z tych kilku miesięcy w koszarach przebytych, bom i służbę żołnierską dobrze pojął i nauczył się jak żołnierzowi można nieraz ulżyć!

Ku wiosnie ściągnął pułk 5ty z pod Krakowa do Rawy, gdzie i zakład pułku z Warzawy ściągnięto i my kadeci do właściwych kompanii na powróteśmy wstąpili. Mojej kompanii kapitanem komendantem był Sokolnicki. W Rawie już stojąc na kwaterze, nie miałem obowiązku chędożenia konia, lecz przy trąbieniu pobudki musiałem być w stajni tak jak inni żołnierze, wolałbym jednak być konia chędożyć a spać na sienniku w koszarach, jak mieć kwaterę jaką tam miałem. Stałem bowiem u żyda rzeźnika, gdzie w dwóch izbach kilka się rodzin mieściło. Poczciwi ludzie, ale bez litości licznie rodziły się im dzieci, i kilka nocy pamiętam, jak mię przebudzały krzyki rodzących matek. Kosztował mię każdy taki połów najmnień jedno prześcieradło, bo dobrze w bieliznę w domu opatrzoney, zawsze na pieluchy nowo urodzonego prześcieradłom oddawał. W parę miesięcy zostałem kapralem i nigdy nie zapomnę, jakem się zarumienił, gdy mi przyszło raz pierwszy plutonem w zastępstwie sierżanta komenderować. W krótcie po tym awansie, którego mi gospodarz mój żyd wieszował, że kwatery jego szczęśliwa, przywołany zostałem do pułkownika Turno; ten okazuje mi list od mojej matki do niego pisany, w celu aby mi dał dymissyą. Matka moja pisała do niego, że znając moją gorliwość i nauki w Wiedniu odebrane, pojąć nie może, zem nie został oficerem, a potrzebując pomocy w gospodarstwie i interessach, chce abym do domu powrócił. Chociaż byłem zwykły matce we wszy-

stkiem być posłuszny, czułem, że tu nie tyle potrzeba mienia mię w domu, jak niechęć z niedotrzymanych przez pułkownika obietnic, do tego kroku ją spowodowała. A że mi pułkownik do woli wybór tego com miał zrobić, zostawiał, oświadczyłem że do matki pisać będę, przedstawiając jęj, że obrawszy sobie raz karierę wojskową, tęg przerywać nie mam zamiaru. Podobalo się to bardzo pułkownikowi i dalej służyłem kapralem. W parę miesięcy woła mię znowu do siebie pułkownik i powiada: „Mój panie Dembiński, patrząc „na twoje postępowanie, żałuję bardzo, że wakansu na „oficera niema, wiesz dobrze, że nam świeżo nadesłano „oficerów, z powodu rozpuszczenia szwadronu guidów, „jednakże chciałbym ci pomódz. Przepisy pozwalają „mi mianować cię adjutantem podoficerem, to ci daje „prawo noszenia szlify oficerskięj i czapki niedźwie- „dzięj oraz wspólnego życia z oficerami, to ci da prawo „do awansu przed sztandarowym i wachmistrzami, ale „że jest adjutant podoficer już jeden, mogę cię tylko „na nadkompletnego podoficera adjutanta mianować, to „jest, że płatnym nie będziesz.“ Najchętnięj to przyjąłem i w kilka dni nominacya moja wyszła, po czém dostałem urlop, aby jechać do Krakowa na wyekwipowanie się oficerskie, bo mundur podoficerów adjutantów był ten sam co oficerów. Podróż tę 30sto milową odbyłem konno ze służącym moim i wróciłem do Rawy.

Skorom się umundurował i konia kupił ruszyłem
) pułku w okolicach Krakowa stojącego, nie wiem

czy z rekomendacji pułkownika czyli téż z samego popędu komendanta kompanii (bo tak wtedy szwadrony nazywano) kapitan mój Siemiątkowski, późniéj jenerał, wziął mię do siebie na kwaterę; staliśmy ile pamiętam we wsi Pęczelicach niedalekiéj dóbr Biórkowa i Minogi do starościny Puszetowéj, kuzyny matki mojej, należących. Dobrami temi rządził, a może był właścicielem p. Jan Slaski; staliśmy we dworze i jak najgościnniej we wszystkie potrzeby opatrywani. Ze smutkiem przypominam sobie jakie klęski ściągają wojna, bo tu we własnym kraju, któren jako świeżo oswobodzony ubiegał się, aby nas dobrze przyjąć, naduzycia żołnierzy oczywiście z wiadomością oficerów czynione były bez granic i tak razu jednego zwiedzając stajnie wraz z dziedzicem zastaliśmy konie po brzuchy stojące w pszenicy, którą żołnierze snopkami dla lepszego karmienia koni z pola znosili; do jakiego punktu człowiek prędko się stanem do jakiego wstąpi, przejmie i jak mało sobie ceni żołnierz niewygodę mieszkańcowi zrobioną, sam na sobie przykład przytoczyć mogę. Gdy już pokój nastąpił, kazano nam się szerzej rozkwaterować, pojechałem więc z oficerem kompanii, w której służyłem, do dóbr Minogi gdzie podobno sztab pułku miał stanąć. Przypominam sobie, że gdy w stajniach nie było dość miejsca, szukając gdzieby we dworze konie stać mogły, zdawało mi się najnaturalniejszą rzeczą, aby nowo wystawioną oficynę, wprawdzie jeszcze nie zamieszkałą, na stajnię óbrócić,

wprawiając złoby w pokojach. Rządca dóbr przytomny tej propozycji, przyjął to jakbym zbrodnią wyrzekł, oświadczając że się tego od krewnego swój pani spodziewać nie mógł. Oczywiście doszło to do Krakowa, gdzie mię strasznie z tego powodu obgadano, a istotnie nie miałem żadnej w tém złej myśli i tego momentu, skoro się na to obruszył, odstąpiłem od mojej propozycji. Później jeszcze raz zmieniliśmy stanowiska po nastąpnym pokoju i ja stanąłem we wsi Iwanowicach niedaleko Ojcowa, gdzie był klasztor panien; stałem u kanonika, kustosa dóbr rzeczonego zgromadzenia, z kąd wyruszyłem z oddziałem zakładowym do Warszawy. Często chodził pułk do Krakowa gdzie na błoniach ku Woli odbywaliśmy manewra i za każdą razą zbliżał się do mnie pułkownik Turno obiecując mi awans na sztandarowego pułku; jednakże to nie nastąpiło, chociaż awanse w armii, a szczególnie między sztaboficerami były dość znaczne. Kapitan mój Siemiątkowski został szefem szwadronu mianowany, w miejscu Kurnatowskiego, któren na grosmajora pułku postąpił. Pułk nasz piąty, który pod względem porządku i pilności dobrze bardzo był znany, widział kilku swych kapitanów do innych pułków na szefów szwadronów awansowanych, w liczbie tych pamiętam Suchorzewskiego i Tomickiego, którzy później generałami zostali. Siemiątkowski bardzo przyjaźnie się ze mną obchodził i ile razy jechał do Krakowa, jeździliśmy razem i wtedy ja jeszcze

obcy wszelkim passyom, mogłem się przekonać jak on namiętnie lubił w karty grać, bo najczęściej wysiadał u znajomych sobie oficerów rossyjskich, którzy go nie-
 litościwie ogrywali, tak że nieraz znaczne summy w oczach moich przegrywał. Lecz ja wtedy domowe wy-
 chowanie w obyczajach mając mocno wpojone, jeszcze w karty nie grywał a na nieszczęście moje w kilka lat dopiero później i ja grę polubiłem co mię nieraz w wielkim ambarasie postawiło. Że radbym aby opis
 życia mego szczery jak go robię, mógł później przy-
 dać się młodzieży, muszę tu dodać jak namiętność do
 kart złe skutki wywarła na wypadki ojczyzny. Sie-
 miątkowski, jeden z najdzielniejszych ludzi, dobry pa-
 tryota, człowiek na szefa sztabu jakby urodzony, za-
 bity został przez patryotów w nocy 29 listopada 1830
 roku bo ciągną gra w karty z Moskalami jego za ich
 stronnika liczyć pozwoliła opinii publicznej.*)

Była jedna służba adjutantów podoficerów, którą z niezmierną przykrością odbywałem, to jest jechanie

*) J. U. Niemcewicz w znakomitým dziele p. t. Pamiętniki z czasów moich wspomina o tym samym Siemiątkowskim, z innego zupełnie na śmierć jego zapatrując się stanowiska. Jakkolwiek historia z najszerszą bezstronnością sądzić powinna tak narody jako też postęпки pojedynczych osób, zwłaszcza na widowni publicznej działających, su-
 miennym jest obowiązkiem każdego kto z bliższymi szczegółami obe-
 znany, ocalić od poniewierki jeđno z imion szlacheckich, przed powsze-
 cną opinią pochopniejszą zawsze do potępienia niż do usprawiedliwie-
 nia. Płochą namiętność częstokroć prowadzi do zbrodni, ale jeszcze
 nie jest zbrodnią. W tym razie słowa towarzysza broni, w jeđnej kom-
 panii z Siemiątkowskim służącego, nie małej są wagi.

na czele muzyki pułkowej; jak na złość miałem konia czerkiesa od oficera rosyjskiego w Krakowie kupionego, który skoro muzyka grać zaczynała, wyraźnie tańcował przed plutonem muzycznym. Chciałbym być w ziemię wrósł kiedy mi przyszło do miasta wracając z musztry na czele téj muzyki wjeżdżać. Blisko roku byłem adjutantem podoficerem, ale już służbę podporucznika we froncie robiłem nieraz, gdzie plutonem dowodził.

ROZDZIAŁ VI.

Służba przez rok 1811 aż do opuszczenia z pułkiem Warszawy na wiosnę 1812 r.

Na początku 1811 r. otworzył się w jeździe naszej liczny awans, bo przyszedł rozkaz od Napoleona, aby zamiast sześciu kompanii (szwadronów) każdy pułk miał ich osiem i aby zamiast jednego podporucznika w każdej kompanii było ich dwóch; tak że od razu 14stu podporuczników zostało mianowanych i ja byłem piątym od góry to jest, że tylko czterech starszych od siebie liczyłem. Nominacją moją odebrałem w Sieradzu*) gdzie sztab naszego pułku został przenie-

*) Przy tych nominacjach nastąpiła w naszym pułku zmiana. P. Turno został generałem brygady mianowany, a na miejsce jego pułkownikiem naszego pułku został Kurnatowski, który z kolei do tego prawa nie miał, ale mu pomogła znajomość służby i przyjaźń pułkownika Turno, który także mając nieco zawile z pułkiem rachunki, wolał tenże przyjacielowi oddać.

siony, szwadrony (2ie kompanie) zaś stały w Warcie, Szadku, Kole i Koninie, a ponieważ rozkaz był aby wojsko przyzwyczajać do ruchów ustawicznie, zmienialiśmy garnizony, zamieniając szwadron ze szwadronem. Rewie odbywaliśmy na równinach pod Kaliszem gdzie nasz pułk łączył się z pułkiem 7ym ułanów i gdzie to Roźniecki inspektor jazdy, to książę Poniatowski zjeżdżali. Przypominam sobie, ile podobne rewie młodego oficera formują, bo choć dosyć dokładnie szkołę szwadronową i plutonową umiałem, jednakże w wielkich manewrach pierwszy raz poczułem moją nieudolność, lecz to tylko raz jeden, a że wtedy generał Roźniecki przysłał nam manuskrypt regulaminu dla jazdy, bez pochwały powiedzieć o sobie mogę, że go może najdokładniej w całym pułku pojął i byłem doskonałym instruktorem żołnierza, tak że się nieraz trafiło, że na parę tygodni wysłany zostałem do innej kompanii, aby porządek w niej zaprowadzić. Pod Kaliszem miałem sposobność poznania ile dobrze zrobiłem, że nominacyi przez ks. Poniatowskiego mnie ofiarowanej do pułku 7go nie przyjął. W pułku tym był taki zarodek nieporządku, że do końca istnienia swego był zawsze ruchawką i doznał pułk ten po odbytej pod Kaliszem rewii upokorzenia, bo nakazał ks. Poniatowski aby Kurnatowski choć młodszy w nominacyi pułkownik, dozorował musztry przez pułk 7my odbywane i za wystąpieniem każdym pułku naszego, musiał

zawsze cały korpus oficerów 7go pułku, musztrze i manewrom naszego pułku się przypatrywać.

Jeszcze jako adjutant podoficer, służbę jedną do odbycia miałem niemiłą, bo i koszta za sobą niektóre pociągała, to jest musiałem jeździć do Kalisza po pieniądze dla pułku. Pamiętam jak dyrektor skarbu w Kaliszu był zdziwiony, gdy zobaczył w rozkazie który mu doręczyłem, że adjutanta podoficera po tak znaczną summę, bo było sto kilkadziesiąt tysięcy, przysyłano; istotnie była to służba kapitana płatnika, lecz wygodniej było adjutantem podoficerem, kiedy temu można było zaufać, posłużyć się.

Jako podporucznik umieszczony zostałem w kompanii kapitana Komeckiego, Kujawiaka. Był to miły i godny człowiek, pięknej odwagi jak tego później widziałem dowody, lecz w manewrach nie bardzo biegły. Stojąc z nim w Warcie, namiętnie polubiłem polowanie z chartami, bo on był wielkim jego miłośnikiem, a że na równinach Warty było między posiadaczami dóbr wielu charciarzy, częste zjazdy u nich były, co do osób liczne. Między nimi pamiętam pana Jabkowskiego, który miał nader piękną żonę z domu Okołowicz.

Na zimę z roku 1810 na 1811 przeniósł się szwadron nasz. z Warty do Koła, gdzie mię podczas zimy nowa namiętność opanowała, to jest pływaniem czołnem rybackim, robiąc sam wiosłem po szerokie rozlewającą się tam Wartę; i tak jakem namiętnie

lubił polowanie, gdzie często o 12éj w nocy z konia zsiadałem, a o 4éj z rana już na koniu na musztrze być musiałem, tak i tu byłem ciągle w czołnie na wodzie, tak że razu jednego przy ogromnym wylewie na wiosnę ledwie zyciem nie przyplącił i jedynie rybakom, którzy mi na pomoc przybyli, winienem był ocalenie, które jednak kąpielą w mundurze odkupiłem. W okolicach miasteczka Koła jeździliśmy często do starosty Kwileckiego, któren także nader piękną miał żonę, Niemkę z Berlina. Sławny on był z zapasów piwnicznych swoich i z hojnego raczenia gości dobrém winem węgierskiém. Ja wtedy wstręt wielki miałem do trunków, tak że powiedzieć mogę iż dziś bym z równym wstrętem pił szklankę atramentu, jak wtenczas piłem wino. A jednakże tak ton w okolicy panujący, jak zwyczaje wojska w téj epoce były takie, że byłby za złego kolegę uważany ktoby się przy pićciu chronił. Odchorowywałem to nieraz krótkimi wprawdzie słabościami, a jednakże pić trzeba było koniecznie. O Kwileckim i jego nałogu różne wtedy opowiadano sceny i tak: dostał on jako sędzia pokoju powiatu konińskiego, medal służący za nagrodę temu co najwięcej spraw w sądzie pokoju zagodził, miał bowiem zwyczaj kiedy strony stanęły przed nim, słuchając ich wniosków, zasypiać; a wsparty głową na lewéj ręce, palcem od prawéj ręki to kiwał jakby groził, albo z prawéj na lewą kiwając ręką jakby opowiadaniom sprawy nie wierzył, co na stronach komiczne

wrażenie wywierało. A że w końcu i na prawdę zasnął, musiała się strona do strony rozśmiać, a że kto ię rsoześmiał to już i przebaczył, wołały się strony raczej pogodzić, więc pana sędziego budzono aby wyrok napisał; z resztą poczciwy człowiek, lubiony w okolicy, i jedno drugiemu pomagało. Stałem i w Szadku gdzie pod - prefektem był p. Złotnicki równie bardzo piękną i przyjemną mający żonę, bywałem w Harłupi, dobrach p. Walewskiego, bo Kałiskie jest gniazdem Walewskich, tak prawie jak Krakowskie dawniej gniazdem Dembińskich bywało. Okolica pod względem towarzystwa była bardzo przyjemna, w samej Warcie gdzie najdłużej stałem garnizonem, mieszkał doktor Enoch równie miłą żonę mający, i dom pani Bronikowskiej wdowy, podobno po lantracie pruskim, która dwie uprzejme córki Ewę i Teofilę miała. W tych dwóch domach prawie zawsześmy przesiadywali. Na początku 1811 roku powołany został pułk nasz na służbę do Warszawy, a to z powodu że król saski, któren zarazem był księciem warszawskim, do Warszawy zjeżdżał; że zaś pułk nasz i pod względem mundurów i porządku między innemi celował, nas na służbę wybrano. Z Warszawy byłem wysłany z jednym sierżantem i jednym żołnierzem po rekrutów w Lubelskie, co było także missyą nieprzyjemną, bo w zimie maszerować konno etapami prawie samemu niemiło, a oprócz tego była podobna missyą kosztowną nieco bo nie mając eskorty, trzeba było rekrutom co

dzień wódki kupować, żeby ich od uciekania powstrzymać. Przybywszy do Lublina zastałem przydującym odbiorowi rekrutów pułkownika Tarnowskiego, któremu się zameldowałem, a komendantem placu pułkownika Tisson, który znany ze swęj żywości i roztrzepania z razu mię nie poznał, gdym do niego służbiście przyszedł się meldować. Nie spostrzegłem tego, bo poufale i jak zwyczaj miał przez ty do mnie przemawiał, że jednak chciałem się przekonać czy mnie poznał, napomknąłem coś o mojej matce, wtedy się do mnie obraca i pyta się z żywością: „A któż to twoja matka?“ a jakem mu powiedział, że się dziwię iż sobie nie przypomina pani chorążyny, jak mi skoczy do szyi i weźmie łajać, że ja przychodzę do niego po bilet kwaterniczny, kiedy on kwatery innęj wziąć mi nie pozwoli jak własne jego mieszkanie, na co musiałem zezwolić. Był on z Dembińskiej urodzony i później jako możniejszy obywatel sąsiadowi mojemu, dziedzicowi wioski Szczypiec, hojnie gościnność tę odplaciłem. Pomógł mi Tisson w tém że przy wyborze rekrutów pięknych ludzi dobrać mógłem, równie poszczęściło się mi w ich prowadzeniu, bo mi tylko jeden w tym kilkudziesiąt milowym marszu ubył. Pułkownik mój Kurnatowski, nadzwyczajnie był zadowolniony z przyprowadzonego mu oddziału. W krótcie potem wyruszył nasz pułk w okolice Skierniewic, gdzie sztab pułku konsystował. Było to jakoś około zniw. Tu miałem sposobność okazania mojej gorliwości, bo gdy służba

w pułku naszym odbywała się nader regularnie, po kolei z całego pułku podporucznik przybywał do sztabu dla służby inspekcyjnej. Do oficera inspekcji należało zwiedzanie szpitala, assistowanie odbiorowi furazu, żywności i t. p. Mając więc razu jednego tę służbę, żalili mi się furyerowie, że się nigdy z wódki w kompaniach wymierzyć nie mogą. Przyszedszy do dystrybucyi im przez magazyniera czynionój, wziąłem naczynie, którém wódkę mierzył, zmierzyszy okiem głębokość tego naczynia i powierzchowność jego, postawiłem go na ziemi, dobyłem pałasz i przebiłem dno, gdzie się okazały dwa dna, tak że przynajmniej 12stą część wódki kradł magazynier o czém natychmiast raport zdałem dowodzącemu pułkownikowi. W kilka dni później, dałem większy dowód méj gorliwości. Odebrałem bowiem od dowódcy pułku, wtedy szefa szwadronu Siemiątkowskiego, wezwanie abym do sztabu przybył: żem służbę z kolei dopiero był odbył, nie wiedziałem co ten rozkaz znaczy. Gdym stanął przed Siemiątkowskim, ten do mnie mówi: „Panie Dembiński, mam do ciebie prozbę, kolój służby odbyłeś „chodząc do Lublina po rekrutów, lecz teraz nadchodzi „ważny dla pułku interes, a żaden z panów oficerów podjąć się go nie chce, tłómacząc się że pieniędzy nie mają lub inne temu podobne dają wymówki. Wiem żeś świeżo od matki odebrał pieniądze, proszę cię więc, chciój nas z dużego ambarasu wyciągnąć. Pułk jest bez pieniędzy, trzeba do Kalisza po pieniądze

„jechać, a konie furgonowe są w Warszawie z pułkownikiem. Prawa do podwód mieć nie będziesz, lecz staraj się jak możesz dostać się do Kalisza i wrócić z pieniędzmi.“ Odpowiedziałem mu że się dziwuję, iż mię o to prosi kiedy ma prawo rozkazać i tego samego dnia ruszyłem i parę dni przed naznaczonym terminem, jadąc dzień i noc, z pieniędzmi wróciłem, w czém nie mało miałem trudności bo i papiery pułkowe nie były bardzo regularne i jedynie na usilne proźby moje w Kaliszu inspektor papiery te ulegalizował. Musiała przysługa, którą tu pułkowi zrobiłem, być znaczną, kiedy przy pierwszym wakansie na porucznika, bez wiedzy mojej, pomimo kolei zostałem mianowany, lecz to później nastąpiło bo pamiętam że jeszcze byłem podporucznikiem, kiedy pułk nasz prznosił swą główną kwaterę do Kozienic, gdzie na rewiach tam odbywanych, chociaż podporucznik, dowodziłem zawsze kiedy pułk duże manewra odbywał, kompanią; bom już w manewrach był nader biegły. Pamiętam że na jednej z tych rewii, na której znajdował się i listy pułk ułanów, w Janowcu główną kwaterę mający generał Turno; którego passyą było pułk jazdy sformować w kolumnę i tą rzucać w różne dyrekcyje szybkim kłusem, a potem rozwijać nakazawszy kolumnie pół dyrekcyi w lewo lub w prawo, co żeby dobrze pojąć i nie stracić téj dyrekcyi, przy gwałtownym ruchu i wśród kurzawy, trzeba było mieć czworobok geometryczny pola musztry dobrze w gło-

wie zasadzony; gdy razu jednego kolumnę takową sformowawszy, wykłusował ją był we wszystkich dyrekcyach, a potem nakazawszy dyrekcyą w pół prawo, po długim kłusowaniu rozwinąć kazał na którąś kompanią środkową, jedynie ja z moją kompanią prawdziwe pół dyrekcyi zachowałem; tak że jak wiatr kurzawę odpędził akuratność ta moja oparta na dobrém pojęciu manewrów widoczną się stała, co na mnie uwagę całej zgromadzonej starszyny ściągnęło. W okolicach Kozienic staliśmy aż do późnej jesieni 1811 r. Przypominam sobie jak wtedy zdrowie moje było silne, bo niedostatek pieniędzy był wielki, wojsko prawie nigdy nie płatne, zasiłki z domu nader rzadkie, bo między rokiem 1809, a 1812 kraj dużych klęsk był doznał. Życie więc moje codzienne było następujące: służący mój jadł racyą moją oficerską, podwójną jak żołnierska, miał chleb, kaszę, mięso i wódkę, ja zaś codziennie i bez zmiany żyłem następnie: zupa z mleka, kartofle ze słoniną, i węgór z octem, bo węgorki było mnóstwo, a miałem żołnierza w kompanii, który je doskonale łowić umiał. To wszystko popijałem wodą i nigdy zdrowszy nie byłem. Chodziliśmy wprawdzie na polowanie, szczególnież na kaczki i gęsi dzikie, lecz że dzikie były za dzikie, kiedy się węgorki uprzykrzył niekiedy swojska gęś za dziką odpowiedziała, bo tych ogromne stada ze wszystkich wsi okolicznych na Wisłę się zlatywały.

W późnej jesieni r. 1811 dostał nasz pułk rozkaz udania się do Warszawy. Nastąpiło to szczególnie z powodu, że pułk nasz nadzwyczajnie regularny w służbie, miał przytém mundur strojny, a spodziewany zjazd króla saskiego a księcia warszawskiego, na sejm odbywać się mający, wymagał porządnego wojska. W marszu tym nastąpił wypadek w pułku, któren mię na czas niejaki z pułkownikiem Kurnatowskim poróżnił. Oficer ze służby saskiej pan G. przez protekcyą jenerałowój Fiszerowój, którój był krewnym, przysłany był do pułku w stopniu porucznika, co już niechęć ku niemu wzbudziło, lecz im bardziej się dał poznać, tém mocniej ta niechęć ku niemu rosła; i miał zwyczaj niegodne oficera, gdzie mógł tylko co zarwać u kogo z cywilnych, tego się bezczelnie dopuszczał. Już nie pamiętam powodu, lecz z magazynierem jednym tak mocno się skłócił, że aż do razów ręcznych przyszło, a że tego pojedyńkiem nie zmazał, zdecydował korpus oficerów, że z nim służby robić nie można. Trwał ten gwar w pułku parę miesięcy; nie chcieli oficerowie lekce występować, lecz on chciał mieć dowody do skargi; ja się w to bynajmniej nie wdawałem, bo oficerowie pułku byli po największej części Poznańczyki i Kujawiaki; ja zaś jako z Krakowskiego nieco obcy w pułku byłem; jednakże gdy korpus oficerów już wyraźną determinacyą wyprowadzenia rzeczy na jaw przedsięwziął, zażądał, abym ja jako porucznik z dodanym podporucznikiem jako delegowany pułku

oświadczył pułkownikowi służbowie tę stanowczą decyzją korpusu oficerów. Na placu więc Saskim po odbytej paradzie i zaciągu warty, przystąpiliśmy do pułkownika Kurnatowskiego i służbowie tę wolą pułku oświadczyliśmy. Przyjął to z dużą nieprzyjemnością, jednakże bez gniewu, oświadczając, że się nad tém zastanowi. Że pan G. podobno był także krewnym pułkownika, a przynajmniej w dobrej żył z nim zażyłości, bo do jednej z pierwszych rodzin należał, chciał pułkownik pana G. wyratować i nazajutrz do kwatery jego zostałem powołany. Tam chciał mię koniecznie nakłonić, abym tę rzecz zatarł, lecz oświadczyłem, że to nie w mojej mocy, bo jedynie wolą jednomyslności oficerów wyznaczony do tego oświadczenia, téj nieprzyjemnej podjąłem się misyi, lecz że zarazem dzieję ich przekonanie, iż czyn pana G. mundur nasz plami. Przypominał mi, że mnie świeżo pomimo kolei awansował, lecz i to nie pomogło, owszem posłużyło mi za dowód, że żaden osobisty interes mnie nie powoduje, gdy jeden i ten sam stopień co pan G. posiadam.

Pan G. chciał niejako wybiegiem wyjść z tego położenia i wyzwał oficera pana Edwarda Potworowskiego, którego jako świadek czynu oburzającego, o nim korpus oficerów był uwiadomił. Potworowski mnie za sekundanta wybrał, poszedłem więc do pana G. i oświadczyłem mu, że oficerowie zdecydowali, iż pan Potworowski bić się z nim nie może, dopóki pułku nie opuści. Pan G. obruszył się na moje oświadczenie i przy-

pominam sobie nawet, że się porwał z łóżka i za pałasz uchwycił, lecz z zimną krwią odkryłem płaszcz kolisty i pokazałem mu, że i ja mam pałasz przy boku i że napaść odepchnąć potrafię, lecz że tego za pojedynkę nikt uważać nie będzie. Nie wiem jakby się rzecz była skończyła, gdyby nie silne protekcyje, jakie miał pan G. Te zrobiły, że cała ta sprawa przedstawiona została naturalnie z jak najlepszej strony dla pana G. księciu Poniatowskiemu i księżę kazał nam oświadczyć, że wolą jego jest, aby pan Potworowski dał satysfakcyą panu G., a ten tym sposobem w służbie pozostał. Głęboki szacunek i miłość, jakąśmy mieli dla naszego naczelnego wodza, sprawiły, żeśmy się bez najmniejszego oporu do decyzji jego zastósowali. Bił się pan G. z Potworowskim i ten ostatni został lekko ranny. Żeby już o tym panu G. nie wspominać i zarazem przekonać jak słuszne było nasze żądanie wydalenia go z pułku, co zarazem i sprawiedliwość pułkownika Kurnatowskiego wykryje, przerwę tok opisu życia mego, by karierę pana G. opisać. Na początku 1812 r., gdyśmy na prawy brzeg Wisły całą jazdą przeszli, był brak furazu i żywności wielki. Kraj wyniszczony ciągłymi datkami, nie był w stanie nie tylko wojska opłacić, ale nawet i wyżywić. Księżę Poniatowski wydał rozkaz arbitralny, upoważniający pułkowników do wysłania w okrąg stanowisk swoich, oficerów z oddziałami wojska, którzy mieli prawo wszystko to co do żywności lub furazu służyć mogło, za-

bierać. Pan G. między innymi oficerami, w okolicach Mińska, gdzie stał pułk, podobną missyą otrzymał, a zajechawszy do bogatego młynarza, kilkadziesiąt korcy kaszy jaglanej wziął mu sposobem rekwizycyjnym. A że produkt ten nadzwyczajnie drogo sprzedawał się w Warszawie, młynarz 80 dukatów sposobem łapowego dał panu G., aby mu kaszę zostawił, co ten przyjął; lecz dodawszy drugie łajdactwo, po odmaszerowaniu, posłał oficera z 4ma żołnierzami, aby tę kaszę zabrać. Młynarz oczywiście skargę do pułkownika podał i ten we 24ch godzinach pana G. z pułku wyprawił. Przy pierwszém spotkaniu się ze mną mówi Kurnatowski: „Patrzajno, ktoby się był po G. tego spodziewał“, odpowiedziałem z westchnieniem, że może widzieć, żeśmy wszyscy w pułku to przewidywali. Widocznie była niemiłą Kurnatowskiemu ta moja odpowiedź, jednakże czyn G. tak mu utkwiał w pamięci, że 1814 r. po abdykacyi Napoleona pan G. (który się był przy jakimś sztabie jenerała francuskiego zawiesił, przy nim kampanią 1812 r. odbył i stopnia szefa szwadronu się dochrapał, przeniósłszy się do sztabu jenerała Wincen-tego Krasińskiego, któren komendę Polaków był już z woli cesarza Aleksandra objął), gdy razu jednego do Kurnatowskiego, wówczas jenerała brygady, z rozkazem jenerała W. Krasińskiego przybył, napisał Kurnatowski służbowie, że imieniem Polaków prosi, aby pan G. nigdy z rozkazami nie przyjeżdżał, bo te będą zmuszeni za niebyłe uważać. Co oczywiście jego karierę woj-

skową zakończyło. W czasie bytności naszej w Warszawie, pomimo służby, jakąśmy odbywali przy królu saskim, organizacja pułku szybko postępowała, t. j. że zamiast sześciu kompanii (szwadrony) zostało ich ośm utworzonych, każda po 120 koni. Wtedy nastąpiła wielka zmiana w dowódcach szwadronów i kompanii. Pomimo niedawnego żalu prywatnego jaki Kurnatowski z powodu pana G. miał do mnie, przeznaczył mnie, chociaż tylko porucznika, na dowódcę wyborczej kompanii, t. j. grenadyerów pułku, bo jazda wtedy miała grenadyerów tak jak piechota; lecz przez zbytnią skromność odrzuciłem tę tak podchlebną ofiarę i prosiłem, aby mnie przy dowództwie kompanii 6tej, którą już byłem sobie uorganizował, zostawiono. Była to skromność prawdziwie przesadzona, bo kompanie 5ta i 6ta były zformowane z ludzi, których inne kompanie z liczby swoich wysunęły; kto więc miał pijaka, złodzieja, niechluja, lub rekruta, ten się go pozbył. Kurnatowski mocno na mnie nalegał, abym grenadyerów wziął w komendę i po długich oporach moich przysłał do mnie kapitana adjutanta, majora Stanisława Jezierskiego, aby raz jeszcze do przyjęcia komendy skłonić mię. Poczciwy Jezierski sumiennie polecenia dopełnił; wszystko co mógł przytoczył, aby mię przekonać, nawet argument, że będąc u grenadyerów, mniej na cel kul nieprzyjacielskich będę wystawiony, mając bermycę tak jak moi żołnierze, lecz wszystko było napróżno. Im bardziej widziałem trudność utrzymania porządku w kom-

panii, którą dowodziłem, tém mocniejsze było moje przekonanie, że w ręku innego ta kompania pójdzie w poniewierkę. Gdy już Jezierski widział, że stanowczo komendy tamtéj kompanii nie przyjmę, dopiero wtenczas zapytał mię, czy nie będę miał za złe, jeżeli on to dowództwo obejmie i z największą radością mię uściskał, gdym mu powiedział, że to najchętniej widzieć będę. Że miłe są wspomnienia młodości, wyliczę tu dowódców niektórych szwadronów i kompanii: Grenadyerami dowodził kapitan Jezierski; kompanią 2gą kapitan Sosenkowski; 3ą kapitan Jagmin; 4tą nie pamiętam; 5tą porucznik Ignacy Miroszewski, kapitan; 6tą ja; 7mą kapitan Wyderowski; 8ą kapitan Augustyn Brzeżański (później pułkownik Poznańczyków, t. j. 1831 r.). Szwadronem 1m dowodził szef szwadronu Siemiątkowski (później generał); 2im kapitan Komecki; 3im kapitan Jaskulski; 4tym ile mi się zdaje szef szwadronu Konarski; grossmajorem pułku był Fredro (później generał), pułkownikiem Kurnatowski.

Służba w Warszawie była dość męczącą, bo patrole nocne musiały co noc wszystkie rogatki miasta i główne odwachy zwiedzać, co przy mało brukowanej wówczas Warszawie na przedmieściach a błotnistéj ziemi było uciążliwém, tém bardziej, że tę służbę trzeba było zamieniać na służbę w pałacu, gdzie oczywiście czystość całego rynsztunku musiała być wielka. Pułk nasz odbywał służbę jakoby gwardyi. Szedł co dzień

na służbę: kapitan jeden, porucznik lub podporucznik z 30u grenadyerami trzymającymi odwach w przedpokoju królewskim na 1ém piętrze, oprócz tego porucznik lub podporucznik w 30 koni dla tworzenia eskorty powozów króla, któren codziennie na spacer wyjeżdżał. Oprócz téj służby jazdy zaciągał zawsze na służbę batalion piechoty, któren warty trzymał na dole w pałacu. Oficerowie tak jazdy jak piechoty jadali zawsze u stołu marszałkowskiego, gdzie i adjutanci królewscy którymi wtedy byli Pakosz i Paszkowski, pułkownicy i o ile pamiętam, damy honorowe siadały. Oznaka służby, oficerów jazdy, pieszo służbę odbywających, była czarna laska z białą gałką; tę kapitan oddawał do rąk kapitanowi, schodzący zaś z warty komendant 30tu grenadyerów pałasza z pochwy nie dobywał, lecz trzymając laskę w ręku, broń schodzącej warcie zaprezentować kazał; zaciągający zaś na wartę z pałaszem dobytym wchodził do salonu przedpokojowego, a uszykawszy się naprzeciw schodzącej warty, po komendzie prezentuj broń, postępował kilka kroków naprzód dla spotkania się ze schodzącym ze służby oficerem, tam dopiero pałasz chował do pochwy, laskę jako znak służby do rąk odbierał i cichym głosem zdanie służby, t. j. obowiązki, jakie były do wykonania, odbierał. Słowa te zdawania służby były zwykle następujące: „Nie pij białego wina, tylko czerwone, bo lepsze, bierz dużo na talerze, abyś wszystkiego nie zjadał, służba dworska to lubi, kieliszek pełny jak będziesz wstawał

od stołu, zostawiaj, a wtedy z ochotą liberya służyć ci będzie.“ Kto tę aryngę pierwszy zaprowadził, nie wiem, ale się szybko upowszechniła. A jeżeli sobie z przyjemnością podobne chwile młodości przypominam, z zakrwawioném sercem wraca myśl na klęski i ubóstwo, które wtenczas na kraju ciążyły. Handel zagraniczny zamknięty, pszenica bez żadnej ceny, a ciężary wojenne coraz nowe, każdy się zadłużał w tej smutnej epoce; dobra bez intraty, kredyt zniszczony, tak że na dobrą hypotekę nie można było znaleźć pieniędzy jak na 9%. Zmusiło to każdego do sprzedania wszystkich zasobów dawniejszych. Pamiętam, że w tym czasie brat mój starszy Ludwik przywiózł srebra mojej matki do sprzedania ich w mennicy. Już to pierwszą klęską było bankructwo Austrii, która bankocetle swoje, któremi kraj był przepełniony, na 33% wartości pierwszej zniżyła; lecz do tej klęski datki wojenne jak powiedziałem wielce się przyczyniały. Takśmy byli zapaleni, tak szybcy w wykonaniu najmniejszej woli Napoleona, że na sejmie tym 1811 r. został uchwalony liwerunek w naturze, któren święcie na czas wojenny tylko utworzony, do dziś dnia jako podatek stały przez wszystkie obce rządy nami rządzące jest pobierany. Żeby lepiej oddać stan uniesienia jaki panował, powiem, że jak sejm zaczął się opierać uchwale tego liwerunku, ksiązę Poniatowski, który jako wódz naczelny tego koniecznie wymagał, a jako minister wojny assystował przy sejmie, uderzając ręką o rękę-

jeść pałasza, oświadczył, że: „jeżeli sejm nie oświadczy liwerunku, to on go znajdzie.“ Obywatele zaś nie z niechęci, ale z zupełnej niemożności opierali się nowemu ciężarowi, bo kto miał, chętnie dawał, ale uchwalić datek pobierany od tego co nic nie miał, sumienie nie pozwalało. Jak zaś rząd był bez kredytu, może służyć za dowód to, że chcąc zaciągnąć za granicą 6,000,000 fr., a podobno nawet 2,000,000 tylko, gdy bankier paryski Laffitte żądał, aby cesarz Napoleon pożyczkę tę zaręczył, ten zaręczenia odmówił. Tak szkodliwą politykę przeprowadza egoizm! Król saski również zaręczenia dać nie chciał, tak że pan Małachowski*) dziedzic Nowego miasta i innych dóbr, swoje hypotekę na potrzeby kraju ofiarował.

ROZDZIAŁ VII.

Od pobytu mego w Kałuszynie aż do przejścia Niemna pod Grodnem.

Na wiosnę 1812 r. odjechał król saski do Drezna, a my coraz bardziej do wojny gotowaliśmy się. W krótkce po odjeździe króla dostała cała jazda rozkaz przejścia

*) Nie pierwszy to raz i nie ostatni rodzina Małachowskich tak wzniosłego patriotyzmu dała dowody. Mało jest rodzin w Polsce, z którychby tyle osób z równą akwapliwością poświęcało życie i majątek na usługi dla kraju, jak familia Małachowskich.

na prawy brzeg Wisły; nie wiedziałem wtedy, co było powodem tego ruchu, bo w jednym czasie piechota na lewy brzeg Wisły przechodziła. Sądziłem, że nas chciano wprawiać w służbę obozową, bo nie długo po przejściu ruszyliśmy za Bug i czasami obozowaliśmy, trzymając forpoczty jakby w wojnie. Dopiero tu w Paryżu dowiedziałem się, że te ruchy nastąpiły z powodu zawiadomienia tajemnego, jakie ksiązę Poniatowski z Petersburga otrzymał, a w którym go uprzedzano, że wojska rossyjskie chcą wpaść na nas i zniszczyć wojsko polskie Księstwa Warszawskiego, przed nadejściem wojsk francuskich, które były w marszu i niektóre oddziały już były do Warszawy doszły; bo pamiętam będąc jeszcze w Warszawie z pułkiem, kiedy gwardya króla westfalskiego przybyła tamże, pułk nasz miał z razu główną kwaterę w Mińsku, ja zaś z 5tą i 6tą kompaniami stałem w Kałuszynie i nie wiem z jakiego powodu mnie administracyą tych dwóch kompanii powierzono. Ta administracya była w owym czasie prawdziwym dowodem ufności, gdyż pomimo uchwały sejmowój, kraj nie był w stanie składać liwerunków i ksiązę Poniatowski wierny przemówieniu w sejmie, *via facti* upoważnił dowódców pułku do zabierania żywności i furazu tam, gdzie je znajdują. Forma do tego przyjęta była następująca, którą cytuję lubo z pamięci. Rozkaz jaki od pułkownika odebrałem i jaki dawałem oficerom moim podkomendnym, których z oddziałami na zabieranie żywności i furazu wysyłałem,

rozkaz ten brzmiał jak następuje: „Stósownie do rozkazów wyższych i do upoważnienia mi w tym względzie danego, wysyłam podporucznika N. N. do wsi N. N., gdzie ma rozkaz zabrania wszystkiego co tylko do żywności ludzi lub koni służyć może, na co kwit tymczasowy napisze, który ja na formalny kwit zamienię.“ Łatwo można sobie wystawić, jak podobna arbitralność do różnych zdrożności otwierała drogę. Już powiedziałem powyżej, jak porucznik G. haniebnym postępkom chciał korzystać z nieszczęścia krajowego, lecz były odcienia, które zyski dawały, które się nigdy usprawiedliwiać nie dały. Mnie samego chcieli żydzi w Kałuszyńce skusić. Miałem kilkaset korcy żyta tym sposobem rekwizycyjnym zebranych, które na obroki dla koni mierząc ośm kwart zamiast 11u owsa rozdawałem. Przyszli żydzi z przedstawieniem, że żyto niezdrowe dla koni i że to na owies zamieniają. Odpowiedziałem im, że chętnie to zrobię, lecz w stosunku cen jakie były na targu, żyto było po 24 zł. a owies po 9 i że chcę owsa próbki widzieć. Żyd zaś mówi do mnie: „Co wielmożny pan taki skrypulat, weź pan „korzec za korzec, a my panu do kieszeni po 2 talarki do korca dodamy“, i pokazał potem próbkę owsa, gdzie więcej marchwicy jak owsa było, t. j. że owies nic nie wartął i żyd byłby po prostu żyto po 2 talary kupił. Gdym tego targu odmówił, żyd do mnie: „Jaki „to pan dumny, tu stał kapitan K. pułku N., ten zawsze tak robił i jemu było dobrze i nam było dobrze.“

Żydzi zręczni, wprzód i stary miód i młodą kobietę podsunęli, lecz ja jedno i drugie podług ceny targowej zapłaciłem, a rznąc pilno sieczkę, żyto dalej końmi pasłem. Odebrali jednak żydzi dowód, że jeżelim skarbu krzywdzić nie chciałem, to umiałem pilnie uważać, aby się krzywda nikomu nie stała. Razu jednego o jedenastój w nocy wpada do mnie żyd, żaląc się z płaczem, że mu żołnierze 2 kopy sukmanek, które na targ był przywiózł, ukradli; sukmanki te, które szlachta okoliczna zagonowa licznie tu zamieszkała nosi, były snopkami powiązane, co łatwe ukradzenie robiło. Takem znał dokładnie charakter każdego żołnierza, żem zaraz poszedł do sierżanta Wysockiego i z nim do plutonu jego za strumykiem tam płynącym stajnią mającego i zapytałem się, czy skrzydłowy mój Fruszyński i rekrut Kozłowski śpią przy koniach, a przekonawszy się, że ich niema, sierżanta Wysockiego na moście zostawiłem z rozkazem, aby tych dwóch ludzi pilnował, i jak będą przechodzić, im się pokazał, tak żeby się wyprzeć nie mogli ani czasu, ani miejsca, gdzie się z nim spotkali. Stało się podług mych rozkazów i o 8ej z rana żydowi sukmanki w kupie gnoju przez tych dwóch żołnierzy zakopane, zwrócone zostały, a sąd kompaniczny złodziei tych skazał na odebranie w goły tyłek po 200 podogoniów, oprócz tego w koszulach z rozkazu już mego zostali w lochu zamknięci. Nieraz jeszcze o tym pijaku Fruszyńskim będę miał do wspomnienia. Co do tego wypadku dodam tylko, że na-

zajutrz wachmistrz mój Wroński przyszedł do mnie z raportem jakby wielkiego nieszczęścia, donosząc, że Fruszyński uciekł. Był to bowiem stary żołnierz, którego już kampanie r. 1806 i 1809 był odbył; lecz ja daleki od nieszczęścia, dałem podobno 2 zł. wachmistrzowi, żeby kazał mszę odprawić, zem się pijaka i złodzieja tego pozbył. Nie wiem, czy to radość moja, czy też wstyd dezercyi przed wojną, zrobiła, że Fruszyński wrócił. Po kilku tygodniach pobytu w Kałuszynie ruszyliśmy za Bug ku Ostrołęce, w której okolicy niejaki czas staliśmy, co sobie z tego przypominam powodu, że chłopci okoliczni pod upoważnieniem naszym bursztyn w bagnach kopali za zapłatą 2 zł. dziennie i zapewne sumiennie, co znaleźli bursztynu, oddawali, gdyż były niektóre sztuki bardzo na cybuchy przydatne. Dat poruszeń naszych nie pamiętam, wiem, żeśmy ruszyli w okolice Makobud, nimeśmy w marsz wojenny ku Grodnu postąpili.

ROZDZIAŁ VIII.

Ruchy nasze od Grodna aż do Smoleńska.

Przez Grodno wkroczyliśmy do Litwy. Pułk 1szy strzelców konnych tworzył straż przednią i prawie bez oporu, bo tylko z kozakami się postrzelał, przeszedł Niemen. Pułk ten należał do brygady generała

Tyszkiewicza, tworzył zaś brygadę z pułkiem drugim ułanów; dowódcą naszej brygady był generał książę Sułkowski a pułk z nami brygadujący był 13ty huzarów, pułkownika Tulińskiego. Nie pamiętam dobrze, jak dywizye jazdy były dzielone i kto niemi dowodził. Do dywizyi, gdzie brygada nasza należała, tworzyły drugą brygadę pułk 4ty strzelców konnych, pułkownika Dolfus, i 12ty pułk ułanów pułkownika Ryszczewskiego.

Zbyt zajęty byłem służbą mojej kompanii, zbyt mało się lubiłem zajmować tém co do mnie nie należało, dla tego podziału wojska naszego dokładnie nie pamiętam. Korpus polski księcia Poniatowskiego składał się z 3ch dywizyi piechoty dowodzonych przez generałów (Dąbrowskiego, Henryka) Kniaziewicza i Zajączka. Dywizya Dąbrowskiego, do której 2 pułki jazdy przyłączono, zostawiona była na Litwie, dla obserwowania twierdzy Bobrujska. Oprócz dywizyi piechoty i jazdy był korpus rezerwowy z 6ciu pułków jazdy pod komendą generała Roźnieckiego. Ten był przyłączony do korpusu generała francuskiego Latour-Mobourg, któren miał pod swoją komendą kirasyerów saskich, huzarów westfalskich i podobno parę pułków francuskich. Planów głównych oczywiście wtenczas nie znałem, dopiero w czasie ruchów o tyle, o ile to korpus nasz obchodziło, obeznałem się. Plan Napoleona, który pod Kownem Niemen przeszedł, był aby generała księcia Bagration, t. j. 40,000 wojska,

od głównych sił rosyjskich ku południu oddalonego odciać. Wysłał więc ~~do~~^{od} Wilna skośnym marszem korpus marszałka Davousta, ~~do~~^{od} Mohyłowa nad Dnieprem, a my wówczas pod komendę króla westfalskiego brata cesarza Napoleona oddani, mieliśmy korpus ten Bagrationa tak przec, aby czasu do odwrotu nie miał zmuszonym będąc do bicia się z nami. Lecz tu król westfalski nie wiem z jakiego powodu 10 dni czasu stracił, jak mówiono wtedy, że kąpiele brał w Grodnie. Staliśmy więc w okolicach Żołądka czas niejaki, Bagration zaś czasu nie tracąc, szybko ku Mohyłowu się cofał. Dopiero nagle rozkazy korpusowi naszemu dane i odebrane nad nim dowództwo królowi westfalskiemu, pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego pozwoliły nam ruszyć, aby Bagrationa dośięgnąć. Maszerowaliśmy dzień i noc przez błota Pińskie, idąc na Słuck, w którym to marszu ogromne straty tak w ludziach jako i koniach ponieśliśmy. Kurzawa na gościńcach tak była wielka, że czy koń siwy czy kary jednę zawsze był barwy, ani w znaku koloru munduru, ani twarzy, różnicy nie było; na ćwierć cala kurzawa wszystko pokrywała a przy tém skwar słońca w bagnistej okolicy, bąki i komary trapiące konie, marsz ten ciągle forsowany nad wypowiedzenie przykrym robiły.

Konie nasze żyły albo żytem w ziarnie albo trawą koszoną; każda kompania miała po 2 kosy, żeby trawy, skoro stanęła obozem, dla koni ukosić. Ta zmiana

karmy robiła, że nam konie okropnie padały; nie było dnia, żeby najmniej 20 koni na apopleksyą nie padało, i to zwykle te, które w najlepszym bycie ścierwa były. Oprócz tego ochwat czyli sztywnienie nóg, były ustawiczne. Ciągłe marsze nie pozwalały koni przekulbaczać, co przy gorącu nader wielką liczbę koni pod terlicami opsuwało.

Nieraz mi to przyszło żałować, że m ofiarowanej komendy w Warszawie, w kompanii grenadyerskiej, nie przyjął. Zły skład mojej kompanii z niedbałych ludzi i rekrutów złożonej narażał mię na służbę nader utrudzającą. Żeśmy późno w noc stawając obozem dużo przededniem już dalej wyruszali, musiałem każdego żołnierza, szczególnież z 2go szeregu, gdzie rekrutów był wpakował, obydwoma rękami od głowy do pałasza obmacywać, gdy już siedział na koniu, bo zaspani ludzie kaszkietów, pałaszy, karabinków na smyczy, lub kocielków przytroczonych do mantelzaków zapominali. Łajanie i karanie nic nie pomagało, a jeżeli kiedy tego obmacania zapomniiał, to jak rozwidniało, pokazało się, że część ludzi z gołą maszerowała głową a część bez pałaszy. Żem sam tym trudom wydołał, jedynie młody wiek, licząc zaledwie lat 22, tłumaczy.

Pomimo tego szybkiego naprzód posuwania się, Bagrationa trudno było doścignąć, wzorowo się cofał, a jeżeliśmy go dopadli, dzielnie się bronił. Tylnią straż jego tworzył sam hetman Płatow, któren jak mówiono piętnaście tysięcy kozaków pod bezpośrednią

swoją miał komendą. Pierwsze spotkanie naszej przedniej straży pod dowództwem generała Roźnieckiego, było pod Mirem, lecz ono najniekorzystniej dla nas wypadło, przełamana linia naszych ułanów, popłoch powszechny w tych 6ciu pułkach sprawiła. Pamiętam, że miałem służbę pułkową w dniu téj potyczki, a że korpusem jazdy za generałem Roźnieckim postępującym dowodził generał Kamiński, byłem przy nim, kiedy pierwsi uciekający, niby żądający posiłków, przybywać zaczęli. Stanęliśmy wieczorem blisko milę drogi od Mira, do którego miejsca generał Tyszkiewicz z 1m pułkiem strzelców konnych i 2ma działami był wysłany. Generał Kamiński, który jak powiadano, był zdolny generał jazdy, stanął obozem nad szerokim rowem, cały front nasz zakrywającym, czekając na raporta generała Tyszkiewicza, rzucił się na słomę przy mostku rozłożoną i kazał mi obudzić siebie, gdyby jaki raport nadszedł; polecił zarazem, abym wszystkich po posiłki przybywających, aresztował. Była nie daleko za nami karczma zajezdna, szeroko parkanem obwiedziona, tam postawiłem wartę i każdego po posiłki przyjeżdżającego do téj karczmy pakowałem. Nie chcę wymieniać nazwisk, które z rana robiąc przegląd, znalazłem, niektórzy wyprosilili się, zem ich wypuścił, nim oddział generałowi Kamińskiemu przedstawiłem. Jednakże po tym wypuszczeniu jeszcze ze 60 tych junaków generałowi z rana przedstawiłem.

W godzinę lub półtóry po zaśnięciu generała Kamińskiego nadjechał jeździec z raportem generała Tyzkiewicza. Ten donosił jak potyczka była niepomysłną, jak jego przybycie z pułkiem 1szym strzelców konnych złemu położyło koniec, i pamiętam słowa raportu w języku francuskim pisanego, gdzie donosił, że lewe skrzydło cofnęło się i że do tego czasu wiedzieć nie można, co się z generałami Roźnieckim i Turno stało. Nazajutrz ruszyliśmy naprzód, cała komenda była pod dowództwem generała Roźnieckiego. Nie wiem czy przez nikczemną zemstę, bo brakowi zdolności tego przypisać nie można, generał Roźniecki pułk ten, który go w wilią wyratował, t. j. 1szy strzelców konnych, wysłał sam jeden ku nieprzyjacielowi, tak żeśmy ruszyli w marsz, kiedy pułk ten najmniej $1\frac{1}{8}$ mili od nas był się odsadził. Płatow po bitwie pod Mirem cofając się za Bagrationem udał się pod Romanów. Położenie okolicy była to szeroka przestrzeń na której kilka wsi się znajdowało, z prawej i lewej strony lasami zamknięte. Pułk 1szy strzelców konnych czy nie ostrożnie, czy za śmiało postępując za kozakami, spostrzegł za późno ogromne ich masy wsparte artylerją Bagrationa. Po kilkunastu strzałach armatnich zrobili kozaki, oskrzydłając pułk z lewej i prawej strony, gwałtowną szarżę, pułk ten nie wytrzymał i znowu zaczęli po posiłki przybywać oficerowie strzelców konnych tak jak w wilią przybywali ułani. Szwadron, w którym była moja kompania, dodany był za

eskortę dwóm działom artylerji konnej podporucznika Straszewskiego. Już kozaki pomieszani ze strzelcami, całym pędem koni zbliżali się do nas, kiedy te dwa działa otworzyły ogień, co oczywiście wszystkich kozaków wstrzymało, i niedobitki pułku 1go strzelców konnych złączyć się mogli. Stracił pułk ten blisko 400 koni, więcej w niewolę wziętych jak zabitych. Postępowała kolumna nasza naprzód pod dowództwem Latour-Moubourga i nieprzyjaciel silnym ogniem armatnim przyjąwszy nas, do boju otwartego nie wystąpił, lecz korzystał ze zbliżającej się nocy, aby dalszy swój obrót ku Mohylowu prowadzić. Raz tylko jeszcze i to w południe naszliśmy na Bagrationa, a że położenie było leśne, wpadliśmy na obóz piechoty jego bez widzenia się z kozakami. Lecz i tu nie dał się Bagration napaść; zastaliśmy obóz próżny, bydło świeżo zarżnięte leżało na ziemi, ale zdobyczy innéj nie robiliśmy, chociaż się to działo mało co po godzinie południowej. Ruszyliśmy za nim bez najmniejszej straty czasu i choć las sosnowy, przez który się cofał, za sobą zapalił, z zamkniętymi oczami przez dym i kurzawę szliśmy za nim napróżno. Pamiętam, że jadąc przez ten las ze spuszczone mi ku ziemi oczami, dla ochronienia się od dymu i kurzu, znalazłem fermoaerek mały na jedwabnym czerwonym sznurku, na którym były litery M. E. a na drugiej stronie moi, co w téj chwili przeznaczyłem siostrze mojej Annie, którą bardzo kochałem. Od tego spotkania, jużeśmy śladu

Bagrationa nie widzieli; doszedłszy do Mohylowa, defilowaliśmy przed osobą marszałka Davousta, któreń forsownemi marszami tyle tylko dokazał, że pod Mohylowem przy przejściu Dniepru tylnią straż Bagrationa dopadł. Miłe wrażenie na nas sprawiło przyjęcie jakiegośmy od tego marszałka doznali; miał zwyczaj z gołą głową często się znajdować, trzymał więc w ręku prawym kapelusz cały czas kiedyśmy około niego manewrowali, cośmy za oznakę szacunku przyjęli. Marszałek Davoust z korpusem swoim udał się pod Smoleńsk, my zaś po 240 godzinnym odpoczynku pod Mohylowem ruszyliśmy w lewo, dla zajęcia pozycyi o milę od Dniepru między Mohylowem a Szkwłowem

Nim piechota nasza Mohylów opuściła przybył jako ochotnik do pułku 120 piechoty brat mój najmłodszy Waclaw, który wtedy mało co więcej nad 15 lat liczył. Widać że matka moja, przy której w dobrach Jurków bawił, długi czas się opierała w pozwoleniu aby wstąpił do wojska, co jego młody wiek i nader łagodny charakter tłumaczy. Jednakże gdy sama gorliwą była patriotką a nadzieje odbudowania Polski zdawały się oczywiste, nie chciała martwić syna w odmówieniu aby w walce za ojczyznę nie wziął udziału. Że zaś czasy pieniądze były tak krytyczne że nawet na drogę do Warszawy trudno jój było wystarczyć chociaż posiadała znaczne dobra, popłynął więc na galarach z pszenicą do Warszawy spławianą, i tém samém tak późno, że już wojska naszego tamże

nie zastał. Zapisał się do zakładu pułku 12go piechoty, gdyż tenże długo zostający w Krakowie najwięcej mu był znajomy. Wziął karabin i z małym nader oddziałem doszedł do pułku w Mohylowie, tam przez sztabs-oficerów pułku poznany, którzy chcieli go przynajmniej od ciężaru karabina uwolnić, nominowany był adjutantem-podoficerem. Ledwie ten stopień otrzymał, nadszedł rozkaz marszałka Berthier, szefa sztabu cesarza Napoleona, aby z każdego pułku piechoty po jednym oficerze polskim do sztabu cesarskiego nadesłać, i zapewne z powodu że mój brat dobrze język francuski posiadał, mianował go ks. Poniatowski podporucznikiem i wraz z innymi oficerami podwodą udał się do Smoleńska, do ataku którego wszystko zmierzano. Ja brata mego tu w Mohylowie wcale nie widziałem, zajęty służbą dosyć ważną, jak to poniżej opowiem, oddać się na godzinę nie mogłem. On ze swojej strony, wykonywając powyższe rozkazy, ani chwili tracić nie mógł.

Ledwieśmy pozycją o milę od Dniepru zajęli, gdy nadszedł do naszego pułku rozkaz, aby szwadron jeden pułku 5go strzelców, w którym służyłem, posunąć naprzód i posterunkami biegu Dniepru pilnować. Nie wiem czy z ufności we mnie, czyli też z powodu że 5a i 6a kompanie jako nowo uformowane, najmniej ceniono w pułku, wyznaczono mię na dowódcę tych dwóch kompanii. Kapitan bowiem kompanii 3ej Mirszewski Ignacy zachorował i leżał w Mohylowie.

Ruszyłem w godzinę po otrzymaniu rozkazu do wsi gdzie mi sztab kompanii kazano trzymać. Słońce już było blisko zachodu kiedym nad Dnieprem stanął. Dwór we wsi na dosyć wysokiej górze wolnym spadkiem do Dniepru zniżającej się, był kompletnie spalony przez maroderów francuskich korpusu Davousta, który tędy przeciągał. Obszerne stodoły, próżne kompletnie, zostały całe, a że się na noc pogodną zabierało, kazałem na podwórzu wzdłuż jednej stodoły paliki obozowe powbijać i kompanii obozować, a sam z plutonem wyjechałem dla obstawienia Dniepru wedetami. Skorom tę służbę odbył, wróciłem w miejsce na obóz kompanii przeznaczone. Wachmistrz zaraportował mi że żołnierze kilka kuf wódki znaleźli w parowie chmielem obsadzonym i że już kilku jest pijanych. Że wedety i placówki dobrze były rozstawione, konie na noc pokiełznane, położyłem się na lewém skrzydle kompanii, tak jak go we froncie zajmowałem, trzymając konia za cugle jak każdy żołnierz; zaledwie zasnął obudzony zostałem dziwném zjawiskiem. Mój skrzydłowy Fruszyński tam gdzie wódka była, musiał jój więcej wypić jak każdy inny, ale jako stary wyjadacz umiał to postawą starego żołnierza pokryć. Postawiony na wedecie nad Dnieprem zasnął, a koń wolne czując cugle obrócił się i stępo do kompanii powrócił. Budzę się przy jasno świecącym księżycu i widzę tę ogromną wieżę, przezemnie ostrożnie stąpającą, aby miejsce na skrzydle zająć. Poczciwy de-

resz delikatnie nogi stawiał; jednakżem się obudził i mego Fruszyńskiego z pistoletem w rękę i z pałaszem na tęblaku mocnym krzykiem przebudziłem. Naturalnie wedetę zmieniłem, a Fruszyński ukarany został. Nazajutrz rozpoznawszy lepiej położenie, postawiłem pluton z podporucznikiem Lewickim, nad promem w lewo wsi którą zajmowałem i patroliki za Dniepr wysyłać rano i w wieczór kazałem. Kompania 5ta odmaszerowało więcj ku Mohylowu i przysłany został na jój dowódcę, porucznik Kope. W parę dni zjechała dziedziczka wsi, z Mohylowa, a że nie było na czém usiąść w stodole którą zajmowałem, wołała w ogrodzie bawić. Wiśnie wtedy drzewa okrywały i na oświadczoną chęć, że chciałyby tychże zjeść jako jedyną rzecz całą, którą jój zostawiono, skoczyłem na drzewo dość wysokie a rwąc wiśnie jój zrzucałem, gdy w tém nagłe kilkakrotne strzały pistoletowe w dyrekcyi promu słyszeć się dały. Zeskoczyć z drzewa, wpaść na konia i pędzić do promu nie zabrało minuty czasu, tam zastałem oddział kozaków który przed flankierami naszymi ustępował; posłałem rozkaz do kompanii, aby pluton inny tu przybył, a sam z Lewickim i jego plutonem ruszyłem za kozakami żeby widzieć w jaką stronę cofać się będą i poznać zarazem czy tam większe znajdują się siły. Widać że kozaki daleko od komendy swojej byli się oddalili, bo milę drogi bez oporu postąpiłem naprzód, aż do wsi Chwaszczówki do ojców Jezuitów (z Orszy) należącój. Tam zastałem

we dworze dwóch czy trzech ojców, którzy z moją podziwieniem nader zimno nas przyjęli, jednakże ofiarowali obiad który przyjąłem wysyłając mały patrolik w dyrekcyi kozaków. Jużem się zabierał do powrotu gdy mi nadszedł ze sztabu dywizyi generała Zajączek rozkaz pozostania w miejscu dla tworzenia przedniej straży oddziału, który w tej dyrekcyi silniejsze rozpoznanie miał robić. Jakoż nazajutrz przybył szef szwadronu Siemiątkowski ze szwadronem jazdy do którego był dodany oddział piechoty, a całą kolumną dyrygował brat mój Jan, pełniący obowiązki szefa sztabu dywizyi Zajączka, w zastępstwie wprawdzie pułkownika Wejsenhof, później generała. Skoro ten oddział przybył, dano mi polecenie ruszenia w 30 koni aż do miasteczka Horodło, gdzie miałem zetknąć się z generałem francuskim. Wyruszyłem nocą z miejsca spoczynku, a zaledwie milę drogi uszedłem, przechodząc koło brzozowego lasku, do którego na spatrolowanie posłałem w prawo od drogi sierżanta Wysockiego z trzema szasserami, sam stanąłem dla odebrania rapportu czy nie ma ukrytych kozaków. Po krótkim czekaniu wraca Wysocki i przywozi śliczne siodełko angielskie, gdzie róg drzewo zastępował i oświadcza, że to jest dar generałowej rossyjskiej, która w kilka powozów w tym lasku obozuje, dodając że bebeczów zarzniętego bydła i owiec widział dużo, bo dwór był liczny i powozów kilkanaście. Opowiadał że ta pani świeżo obudzona, klękała przed nim oddając

mu klucze od wszystkiego aby jej tylko życie darował, lecz poczciwy Wysocki dzielny żołnierz, był nader łagodnego serca, daleki od rabunku i straszenia niewiast. Pogańcem mu że siodło to przyjął, lecz mi się tłumaczył, że się usilnym prozbom generałowej oprzeć nie mógł. Ruszyłem więc dalej bez widzenia się nawet z generałową. Boli mię tu wspomnieć, że nieszczęśliwa ta kobieta w parę dni później przez innego oficera, nie z pułku w którym służyłem, całego stołowego srebra pozbawioną została.

Przybyłem do Horodła o 1szej z południa, lecz tam francuskiego wojska nie zastałem, dowiedziałem się od zdziwionych mieszkańców, że znaczny obóz rosyjski o milę drogi od Horodła się znajduje, i mnóstwo powózek naładowanych chlebem miało z miasta do tego obozu wyruszyć. Były to dobra hrabiego Sołohub, któren jak mi mówili mieszkańcy, pułk piechoty swoim kosztem utworzył i w obozie rosyjskim sam się znajdował. Wziąwszy ostrożności wedetami, od strony nieprzyjaciela, kazałem chleb dla Rosyan przygotowany zawieźć w tył, mówiąc mieszkańcom, że to posyłam dla 3000 wojska naszego, które o $\frac{1}{2}$ mili za mną obozuje, a że niektórzy mieszkańcy nam jednak byli przychylni uwiadomili nas, że w piwnicach wielkie zapasy miodu i masła się znajdują. Kazałem więc klucze od piwnicy przynieść, lecz oświadczone że tych nie ma. Ogromny brodac przyszedł z siekierą oświadczając chęć odrąbania skobla, jednakże nie chcia-

łem z nim do murowanego lamusu schodzić. Rozkazałem dwóm szasserom z karabinkami u drzwi stanąć i dopiero Wysockiego, który równie był wysokiego wzrostu, z owym brodaczem do piwnicy wyprawilem. Kilkanaście beczek miodu i masła z ogromnego zapasu tam znajdującego się, na podwozy naładowano i dywizyi Zajączka odesłałem. Podczas tych przygotowań odwiedziłem pokoje dworu. Widać do majątnego należał człowieka, bo sale dla muzyki i liczba pokoi choć nie bardzo strojnych, była wielka. Dom ten miał wewnątrz korytarze, z których drzwi do osobnych pokoi prowadziły, tak jak bywa w klasztorach. Z podziału architektury spostrzegłem że w jednym pokoju drzwi brakuje, a duży stół w miejscu drzwi stał tak, że dolną część drzwi zakrywał. Przypatrzwszy się z uwagą, poznałem że płótno dobrze wyciągnięte, było wraz z murem wapnem przybielone, a u dołu pod stołem spostrzegłem płótno, do podłogi nie dobrze przystające. Obróciwszy się do brodacza, który mi w téj wizycie asystował i pokazując ten widoczny ślad drzwi, zapytuję go z ruska: „smotry — czto eto, — ja „znaju, czto tam jest, ja nie woźmu; kak pryj- „det inny, weźmie.“ Zmieszał się brodacz, lecz nic nie mówił. Skoro transport chleba, masła i miodu odszedł, ruszyłem za nim, żadnej innéj szkody nie zrobiwszy, oprócz że poczciwy Lewicki, któren konia miał odpsutego, innego dla siebie ze stajni wybrał. Przybywszy w miejsce gdzie się spodziewałem zastać

oddział mego brata, już nikogo nie było. Wrócili do obozu mnie rozkaz na piśmie zostawiwszy, abym także do stanowiska mego wrócił.

Na noclegu gdym Lewickiemu i Wysockiemu opowiedział o owych drzwiach, zaczęli mię namawiać aby jednak dojść co tam ukrytego było. Na usilne ich nalegania pozwoliłem im ruszyć na powrót do Horodła, lecz z warunkiem iż Wysocki konia skarbowego mężczyź nie będzie, ale na koniu zdobytym przez Lewickiego tam się uda. Pojechali na całą noc, a wróciwszy nadedniem donieśli, że oderwawszy płótno 16,000 rubli w miedzi w workach ułożonych tam znaleźli. Zdałem o tém rapport jenerałowi Zajączek, lecz ten kazał mi oświadczyć, że to własność prywatna, której ruszać nie należy. Wróciwszy do kompanii zastałem rozkaz wysyłania małych oddziałów dla szukania za Dnieprem koni, któreby zastąpić mogły w szeregach odpsute.

Wyprawilem z tą daną mi missyą kaprała Mospańskiego, a jak niebezpieczne są podobne missye działanie Mospańskiego najlepiej okaże; to znaczy oddać mieszkańców dobrej, lub złej woli żołnierza. Mospański, który pewno był jeden z uczciwszych, wrócił w parę dni konia żadnego do szeregu nie przyprowadziwszy, tłumacząc się że te wszędzie uprowadzone; ale nie wrócił z próżnemi rękami bo mi przyprowadził kibitkę naładowaną winem: było go 500 butelek, a między temi 100 nader starego węgryzna. W kibitce był

zaprężony koń kary, Skorochoł. Widać, być to musiał ekwipaż miłośnika polowania, bo skoro konia tego do kibitki zaprzężono, wyżeł stawał przed koniem, dwa gończe psy z prawej i lewej strony. Można było w kółko jeździć po podwórzu, a te trzy psy jakby uprzężone, leciały w oznaczonym porządku. Nie bardzo pochwalił Mospańskiego za tę zdobycz, lecz trudno się było gniewać za 500 butelek wina; oczywiście w pułku dowiedziano się o tém, i koledzy licznie się do mnie zjeżdżali, kto chciał pić, kto chciał brać i w kilka dni ledwie mi kilkanaście butelek tego wina zostało. Zły dworak, zapomniałem nawet niejako powinności oficera, że memu pułkownikowi nic nie posłałem i dopiero w Szkłowie w marszu już ku Smoleńskowi, parę butelek ofiarowałem, co widocznie przyjął z nieukontentowaniem, że i wcześniej i hojniej o nim nie pomyślałem.

ROZDZIAŁ IX.

Ruchy nasze w Wielkiej armii aż do bitwy pod Możajskiem.

Przybywając pod Smoleńsk, już w wilią dnia ataku, przywitał nas nieprzyjaciół niespodzianie kilkoma strzałami działowymi, co nawet w naszej marszowej kolumnie nieco nieporządku narobiło. Rozkazano nam wrócić nieco w tył, żeby nas kule nieprzyjacielskie nie

sęgały, a skorośmy stanęli obozem, nakazano nazajutrz wystąpić w paradzie dla przeglądu, który cesarz Napoleon miał odbywać. Gotowaliśmy się na tę uroczystość nieco smutnie, bo cesarz winę brata swego spótnienia w ściganiu Bagrationa najniesłuszniej nam przypisywał, nie uważając na to że wojsko bez rozkazu wodza w kilkunastodniowy marsz udać się nie może.

Około 8ej z rana w dniu następnym wsiedliśmy na koń, i przegląd skończył się na prostém defilowaniu przed cesarzem. Ten znajdował się na prawej naszej stronie, a Smoleńsk na lewo. Defilowanie odbywało się małym kłusem plutonami; już sądziliśmy, jak była pogłoska, że na powrót przeprować się będziemy przez Dniepr, bo istotnie attak byłby skuteczniejszy z téj dyrekcyi, gdy w tém widzimy baterią artyleryi konnej, kapitana Romańskiego, dobrym kłusem po lewej naszej ręce ruszającą naprzód, a skoro minęła czoło kolumny nadszedł rozkaz do naszej brygady, aby szwadron jazdy bateryi téj szedł w assekuracyą. Chociaż istotnie kolég była na pułk 13ty, pułkownik Tuliński, który nader lubił chronić swych ludzi, tłumaczył się przed ks. Sułkowskim, że jego pułk z młodego żołnierza złożony, nie kwalifikuje się do podobnej służby, do której starego żołnierza użyć należy. Odebrał więc rozkaz Kurnatowski, aby szwadron pułku 5go w assekuracyą ruszył i wprost do szwadronu 3go został tenże wysłany.

Poszliśmy więc pod komendą Kopego, a że ba-

terya była frontem rozwinięta, rozwinęliśmy się na wyrównanie bateryi, kompania 5ta na prawém, moja na lewém skrzydle. Wszystko to odbywało się w ciągłym ruchu naprzód i kłusem. Wyznaję że kiedym przyszedł na wyrównanie Smoleńska, było mi jak to mówią w sercu luto, że najbliżej murów jestem, i z wielką pociechą usłyszałem komendę, zdaje mi się szefa szwadronu Sowińskiego: „Cała linia prawa naprzód.“ Już mi było różniej, choć zbliżaliśmy się do murów, że idę szerokim frontem, lecz po niejakiem kłusie ku miastu, dał znowu komendę „Lewe naprzód“. Pokłusowaliśmy nieco w téj dyrekcyi i znowu nastąpiła komenda „Prawe naprzód“ i stanęliśmy frontem do miasta, sześć dział w środku, my po skrzydłach. Staliśmy tak blisko godziny, a tymczasem całe wojsko w żywym marszu formowało się za nami, bliżej nas jazda, o $\frac{1}{2}$ strzału armatniego za nami. Pamiętam że 6ty pułk Suchorzewskiego pułkownika stał wprost za mną w rozwiniętym froncie. Były i pułki niemieckie, zdaje mi się pruskie huzary. Po godzinie przyjechał generał francuski ze świty cesarskiej i pyta mię: „dla czego bateria nie strzela?“ przetłómaczywszy to zapytanie Romańskiemu, odpowiada że niewidzi bateryi nieprzyjacielskich. Sko-rom tę odpowiedź oddał generałowi, ten mówi do mnie: „zaraz wam powiem gdzie baterye“ i ruszył naprzód jakby na spacer. Dzielny koń jego sadził przez jałowcowe krzaki, które całą tę okrywały okolicę

tyraliery rosyjskie dosyć gęsto w tych krzakach rozsypane nie wstrzymały generała i mogę powiedzieć że mu winien naukę jak trzeba iść w ogień. W kilkanaście minut, wrócił generał i pokazał nam szaniec wskośnie naprzeciwko naszego lewego skrzydła, któryśmy wprawdzie widzieli, ale zdawał się nie mieć dział. Skoro bateria Romańskiego dała ognia, odpowiedział ten szaniec z 12stu swoich armat i kamonada ta trwała więcej godziny. Po upływie tego czasu, wraca ten sam generał i prowadzi za sobą 12 dział ciężkich starzej gwardyi Napoleona. Czarna ta kolumna, bo wszyscy artylerzyści byli w bermycach, przeszła przez środek naszej linii, a generał do podpułkownika który ją prowadził, powiada: „Komendant, stań o sto kroków przed baterią polską“ lecz komendant odpowiada: „o 100 kroków jest za mało, posunę się 300 kroków dalej, stanę na owym wywyższeniu gruntu (monticule) i będę bił na wyłom (en brèche).“ Stało się jak powiedział i dzielna ta artylerya ledwie raz każde działo dała ognia, baterią rosyjską uciszyła. Każda francuska kula trafiała w czubek szanca. Lecz jak tylko ta bateria ustała, odezwała się druga z nad murów Smoleńska, na prost naszego frontu, a wkrótce i trzecia dalej na prawo, tak żeśmy ogromny ogień krzyżowy ciągle odbierali. Rzęsiły ten ogień pomógł mi w karyerze mojej, bo nieszczęśliwy Kope, choć nierównie starszy żołnierz i już pod Frydlandem się odznaczył i z tego powodu

dużego szacunku w pułku używał, co jego skromność jeszcze podwajała, mówi do mnie głosem trzęsącym: „Mój Dembiński, wiem że się będą ze mnie śmieli, ale ja tu wytrzymać nie mogę, każ mi dać dwóch ludzi, niech mię w tył odprowadzą, a ty weź komendę „szwadronu.“ Uczyniłem zadosyć jego woli i pierwszy raz w życiu widziałem to co nazywają Niemcy Kanonenfieber, uczucie, które drugi raz w dawnym koledze moim pod Ostrołęką, a w dowódcy pułku piechoty spotkać mi się zdarzyło. Tak to odwaga jest często dniowa i człowiek waleczny w 10ciu bitwach, ulega czasem słabiej chwili! Winienem położenie pola na którym się bój odbywał, nieco opisać. Dniepr płynął prostopadle do frontu naszego, o pół strzału armatniego od nas. Między naszym frontem a murami Smoleńska były ogromne parowy, które woda deszczowa w tym gliniastym i lekkim gruncie od wieków wryła, niepodobne do przebycia dla jazdy, a trudne dla piechoty bo boki prawie prostopadłemi były. W lewo nas i z tyłu torfisty grunt płaskimi krzakami jałowcowemi zarosły.} Między Smoleńskiem a drugim brzegiem Dniepru był mурowany most, do którego przystęp między Dnieprem a murami miasta był wązki i mocno przez Moskali osadzony. W tej dolinie były stogi siana i różne drewniane budynki. Po kilkogodzinnój kanonadzie wystąpiły kolumny naszej piechoty do ataku. Brygada generała Grabowskiego miała przeznaczenie do ataku na most; stogi siana i bu-

dynki, czy to przez nieprzyjaciela czy od granatów zapalone tworzyły kłęby czarnego i zielonego dymu, w którym ledwie połyski strzałów obustronnych, jakby błyskawice widzieć było można. Było to prawdziwe piekło, szczególnie w tym punkcie; przypatrzyłem się mu należycie, bo pułkownik Suchorzewski w towarzystwie jakiegoś sztabs-oficera jazdy niemieckiej przyjechali do mnie, gdy już nas piechota minęła i namówili na jechanie ku mostowi. Ze siedm godzin trwał ten piekielny ogień, lecz szczęśliwie dla mego oddziału, bo więcej ucierpiały pułki jazdy za mną stojące, niż ja sam. Ale bolesną poniosłem tu stratę przez śmierć brata mego Jana, którego pułk 15ty piechoty prowadził do ataku. Ubrany strojno, bo taki był jego zwyczaj, jechał sam jeden na koniu przed pułkiem piechoty, a że Moskale z trzech rzędów strzelnic, bezpiecznie od ognia celnie strzelać mogli, padł mój brat, trzema strzałami razem ugodzony, a koń 7 kul w tym samym czasie odebrał. Atak nasz był nader niedorzeczny, kazano iść do ataku na mury na 3 piętra wysokie, bez wyłomu i bez drabin, było to wysyłać ludzi na śmierć niechybną. Poległo tu niemało najwaleczniejszych ludzi; wiedziało wojsko że cesarz nieukontentowanie dla Polaków oświadczył i chciał walecznością swoją przekonać, że na to nie zasługuje. Moskale bronili się dzielnie i dopiero w nocy gdy część miasta ogniem spłonęła, opuścili Smoleńsk ze swoją arcyergardą, bo korpus sam widzieliśmy jak w porządku już

przed wieczorem na drugim brzegu Dniepru w kolumny uszykowany, cofał się wolno ale wzorowo. Napoleon 100 dział wzdłuż Dniepru ustawić kazał, które te kolumny raziły, lecz na chwilę jedną nieporządku nigdzie nie sprawiły. Aż do północy szedł ogień ze strzelnic rosyjskich. Jakby przeczuciem, bom o śmierci brata nie wiedział, chodziłem sam jeden gdy już wszystko spało i pamiętam jak mię te strzały ze strzelnic, które jak błyskawica ciemność nocy przerywały, smutkiem napełniały. Nazajutrz dopiero, gdy zwiedzałem pobojowisko i wjechał w parowy szukając ciała brata mego, bo pogłoska śmierci jego rozeszła się była po wojsku, widziałem jak koniecznie próżnymi być musiały usiłowania nasze. Niektórzy z zabitych dostali byli kulą prostopadle w środek głowy, bo tyraliery rosyjskie nad parowami prosto w dół do drapiących się strzelac mogli. Tam znalazłem Połkańskiego ze sztabu, Kosińskiego z 2go pułku piechoty i mnóstwo nieznamomych i tam spotkałem się pierwszy raz z bratem moim Wacławem, który szczęśliwszy odemnie ciało brata naszego Jana już był pochował, w miejscu gdzie go zabitego znalazł. Nazajutrz staliśmy dzień cały, a korpus ciężkiej kawaleryi francuskiej czwórkami maszerując przechodził przez Dniepr po moście w dyrekcyi za Moskałami. Można sobie wyobrazić jak musiał być liczny ten korpus z kirassyerów i karabinierów złożony, kiedy nieustanny marsz jego wzdłuż nas, trwał więcej 10 godzin. Trzeciego dnia po południu

kazano nam wystąpić przed cesarzem; przybywał on do korpusu naszego dla rozdawania nagród, o czém ledwie że wiedziałem, tak byłem w smutku pogrążony, gdy raptem wywołują mię z szeregów przed cesarza. Ten do mnie mówi: „Qui êtes vous?” odpowiadam: „Je suis le lieutenant Dembiński.“ „Eh bien, je vous nomme capitaine“, i dalej ruszył koniem dla rozdawania nagród niższym stopniom, gdy w tém nagle obraca konia, wraca naprzeciw mnie i jeszcze raz zapytuje: „Qui êtes vous?” ja myśląc, że zapomniał, odpowiadam: „Je suis le lieutenant Dembiński.“ Cesarz na to: „Mais non, vous êtes capitaine, car je viens de vous nommer.“ Może być, że myślą jego było nadać mi jeszcze wyższy stopień, gdyż to było dosyć w jego zwyczaju, zwłaszcza w takiéj jak tu okoliczności; opowiedziano mi bowiem jak się rzecz miała, t. j. że jak cesarz przyjechał przed pułk, zapytał się Fredry, któren chorego Kurnatowskiego zastępował, jaki jest w pułku wakans, a gdy mu ten powiedział, że brakuje szefa szwadronu, zapytał się, kogo na ten stopień przedstawia, ten wymienił kapitana Komeckiego, którego cesarz, gdy przed nim stanął, szefem szwadronu mianował, a gdy cesarz zapytał, kogo na miejsce kapitana przedstawia, Fredro najstarszego porucznika Kremarkiewicza wymienił. Cesarz na to: „Eh bien, qu'il vienne ici.“ „Mais Sire, il n'y est pas.“ Cesarz „où est il?“ „il commande le dépôt à Varsovie.“ Cesarz z gnief-

wem: „Comment, foudre! vous voulez me faire
„avancer un homme qui ne s'est pas battu, je
„veux recompenser un brave, allons! le plus
„brave ici“, i wtedy jakoś wszyscy obecni, mnie wymienili. Może więc być, że ta jednostajność głosów cesarza dla mnie dobrze usposobiła i chciał może dać naukę tym co boju unikają, lecz że byłem nadto smutny, odpowiedź moja, jakbym nie pamiętał o zrobionej nominacyi, myśl jego może zmieniła. Pamiętam, że się nieco wahał z prozbą, którą chciałem zrobić do cesarza, to jest aby mi pozwolił dla pomszczenia się za śmierć brata, szpicę armii ciągle z moją kompanią formować; obawa, aby to za rodzaj fanfaronady nie brano, obok głębokiego smutku, sprawiły że zamilczał. Takem sobie nie mógł wyobrazić, aby brat mój Jan, którego w wilią pełnego życia, zapału i wesołości widziałem, był teraz bez życia, że pomimo zapewnień brata Wacława, że go doskonale poznał nim pochował, chodziłem po wszystkich ambulansach, aby go szukać między rannymi. Okropna to była rzecz, odwiedzać tylu konających znajomych. Gorącość powietrza szybko je zatruwała, tam gdzie tyle ran świeżo odniesionych opatrywano. Mogę powiedzieć, że w tych kilku dniach dużo doświadczenia nad klęskami, które wojna sprawia, nabyłem, a pomimo tego zapał do boju nie ustawał, czego dałem dowód nazajutrz po otrzymanej przez cesarza nominacyi, w następującej okoliczności: Dostałem rozkaz, abym ze szwadronem, którego teraz byłem do-

wódzcą, stanął na placu, którego zajmowałem w dniu bitwy; gdym tam przymaszerował, zastałem równie wszystkie trzecie szwadrony, trzech innych pułków, do dywizyi naszej należących i ze smutkiem dowiedziałem się od któregoś adjutanta księcia Poniatowskiego, że mam z temi 4ma szwadronami pozostać w Smoleńsku, dla trzymania posterunków między postępującą ku Moskwie armią a Litwą. Niezmiernym smutkiem zostałem przejęty na tę wiadomość i prosiłem jak najusilniej, aby mnie od tego wstydu uwolnić, kiedy inni bić się będą. Nie wiem prawdziwie, czém na podobne zasłużyłem zaufanie, bo bojów jakem powyżej powiedział, małym był odbył i chyba akuratność i każdogodzinną gotowość w służbie, mogła do tego punktu ufność ku mnie wzbudzić. Po godzinie dowiedziałem się, że projekt zmieniony został i że w miejscu owych 4ch szwadronów, pozostaje w Smoleńsku pułkownik Přebendowski z 1szym pułkiem strzelców konnych.

Nie pamiętam, wiele dni bawiliśmy w Smoleńsku, wiem że nie dłużej jak trzy a najwięcej cztery. Chodził po armii głuchy szmer, że cesarz na marszałka Junot, księcia Abrantès, mocno był zagniewany; ten albowiem wysłany z wyborowym korpusem, miał cofać się nieprzyjacielowi drogę między Wiaznią a Smoleńskiem przeciąć, lecz ruch ten zupełnie się nie udał; i chociaż to był faworyt cesarza, odebrana mu została komenda, bo się okazało, że już miał początki pomieszania zmysłów. Wszyscy generałowie

otaczający cesarza, radzili mu, aby na ten rok kampanią ukończyć i zająć pozycje wzdłuż Dniepru, co istotnie zbawienną było radą. Lecz cesarz sądząc, że jak opanuje stolicę, Rosyją do pokoju zmusi, odepchnął wszystkie te rady i ruszyliśmy dalej. Widać, że nie miał dokładnych wiadomości o kraju, do którego wkraçał i sądził, że wyżywi wojsko szybkim marszem, korzystając z zasobów jakie u mieszkańców znajdzie. Myśl już trudna do wykonania w ludnych krajach niemieckich, a zupełnie niepodobna w przestrzeni, którąśmy przechodzić mieli. Były wprawdzie piece piekarskie kosztownie nagromadzone, ale nie wiem, czy te przeszędłszy Smoleńsk, miały sposobność pieczenia chleba. Musiała być wielka wada w tój gałęzi służby, bo raz jeden tylko pod Smoleńskiem otrzymaliśmy racye chleba w bochenkach, a ten chyba na próbach około Warszawy pieczony, tylko powierzchnią okazywał że jest chlebem, a skorośmy go przełamali, cały środek był pełny niebieskiej kurzawy pleśnią zwaną. Ruszywszy ze Smoleńska zajęliśmy we froncie naprzód postępującej armii położenie, w któreśmy aż do Moskwy postępowali, t. j. że korpus polski tworzył prawe skrzydło Wielkiej armii. Lewe tworzyli Włochy. Maszerowaliśmy zawsze blisko mili drogi, w prawo od czoła głównej armii, tak że front postępującej całej zbrojnej siły, blisko półtory mili szerokości zajmował, a czasem i więcéj.

W dzień ruszenia ze Smoleńska miałem służbę inspekcyjną w pułku, którą kolejno kapitanowie odbywali. Cały porządek pułku w marszu, jako rozstawienie placówek i wedet, do kapitana służby należało. Zatrzymawszy się na boku, gdy pułk około mnie przeciągał, nadjechał powóz, w którym się znajdował dowódca pułku Kurnatowski, który jak powiedziałem był zachorował. Spostrzegłszy mnie, zawołał do siebie i zapytał, czy to prawda, że cesarz mnie kapitanem mianował? Odpowiedziałem, że istotnie tak było, lecz że dla tego mu się nie meldowałem, że zapytawszy się szefa szwadronu Siemiątkowskiego, czy to mam zrobić, ten odpowiedział, że to są słowa (*des paroles en l'air*), że więc nie wypada. Właśnie w tej chwili wołają mnie na czoło pułku, przybyłem galopem sądząc, że to rzecz służby, aż mi Fredro tymczasowy dowódca pułku doręcza nominacją na piśmie, w której marszałek Berthier uwiadamia, że cesarz dekretem z dnia 16. sierpnia mianował mnie kapitanem. Pismo to podpisane było Alexandre, bo tak się książę Newszatelski podpisywał. Ruszyłem natychmiast do pułkownika Kurnatowskiego i melduję mu się, okazując piśmienną nominacją. Kurnatowski dziwną wtedy do mnie miał mowę, mówił bowiem: „Ja bardzo kon- „tent jestem, że cesarz pana awansował, jednak ja „bym był pana tak prędko do awansu nie przedstawiał, „bo pan jesteś młody i nie trzeba myśleć, że ja już „jestem ten najlepszy.“ Prawdziwie nie wiem do

dzisiaj dnia co to znaczyć miało, bo nie wiem czy byłem tym najlepszym, ale to wiem, że żaden tonu nie przybierał, któryby pozwalał czynić mi podobny wyrzut. Miał jakiś żal do mnie, ale ten niezawodnie nie pochodził z najmniejszego w służbie uchybienia. Około 11ej godziny w marszu zluźniany ze służby zostałem przez innego kapitana i przywołany do dowódcy Fredro, ten może żeby mnie ze smutku wyprowadzić, a może istotnie potrzebował koni, okazuje mi w prawo od nas długą kolumnę bagażu nieprzyjacielskich i prosi: „Weź 12 koni i rusz ku tym bagażom, nie podobna, aby tam koni powodowych nie było, jeżeli znajdziesz, „przyrowadź mi konia, bo moje prawie wszystkie odpsute.“ Wybrałem natychmiast 12 ludzi z mojej kompanii i prosiłem o dodanie mi z drugiej kompanii sierżanta Jagmin, dla tego, że ten dobrze po rusku mówił. Ruszyłem, lecz wozy te okazały się chłopskimi, którzy z dobytkiem przed przejściem wojska uchodzili. Nie chcąc im krzywdy robić, minąłem, a że to mnie więcej jak półtorej mili od kolumny oddaliło, poszedłem dalej w takiej dyrekcyi, że mi się zdawało, że kolumnę naszą flankuje. Kraj był gęstymi gajkami brzozowymi wypełniony; wjechałem do wsi, gdzie zastałem mieszkańców spokojnymi, pytałem się, czyby tu koni nie było, lecz ci wskazali mi wioskę nieco dalej, mówiąc że tam się liczne stado znajduje. Udałem się więc w te strony i przybyłem do wsi na prazdnik, gdzie chłopów dobrze podchmielonych zastałem, a ci

nie wódką z miodem częstowali, szczególnież stary chłop mocno był uradowany, widząc nas. Jakos po- niarkowałem, że nas za Moskali bierze, co dobra ru- ska mowa Jagmina zapewne sprawiła. Widząc to, za- pytuje go, czy nie ma tu naszych, a ten z radością mówi: „Jej bohu, są w pobliskim siole, które ręką wskazał, a na zapytanie moje, czy to pewno nasi, od- powiada: „Jej bohu, 15 koni Dońców.“ Trącał go wprawdzie młodszy od niego, który zdawał się od- gadywać, żeśmy nie Moskale. Ja dopiero wtedy, kiedy mi się zaprzysiągł starzec, że to Dońcy, mówię do niego: my Chrancuzy, bo tak francuzów chlopi mo- skiewscy wymawiali. Na co się chłop nieco zmieszał, jednak wierzyć zupełnie nie chciał. Już mi dziwno było, że m tumanu kurzu, który kolumna w marszu two- rzyła, nie widział; godzina była blisko 3a z południa, widziałem, że trzeba się w lewo wykręcić, aby się do kolumny zbliżyć, a że wieś, gdzie Dońcy stali, była właśnie w téj dyrekcyi, ruszyłem ku niej. Skorom na równinę wyszedł, spostrzegłem we dworze na dosyć wysokiéj górze położonym, ruch jeźdźców wsiadających na koń, którzy się udali w prawo od dyrekcyi, którą brałem; ruszyłem małym kłusem i przybyłem do owego dworku. Tam zastałem długi żłób na podwórzu na krzyżowych palach umocowany, przy którym owe 15 koni dopiero co jadło. W izbie zastałem jajecznicę niedojedzoną przez kozaków, a pomimo tego mieszkańcy wypierali się mówiąc, że tu kozaków nie było. Że

przybywając do wsi spostrzegłem na łące kilkadziesiąt roślących koni, posłałem więc kilku żołnierzy, żeby to stado do dworu przyznać. Przybyło z 50 koni, klaczy i źrebaków, wszystkie pięknej karéj maści; zapędzono je do obór i 2 piękne klacze, za którými 2ch letnie źrebaki, kazałem okiełznać i dwóch młodych chłopaków na nie wsadziłem. Zabrało to nieco czasu, którego żołnierze użyli, aby się mlekiem uraczyć, a było go podostatkiem. W godzinę ruszyłem dalej, uważałem, że mnie chłopci koniecznie na prawo ciągną, mówiąc, że tu lepsza droga, ale widząc, że ja koniecznie na dyrekcyą bardziej w lewo nalegam, żeby mię tém mocniéj nakłonić do marszu w prawo okazują z daleka stojący dwór, mówiąc że tam mnoho bolsze łoszaki. To mi pokazało ich zdradę, a że rów przegradzał mię od dyrekcyi, którą iść zamierzałem, przesaadziłem przez niego i kazałem tak przewodnikom jak całemu oddziałowi to samo uczynić. Manewrowałem z $\frac{1}{2}$ mili przez pola nimem do drogi doszedł; postępując tą drogą, zbliżyłem się do wsi, a że się już zmierzchać zaczynało, wysłałem kaprała Mrowińskiego z pistoletem w rękę, aby jako szpica wieść tę spatrowała. Skoro Mrowiński wjechał do wsi, usłyszałem strzał pistoletowy, na który 2 strzały żywo odpowiedziały; nie było co innego robić dla ratowania Mrowińskiego, jak krzyknąć hurra! i lecieć naprzód, co się stało w oka mgnieniu. Mrowiński tém ośmielony goni dwóch kozaków i goni za daleko, a ja z oddziałem oczy-

wiecie za nim. We wsi natrafiłem 13 powózek żytem naładowanych; 2 żołnierzy przy nich zostawiłem z rozkazem, aby te za mną prowadzili, a sam gonie za Mrowińskim. Przelecieliśmy przez dworek drugiej wioski, z kąd się droga kompletnie w prawo wykręcała, do owego dworu, gdzie mię chłopci namawiali. Pogonwszy nieco w tój dyrekcji, już się noc zrobiła, aż tu raptem chmara kozaków z krzykami wylatuje na nas; oczywiście żeśmy nie tylko gonić przestali, ale zaczęli dobrym stępo się cofać. Rozsypałem ludzi w jeden szereg, szeroko jeden od drugiego, a dochodząc do budynków dworku, któryśmy mineli, powiedziałem cichym głosem do ludzi, aby na komendę moję nic nie zważali, ale dalej równym krokiem maszerowali: i dopiero podnosząc głos zakomenderowałem: Szwadron stój, w prawo, równaj się; co oczywiście ścigającym kozakom myśleć dało, że szwadron we dworze stoi, bo gonitwa i krzyki tój chwili ustały. Doszedłszy do dworku, porobiłem zapory, jakie tylko było można i ten ze wszystkiemi ludźmi opuściłem, a spotkawszy owe powózki z żytem, zabrałem je z sobą i do gaiku brzozonego o ćwierć mili od dworku uprowadziłem, gdzie z oddziałem stanąłem. Z razu postawiłem wendetę, lecz że miesiąc wschodził, bałem się, że to moje bytność wyda, ściągnąłem więc takową, wszystkie drogi przez gaik ten przechodzące powózkami zaparłem, a na każdój drodze szasera z karabinem pieszo postawiłem. Nie długo słyhać było tentent koni około gaiku, wi-

dać że mię kozaki szukali. Obchodziłem moje piesze warty, żeby żaden nie spał; lecz tu mleko skutkować zaczęło; gdzim przyszedł, w kucy szasser z karabinkiem wprawdzie gotowym do strzału, ale niektórzy z tak głośnym skutkiem mleko trawili, że im polecieć musiał spokojniejsze odżywianie. Po chwili ustało tętnienie i dopiero późno w noc okazała się łuna obozu naszego i z zadziwieniem spostrzegłem, że ta zupełnie w innéj dyrekcyi, jak się jéj spodziewałem. Nie wiedziałem bowiem, że armia od Drohobuża (staréj granicy polskiéj) dyrekcyą prawie pod kątem prostym w lewo zmieniła, co mnie oczywiście o parę mil odległości z moim oddziałem zostawiło. Gdy już łuna była wyraźną, wyprawiłem Jagmina, aby mi przewodnika przyprowadził. W godzinę przybył tenże i mówił, że w dniu tym silne spotkanie nasza przednia straż z kozakami odbyła. Bestya przewodnik, czy z umysłu, czy z głupstwa jak najgłośniej ze mną mówił, tak że mu musiał drzewo od kańczuka w gębie trzymać, bojąc się by krzyk jego, kozaków nie ściągnął. Wyszedłem z lasu około 2éj w nocy, ku owéj łunie, gdzie przybywszy szczęśliwie, zastałem na forpocztach podporucznika Potworowskiego, który nadzwyczajnie był zdziwiony, że z téj dyrekcyi tak szczęśliwie przybył, mówiąc, że 6000 kozaków w tę dyrekcyą się cofnęło.

Nazajutrz ruszyliśmy w marsz ku Możajskowi. Marsz ten kilkunastodniowy, był zawsze jednostajny. Około 8éj z rana zaczynał się flankierski ogień, około połu-

dnia otwierała się kanonada, a od 26j 36j ręczny ogień piechoty. W marszu tym obozowaliśmy często mocno oddaleni od Francuzów środkowego korpusu, a czasem tuż obok nich; tu się nauczyłem dobrego bardzo sposobu, t. j. obozowania w lesie z jazdą. Dużo rzeczy za tém przemawia, żołnierz ma wygodę a oddział bezpieczeństwo; bo jeżeli tylko wedety dobrze powinność robią, ma oddział czas wsiąść na kònie i wstąpić we front przed lasem, na to oznaczony. A nieprzyjaciół mniej śmiało będzie las atakował, jak oddział na polu. Rozwlekać się nad każdego dnia wypadkami nie warto. Minęliśmy Wiazmę, Giask, bez żadnych walnych bitew, chociaż flankierowanie nie było bez niebezpieczeństwa, tak bowiem zginął Gustaw Potworowski z 4go pułku strzelców konnych, Tarnowski porucznik pułku 16go ułanów i nie mało innych. Moskale cofali się wzorowo, nigdy najmniejszój zdobyczy bądź w amunicyi bądź w żywności zrobić nie było można, owszem kozaki codziennie wszelkie sterty zboża przed nami palili, pomimo żeśmy się starali temu zapobiedz, gdyż to dla koni naszych, ledwie nie o głodzie postępujących, byłoby ratunkiem. Stawy gdziekolwiek były, pospuszczali, studnie ziemią zarzucono, tak że i ludzie i konie w naszej armii dużo cierpieli. Dwa zdarzenia spotkały mię między Smoleńskiem a Możajskiem; pierwsze, że robiąc szpicę z moją kompanią przed korpusem polskim, idąc drogą wskazaną zaszedłem razu jednego tak daleko między Moskali a przednie strażę

francuskie, żem aż do osoby króla neapolitańskiego Murata, zawsze na czele tyralierów maszerującego, doszedł, i dopiero przez niego w inną dyrekcyą jak ta, która mnie wskazana była, poszedłem. Był on zawsze strojnie ubrany, białe pióra u kapelusza, płaszcz kolisty suto okryty złotem, przypominał rycerzy z czasów Henryka IIIgo. Kozaki znali go osobiście i do niego nie strzelali. Drugi wypadek więcej mię już osobiście obchodził. Było to 5. września, gdzie równie szpicę robiłem, tego dnia ruszyliśmy bardzo wczas z obozu, nadedniem wyszedłem na równinę; zwolna pod górę szła droga, gdy spostrzegam za środkiem cofającą się rossyjskiej armii, człowieka idącego pieszo i prowadzącego za sobą konia za cugle, a za nim kozak na koniu. Pewny, że to oficer rossyjski za armią swoją ciągnący, ruszam galopem z 2ma szasserami spodziewając się zabrać niewolnika, aż tu z zadziwieniem poznaję mego brata Wacława. Na moje zapytanie, co tu robi, odpowiada: „Wracam do pułku swego 12go piechoty“ i dodaje, że to uczynił z następującego powodu. W dzień bitwy pod Smoleńskiem, pułkownik Amirat, szef sztabu przybocznego marszałka Berthier, wyznaczył mego brata do kierowania ambulansami; ten przyjął to za obrazę, mówiąc, że przybył do armii aby się bić, a nie ambulansów pilnować. Pułkownik go aresztował na 2 godziny i doniósł o tém marszałkowi, któren mu polecił, aby mu tego młodego człowieka przedstawił, lecz brat mój nie czekał na to

przedstawienie, a pochowawszy brata Jana, opuścił bez rozkazu i meldowania się sztab, konie po bracie zabitym wzięł i ruszył za armią. Nie było co ganić, wrócił do pułku i tego samego dnia został zadowolony, bo pułk krwawy bój odbył wieczorem, do którego już i on, w kompanii woltyżerskiej kapitana Grzelachowskiego, należał.

W dniu tym mieliśmy dużo zaciętsze boje niż zwykle. Moskale każdej pozycji bronili uporeczywie, dochodzili bowiem do miejsca, które świętą nazywali doliną i gdzie przysposobienia do walnej bitwy były porobione.

Nasze cztery pułki jazdy i baterya artyleryi konnej w dniu tym kilka razy kłusem kołowały koło ich lewego skrzydła, aby ich z tyłu razić i tym sposobem do odwrotu zmuszać. Około 4tej przed wieczorem, łukowym tym marszem formując front, tak aby z tyłu razić broniące się z przodu wojsko rossyjskie, znaleźliśmy się naprzeciwko silnej reduty rossyjskiej, w której 18 dział wałowych się znajdowało. Był to pagórek, w formie głowy cukru, ze wszystkich stron stromy mający przystęp; miała ta reduta lewe skrzydło armii rossyjskiej zakrywać. Cesarz Napoleon chciał tę redutę jeszcze w dniu tym 5go września widzieć opanowaną, zniecierpliwiony oporem jaki tu Moskale dawali, gdzie i ciężka ich jazda w massach szarżę na naszę robiła piechotę i piechota Bagrationa licznie jazdę swą wspierała. Nadesłał nam w pomoc 57my pułk

piechoty liniowej francuskiej. Po krwawym boju dostała się reduta z działami w nasze ręce, zdobył ją nadesłany pułk francuski. Nigdy numeru tego niezapomnę, bo gdy nazajutrz rozkaz dzienny ogłosił, że dzień 6ty jest zostawiony do przygotowania się przez armię na walną bitwę, od której mieliśmy wystąpić w największej paradzie, gdy żołnierze czyścili lederwerki, wsiedliśmy oficerowie na koń, aby pobojuwisko dnia poprzedzającego zwiedzić. W licznych bojach znalazłem się w ciągu mego życia, lecz nie przypominam sobie abym kiedy tak gęsto leżące widział trupy. Koń stapać nie mógł, lecz skakał podemną jak koza, aby na trupa nie nadeptać, a zawsze jeżeli nie Moskal to żołnierz 57go pułku.

Przypominam sobie pod strzelnicą działa, młodego oficera tego pułku, którego prawa ręka do strzelnicy wyciągnięta, harda twarz leżącego wznak, jeszcze po śmierci wyraz ten zachowała.

Wysłane oddziały w okolice, nieco żyta w snopkach przywiezły, jako i różnej żywności. Około 9ej wieczorem kazano nam wsiąść na koń i bez palenia fajek, bez głośnego gadania maszerowaliśmy z milę drogi wprost przed siebie; szła droga a raczej płaska dolina, którąśmy postępowali, przez krzaki laskowe; kazano nam stanąć i konie w cuglach trzymając, czekać dnia. Byliśmy na polu, gdzie len świeżo wyrwany, leżał na garściach; ten zbierając, omusztukowanym koniom, dla zagłuszenia nieco głodu, poda-

wali. Nadedniem wsiedliśmy na koń i stanęliśmy frontem w lewo.

Tu winienem dać krótki rys terenu, na którym się jedna z największych bitew świata odbyła. Naprzeciwko głównej armii cesarskiej ciągnęło się pasmo spadziste ku armii francuskiej, za którą była szeroka płaszczyna, zwolna ku Możajskowi o dużą milę z tyłu położonemu, zniżająca się. Za lewém skrzydłem stromej spadzistości tworzącej front przeciw armii francuskiej, pod prostym kątem, stał na wzgórzu korpus Bagrationa, który we środku swjej pozycji miał mamelon, gdzie stała jego artylerya, bez żadnych szańców. Wzgórze to dominowało nad całą płaszczyną, przez którą nasz korpus do atakowania lewego skrzydła rosyjskiego miał postępować. Od lewego naszego skrzydła, aż do francuskiego prawego, była przestrzeń blisko mili drogi, gęstemi krzakami olszowemi zarosła. Stroma spadzistość naprzeciw frontu francuskiego była cała licznemi i mocnemi szanćami obwarowana, a między redutami była wszędzie ziemia licznemi wilczemi dołami w szachownice i w kilka rzędów tak przysposobiona, że w każdym dole mógł pieszy żołnierz, więcej do połowy ciała zakryty, obrócić się. Książę Poniatowski, który doskonale umiał oceniać, co na placu bitwy było najkorzystniejszém do wykonania, widział że skoroby Bagration był zбитy, wtedybyśmy wszystkie szanće rosyjskie głównej jego linii z tyłu zajmowali, zrobił więc rozporządzenia następujące: Najpierw

rozwinęły się nasze cztery pułki jazdy frontem w dwóch liniach, nieprzyjaciel począł nas silnym ogniem armatnim razić. Staliśmy tak czas niejaki, dopóki nasza piechota nie nadciągnęła. Pod protekcją rozwiniętego naszego frontu i dział naszych sześciu, zaczęła nas mijać piechota i przed nami się formować. Nieprzyjaciel tę równie mocno witał, szczególnie granatami. Przypominam sobie jak pod dowódcą pułku zdaje mi się 17go piechoty, księciem Konstantym Czartoryskim, granat przedemną ubił konia, t. j. mocną skorupę w bok mu wpakował.

Skoro piechota nie więcej wtedy jak 6000 liczna, przed nami się uszykowała, nakazał książę Poniatowski naszym czterem pułkom uformować się w kolumnę; każdy pułk szwadronami. Tworzyły więc te 4 pułki kolumnę podobną do czworoboku; ruszyliśmy tak i zajęli już w krzakach olszowych, któremi równie prawie nasze skrzydło było otoczone, pozycją wyprzedzającą znowu piechotę. Miał widać książę zamiar jazdą uderzyć na działa Bagrationa, a szarżę tę piechota w silnej kolumnie miała wesprzeć. Pułk nasz trzymał lewe skrzydło kolumny, tak że pierwszy byłby wpadł na szanec. Już nawet miał książę dać znak ataku, kiedy na nieszczęście nasze i na wypadek bitwy, przyjeżdża do księcia generał Sebastiani i mówi: „Na miłość „Boga, co książę chcesz robić? Kozaki między „nami, a armie francuskie są massami piechoty „osadzone, będziemy odcięci i w niweez obró-

„ceni.“ Książę z widocznym znakiem niechęci słuchał Sebastianiego i wstrzymał swego konia oraz całą kolumnę. Najlepiej te wszystkie szczegóły opowiedzieć mogę, bo książę przy mnie właśnie się znajdował, chcąc jak widać z nami uderzyć. Ruszył więc sam w lewo ze sztabem ku krzakom, gdzie Sebastiani chciał massy widzieć i nie długo pułk nasz dostał rozkaz udania się za księciem; zformowaliśmy front tak, że prawie nasze skrzydło miało w przedłużeniu baterye Bagrationa, a front do krzaków owych był obrócony. Było to położenie dla pułku naszego niekorzystne, bo skośny ogień nieprzyjacielski w krótkim czasie nam ze 40 ludzi wyrwał, a między innymi kochanego powszechnie młodego podporucznika Wirzbickiego z Lubelskiego. Książę Poniatowski jeździł ciągle po przed krzakami, wspinając się na strzemionach dla spostrzeżenia owych mass, o których Sebastiani wspominał. Tych mass, jak się zdaje, tam nie było, bo później wysłane tyraliery piechoty tych nie znalazły; lecz tyraliery rossyjskie w tych krzakach były liczne. Ustawicznie po czterech, pięciu wychodziło razem z krzaków i biorąc księcia na cel, do niego strzelali, lecz szczęśliwie że go żaden nie trafił. Piechota nasza, skoro się do krzaków dostała, tyralierów tych głębiej popchnęła, lecz żywo się tyralierowie rossyjscy opierali. Rannymi wyszli z krzaków Weissenhoff pułkownik, Suchodolski major i kilku innych. Trwała bitwa, lecz więcej działała jak oddziałowa, aż do zmierzchu; dopiero

przed wieczorem Bagration opuścił pozycyą, której już nie miał potrzeby bronić, bo główna linia obrony, to jest reduty naprzeciw frontu armii francuskiej były przez ciężką jazdę francuską okrążone i zdobyte. Morderczy tam odbył się bój; dwóch dowódców korpusu téj jazdy, jeden następując po drugim, na czele téj ciężkiej jazdy poległo, t. j. Monbrin i Caulincourt. Jazda nasza polska, która przy głównej była armii, także nie mało ucierpiała, między innymi zginął tam waleczny dowódca pułku 3go ułanów Radziwiński. Okropna to była rzecz bój w tak gęstych krzakach prowadzący się, bo nie raz mógł człowiek tylko ciężko ranny bez ratunku z głodu tam umrzeć, nikt go bowiem znaleźć nie mógł. Tak zginął Radziwiński, że ciała jego pułk lubiący go i pilnie szukający nigdzie nie natrafił, jak równie pod Smoleńskiem, o czém zapomniałem wspomnieć, zginął generał Grabowski, któren most między miastem a Dnieprem atakował i gdzie tak ciemne były kłęby dymu, że adjutant jego a mój przyjaciel Siecheń ciągle obok niego będący i bagnetem pchnięty, nie widział śmierci swego generała.

Ze smutkiem podczas bitwy pod Możajskiem, a raczej pod Borodinem, bo tak się wieś nazywała którą Moskale spalili żeby do szańców przystępu nie zostawić, patrzyliśmy na liczną kolumnę gwardyi cesarskiej, która nieczynnie za środkiem armii francuskiej daleko od ognia stała. Gdyby był cesarz korpus nasz polski przez 8000 dzielnego żołnierza, któren

pod nazwiskiem legii nadwiślańskiej do korpusu stariej gwardyi był przyłączony pod dowództwem jenerała Chłopickiego, gdyby mówię cesarz ten korpus na dzień bitwy do księcia komendy był przyłączył, byli-byśmy o 9ej z rana korpus Bagrationa przewrócili i wszystkie boje frontu armii byłyby uniknione. Może nawet bez tego posiłku bylibyśmy Bagrationa zepchnęli gdyby nie rada nieszczęśliwa jen. Sebastianiego. Opierać się jego radzie było ks. Poniatowskiemu trudno, bo chociaż Sebastiani pod jego komendą zostawał jako dowódzca naszych czterech pułków, było widoczném że cesarz więcej jemu ufał jak ks. Poniatowskiemu, co Sebastiani przez cały marsz ile razy mu się okazała trafiła, okazywał. Mnie samego wysłał raz do ks. Poniatowskiego uwiadamiając go jaki ruch przedsiębierze i jakim sposobem ks. Poniatowski ma go wspierać. Zresztą co nastąpiło nazajutrz po bitwie, ufność cesarza do Sebastianiego okazało, gdy po śmierci jenerałów Monbrin i Colincourt tenże Sebastiani dowództwo korpusu ciężkiej jazdy dostał.

Po ustąpieniu a prawie podczas ustąpienia Bagrationa, ruszyliśmy kłusem dla opanowania jego pozycyi, jużesmy oporu w tém nie znaleźli, lecz on był dalej wziął pozycyą, z której nas działami raził, a że noc była ciemna, położenie krzaczyste, posuwać się więc za nim było niepodobna. Stanęliśmy obozem i oddziały zostały wysłane na wszystkie strony dla furazu, i żyta w snopach, choć późno w nocy, była

w obozie obfitość. Jak wielkie musiało być zamieszanie z powodu szarż w krzakach odbytych, miałem dowód w tém, że około północy przybył do kompanii mojej pieszo pułkownik Adam Potocki, dowódzca 11go pułku jazdy, który wprawdzie oprócz waleczności nie był bardzo tęgim żołnierzem ale tak się zabłąkał, że mając konia zabitego, zamiast do swego pułku, zupełnie w inną dyrekcyi się znajdującego, tu przybył.

Nazajutrz już czas był mocno zimny tak jak i w nocy, którąśmy bez ogniów przebyli. Do 3ój z południa nie postąpiliśmy za nieprzyjacielem co zdaje mi się było wielkim błędem, bo w kilka dni później, wzięwszy kilku konnopolców w niewolę, dowiedzieliśmy się od nich, że gdybyśmy ich byli gonili, zamieszanie w ich wojsku było wielkie; niewiem czy tak było, ale to pewne że Moskale tak się umieli cofać, iż śladu żadnego zamieszania nie było. Skorośmy się ku Możajskowi zbliżali, zaczęli nas witać ogniem armatnim, co do nocy trwało, z której korzystając dalej ustąpili. Jazda nasza zostawując Możajsk na lewą rękę, posunęła się w tej dyrekcyi blisko milę i stanęła obozem, mając przy sobie batalion z wołyżerów złożony, pod komendą szefa batalionu Samuela Rożyckiego. Trzeciego dnia ruszyliśmy dalej równo ze dniem, i tu zaraz odebraliśmy dowód że zamieszania u Moskali już nie było. O parę staj od obozu naszego, zaczynały się przed nami gęste olszowe krzaki. Książę Sułkowski powinien był przednią straż z wołyżerów złożyć, lecz tego nie

zrobił; kompania 8a nasza, kapitana Brzeżańskiego, tworzyła w tym dniu szpicę, ruszyła więc pierwsza, a my w krótkim dystansie maszerując trójkami, za nią. Moskale batalion piechoty, a może i więcej, byli pod nasz obóz podsunęli, piechota ta kompanią szpicu spokojnie przepuściła, a gdy już pułk blisko w połowie długości był wszedł w krzaki, podniosła się i bijąc w bębny do ataku, rześisty ogień na nas sypać zaczęła, a jednocześnie chmara kilku tysięcy kozaków, na bliskim polu w prawo, z wielkimi krzykami zbliżać się zaczęła. Książę Sułkowski jeżeli mu brakowało doświadczenia wodza, był pełen odwagi i zimnej krwi. Pierwsza komenda była dana „trzema w prawo” przez co kozakom szeroki front pokazaliśmy, a skoro tylko widział że kozaki serio nie atakują, posłał polecenie do jednego z czterech pułków w tyle maszerującego aby dwa szwadrony z dwoma działami ruszyły ku kozakom. Stało się to dość szybko, ale przez ten czas musieliśmy znosić z tyłu ciągły ogień piechoty, dopiero gdy kozaki groźnymi nam być nie mogli, zakomenderował „trzema w lewo” i następnie „formuj szwadrony”. Trzeba było dobrego żołnierza aby to wszystko tak jak nastąpiło wykonał bez zamieszania. Skoro raz szwadrony front sformowały, nakazanem zostało, aby każdy żołnierz dał ognia, najpierw z karabinka, a następnie z obydwóch pistoletów, po czem każdy szwadron szedł, prawa kompania w prawo w tył, lewa w lewo w tył, i znów ogień za-

czynął szwadron drugi i następnie trzeci. Właśnie strzelałem z moją kompanią kiedy biegiem nadciągnął Samuel Rożycki z wołtyżerami, a skoro przybył, dyrekcyja ognia nieprzyjacielskiego zniżyła się, to jest że już nie do głów zmierzali ale poziomo. Moskale się cofnęli żywo ale prawie bez straty.

Po tém krótkim a niemiłym starciu się z nieprzyjacielem, nie mogliśmy pomimo szacunku i uszanowania jakie zimna krew młodego naszego dowódcy ks. Sułkowskiego na nas sprawiała, nie śmiać się między sobą ze słów jakiemi wojsko do wytrwania w tak ciężkim razie zachęcał; powtórzył bowiem kilka razy: „Stać dzieci, stać! Księżę Wami komenderuje.“ Co w kilku zdarzeniach zwykł był w różnych słowach powtarzać.

Od tego dnia aż do przybycia pod Moskwę nic nie zaszło ważniejszego, ani nawet wojsko rosyjskie nie okazało się nigdzie, oprócz dość licznych kozaków.

ROZDZIAŁ X.

Od bitwy pod Możajakiem aż do opuszczenia Moskwy.

Dochodząc do Moskwy kazano nam się mocno w prawo obrócić, tak żeśmy ledwo nie od południowej strony zbliżyli się do miasta. Miejsce w któreśmy się zatrzymali, było nieco wywyższone, tak że cały obraz miasta raptownie nam się rozwinął przed oczami. Wrażenie jakie ten widok sprawiał było czarujące;

każdy żołnierz, każdy ciura obozowy okrzyknął się: „Nie załujemy biedy jakiegóśmy doznali, kiedy widzimy „to, na co patrzymy.“

W samóej rzeczy widok był nie do opisania. Obszerne to miasto, choć po największój części z drewnianych budynków złożone, miało mnóstwo pałaców, a około tych obszerne ogrody, co oczywiście przestrzeń miasta pomnażało. Dodać do tego sorok soroków, t. j. 1600 cerkwi, ze złożonemi, lub zielonemi kopułkami, na które zachodnie słońce poziomo padało, a obraz cudnie piękny się przedstawi. Czas spoczynku rozkazano nam użyć na wystąpienie w paradzie i nie pozwolono wkroczyć, dopóki gwardye cesarskie pierwsze do niego nie wkroczą. Widać jak cesarz mylnie miał wyobrażenie o wrażeniu jakie na nieprzyjacielu zajęcie stolicy sprawi. Musiał nieco już w tym pierwszym dniu stracić illuzją, kiedy nikt z mieszkańców na przywitanie nie wystąpił. Dostaliśmy wreszcie przed zachodem słońca, upoważnienie wejścia do miasta. Przechodziliśmy w paradzie z wydobytemi pałaszami, lecz było to rzeczą prawie śmieszną przechodzić przez puste ulice, a jeśli gdzie niegdzie można było spotkać mieszkańca, ten ponuro na nas spoglądał. Napotkaliśmy wiele powózek rossyjskich, które z żywnością za armią rossyjską ciągnęły. Chleba było mnóstwo, lecz pomimo że go żaden z nas od czasu Smoleńska nie jadł, niepodobno było przełknąć chleb, który dla armii rossyjskiej wieźli. Była to massa czarna pod przecię-

ciami noża połyskująca się, widać że więcej z rzepiku i piasku jak z żyta złożona. Trzeszczało w zębach, gorzki smak sprawiało w ustach, pies go jeść nie chciał. Przeszliśmy znaczną część miasta, i zajęliśmy w zachodniej tegoż stronie obszerne cegielnie. Obfitość jadła, a szczególnie napojów, wina, wódki, araków, nastąpiła tej chwili, bo nikt nie bronił własności, ani rabunku. Pamiętam mego ordynansa pocziwego Siejaka, z którego się cała kompania uśmieła, gdy przybył z ogromnym snopkiem marchwi, który w ogrodach przedmieścia był zebrał. Myślał że skarb przywozi, i w samą rzecz tak było w wilią i z rana, lecz teraz nikt o marchwi słyszeć nie chciał. Już z mrokiem odebrałem rozkaz wysłania oficera we 30 koni dla pilnowania magazynów ubioru dla wojska rossyjskiego, co powierzyłem podporucznikowi Brygantemu.

Śpiąc dość czujnie, przebudzałem się od czasu do czasu i widziałem szerokie łuny ognia na wszystkie strony; lecz sądziłem, że to są łuny korpusów Moskwę otaczających. Dopiero z rana poznaliśmy przyczynę tych ogniów, t. j. że były wszędzie pokładane przez więźniów kryminalnych, które gubernator Rostopczin w tym celu rozpuścił. Okropny widok płonących tyle zasobów, bez użytku mknących! Obudziwszy się z rana odebrałem pierwszy dowód przywiązania moich żołnierzy, którego nawet z powodu méj surowości nie spodziewałem się. Zrobili mi niespodziankę, bo mnie dookoła trzema rzędami butelek wina, rumu i głowami

cukru obstawili. Widać jak żołnierz jest w swoich sądach sprawiedliwy, aby tylko starszy sam siebie nie szczydził i to wypełniał czy w służbie, czy w niebezpieczeństwie, czego od podwładnego wymaga. Wdzieli mię zawsze nie tylko trzeźwego, ale w dniach nadzwyczajnego głodu i zimna, odmawiającego sobie kieliszka wódki, kiedy się bój miał zaczynać, bcm czuł, że lekki zawrót głowy mógł powierzonych mi ludzi, więcej jak należało, narazić. Nieraz przyjąłem chleba kawałek od żołnierza, ale wódki, którą mi jednocześnie ofiarował, nie przyjąłem, dodając: „Ty się napij, tobie wolno, ale ja ciebie prowadzę, to mi nie wolno.“

Oprócz niedogodności dla armii francuskiej, pożar Moskwy wywarł zły skutek tak na karność wojskową, jak na porządek w armii; nikt skrupułu nie miał zabierać to, co za parę godzin miało stać się pastwą płomieni. Każdy z nas co tylko miał koni, uprzęął do powozów, i armia obciążyła się kilkoma tysiącami ekwipaży; dodając do tego powózki, do których nas upoważniono, aby siodła po padających koniach zabierać, łatwo sobie wystawić można, jaką przestrzeń bagaże zajmowały. Każda kompania dostała po 7 postawów sukna zielonego z poleceniem wzięcia tego pilnie, bo mamy wracać nad Dniepr, gdzie się armia ma na nowo organizować. Pamiętam, że ja dla mojej kompanii 7 miałem powózek, a że każdy był równie pilny, łatwo by było policzyć liczbę samych urzędowych powózek.

Po trzech dniach pobytu w Moskwie dostał nasz korpus rozkaz do marszu, oddziały porożsyłane po mieście, każdy z nas do swojej pościągł komendy. Podporucznik Briganty z oddziałem wrócił do kompanii i zrobił mi dar bardzo użyteczny, a któremu może później i uratowanie życia winien byłem, t. j. spodnie z łosiej skóry, które z magazynów kawaler-gwardyów przywiózł a które jako gatki pod dobrze nadarte rajtuzy wziąłem.

ROZDZIAŁ XI.

Bitwa pod Woronowem, Czerykowem aż do końca bitwy pod Tarutiną, inaczej bitwą pod Roźdeństwem zwaną, 18go października.

Ruszywszy z Moskwy, wzięliśmy dyrekcyą północno-wschodnią, jak nam mówiono, że się to działo w sposobie rekonesansu, żeby wiedzieć, w którą stronę się główne siły nieprzyjacielskie cofnęły. A gdyśmy o półtory mili oddalili się od Moskwy, obróciliśmy dyrekcyą naszą prostopadle na południe, tak żeśmy w tém oddaleniu półtora milowém wschodnią część miasta prawie do koła obesli. Pamiętam jak maszerując w nocy, wydobywaliśmy listy jakie kto miał na sobie dla przekonania się, jak łatwém było czytać przy łunie palącej się Moskwy. Mam nadzieję, że już nigdy takiej prze-

strzeni ognia widzieć nie będą: było to ogromne ogni-
ste jezioro, którego okiem trudno było objąć. Pier-
wszy spoczynek w tym marszu mieliśmy w dobrach
hrabianki Orłów, gdzie gospodarstwo było na wyso-
kiej stopie udoskonalenia. Między innymi rzeczami
pamiętam stajnie, gdzie było sto krów kałmo-górskich,
z których jedną od rzezi uratowałem i do jednej z po-
wózek kompanii przywiązać kazałem. Ta krowa była
dużym zasiłkiem pod względem żywności, bo trzy razy
na dzień dojona, pomimo że tylko słomą a często bar-
łogiem żyła, na każdy dój przeszło garniec dawała
mleka. Przez kilka dni marszu nie spostrzegliśmy ża-
dnego nieprzyjacielskiego oddziału i dopiero po raz
pierwszy przyszło do walki pod Woronowem, gdzieś-
my się złączyli z królem neapolitańskim, któremu ce-
sarz dowództwo korpusu całego wyprawionego ku nie-
przyjacielowi, powierzył. W Woronowie był piękny
i obszerny pałac, lecz tego zostały tylko mury, a na
tych napis przez właściciela dóbr, który mówił w je-
zyku francuskim: „przez dziesięć lat życia mego, in-
„traty i czas mój na upiększenie tego miejsca obra-
„całem, dziś palę go własną ręką, aby pies Francuz
„w nim schronienia nie znalazł.“ Tutaj bój nie był
uparty, po krótkiej kanonadzie cofnął się nieprzyjaciel
i jedynie kozaki naprzeciwko nas zostali, przeciw któ-
rym król neapolitański z 11ma pułkami francuskimi,
wprawdzie już wtedy nielicznymi, ruszył. Nie znając
fortelów jakich kozacy używać zwykli, za daleko po-

sunął się za nimi, reszcie wojska jako i naszemu korpusowi nakazawszy zająć obóz na noc. Tutaj książę Poniatowski dużą królowi neapolitańskiemu oddał przysługę; był to początek przyjaźni i szacunku, któremu król aż do śmierci okazywał. Widząc książę, że król ustawicznie robiąc szarżę, coraz dalej się zapędza kazał jednej brygadzie pieszej wziąć za broń i ledwie nie biegiem poprowadził ją w dyrekcyą, którą król neapolitański ścigał kozaków. Pole, na którym francuska jazda ucierała się z kozakami, było obszerną równiną świeżo pooranego wybornego pszenicznego gruntu. Deszcze jesienne cały ten obszar w błoto zamieniły. Kozaki nęcąc Francuzów coraz dalej, często front formowali, który szarżę jazdy francuskiej, po największej części ze strzelców konnych złożone, łatwo łamały. A gdy dopiero widzieli, że konie francuskie dobrze pomęczone i więcej półtory mili od obozu naszego byli oddaleni, zrobili szarżę po swojemu, t. j. z ogromnemi okrzykami oskrzydając z prawej i lewej strony, całą masą uderzyli. Jazda francuska zmieszana musiała w szybkiej ucieczce szukać ratunku, lecz zmęczone konie i grunt błotnisty uchodzić przed lekkimi kozackimi końmi nie pozwalały. Nie wiem, coby się było stało z całą tą jazdą i z samym królem neapolitańskim, gdyby książę Poniatowski ruchu jaki powyżej wspomniałem, z piechotą nie był wykonał. Widząc z tego co się działo w szarżach króla neapolitańskiego, że tu odwrót szybki jazdy francuskiej nastąpić musi,

zajął książę krańce lasu na lewej stronie pola znajdujące się i wtedy, kiedy jazda francuska w największym nieładzie piechotę tę minęła, rześisty ogień długo rozciągniętego frontu, całą gonitwę kozaków wstrzymał. Król neapolitański zdziwiony tym niespodziewanym raturkiem, zwraca konia ku naszej piechocie i tam samego księcia Poniatowskiego na czele jej znajduje. Uściskał go serdecznie i nazwał swoim zbawcą, bo istotnie tak było. Nie umiem dać szczegółów wszystkich ruchów, jakieśmy tu przedsiębrali zawsze w zamiarze odkrycia głównych sił nieprzyjacielskich, to tylko wiem, żeśmy się od Woronowa na kilka części rozdzielili.

Korpus polski pod komendą księcia Poniatowskiego ruszył ku Czerykowu, spychając coraz bardziej opór kozaków wsparty artyleryą. Pod Czeryków przybyliśmy dnia 29. sierpnia, z rana i w dzień mglistodeszczowy. O milę za nami znajdował się generał La Houssaye, z owymi jedenastu pułkami jazdy francuskiej, które tak wiele ucierpiały przez nieostrożność króla neapolitańskiego. Pod Czerykowem już opór Moskali był zaciętym, piechota ich trzymała wieś i ogród pałacowy, broniła go mężnie. Pójdę za działaniem mojem osobistém w tej bitwie, bo mi się zdaje, że tym sposobem najdokładniej ją opisać potrafię. Gdyśmy front zrobili naprzeciwko ogrodu pałacu, na krótki strzał armatni, wyprawiony zostałem ze szwadronem i dwoma działami artyleryi konnej Straszewskie

na lewe skrzydło, gdzie się opierał o gęste i wysokie krzaki. Przed frontem starodrzewny stał las dębowy, bynajmniej krzakami nie podszyty. Gdy się zbliżył do owych krzaków, usłyszeliśmy tamże gwar kłótniwy. Wysłany sierżant Jagmin z dwoma szasarami do krzaków, przyprowadził mi parę niewolników, z opołączenia (pospolite ruszenie). Ludzie ci uzbrojeni tylko w piki, z czapkami, na których były wyszyte krzyże nad czołem, pierwszy raz tutaj się nam ukazali. Jagmin mówił, że ich dużo w krzakach, i że się między sobą kłócili. Zdaje się, że sam nieprzyjaciel nie wiele na tę pomoc liczył, bo massy nie pokazały się na placu. Po krótkiej godzinie zaczęliśmy spostrzegać między dębami dość licznych doboszów piechoty nieprzyjacielskiej, którzy wychodząc z za krzaków wyraźnie widzieć chcieli, jaki jest nasz szyk i liczba. Posłałem natychmiast raport, donosząc o tém com widział, równie z mą opinią, że tu massy piechoty ukryte być muszą, co się wkrótce sprawdziło. Książę Poniatowski wzmocnił tyralierów naszych, Czeryków atakujących, wziął środki jakie należało przeciw kozakom, gdzie było opołączenie, a ja dostałem rozkaz przejścia na prawe skrzydło całej naszej pozycyi, przez co nie byłem świadkiem tego co później działo się na naszym froncie, więc tylko z opowiadania to opiszę.

Siły nieprzyjacielskie coraz bardziej rosły, zdaje się, że Kutuzów, który już wtedy naczelnie był odebrał dowództwo, był w marszu ku Kałudze, kiedy

parcie na jego straż tylnią, do odwrotu ku nam go nakłoniło, w nadziei, że nas zbić kompletnie potrafi. Książę Poniatowski widząc przemagające nieprzyjaciela siły, słał oficera po oficerze do generała La Hous-saye, prosząc aby mu w pomoc przybywał. Lecz ten ruszyć się nie chciał i dość niegrzecznie odpowiedział: „bah! bah! Les Polonais se tireront d'affaire „eux mêmes.“ Było to podwójnie bolesne, gdyż wysłanie każdego oficera ku niemu, o szwadron jeden nas osłabiało. Kozaki wsunęli się byli między nas a niego i trzeba było silnej eskorty dla utrzymania komunikacyi. Przed samym zmierzchem, nieprzyjaciel attak na centrum nasze kolumnami piechoty przypuścił i równocześnie na prawe skrzydło, gdzie się wtedy znajdowałem, silną kolumnę artyleryi i jazdy obrócił, tak żeśmy dokoła attakowani byli. Książę Poniatowski widząc wysuwające się moskiewskie massy, sądził z razu, że to nasza piechota tak szybko pozycyą opuszcza. Przypuszcza więc konia ku massom i łajać zaczyna; dopiero ręczny ogień rossyjski z błędu go wyprowadził. Szczęście, że dzień mglisto dżdżysty sprawił, że mało która broń dobrze paliła. Musiał książę dobyć pałasza jak również cały sztab i czoło kolumn, rąbać i kłuć. Sam generał Fiszer dobył szpady w tym attaku a raczej obronie. Pułk nasz, który prawie o pół strzału karabinowego się znajdował za księciem, dostał do szarzy rozkazy i na szczęście wystarczył, aby tę piechotę do odwrotu zmusić, co w tym punkcie oprócz

tyralierskiego ognia bitwie koniec położyło, bo też i noc była bliska. To wiem tylko z opowiadania; na prawém zaś skrzydle, właśnie kiedym tam przybywał, rozwijał nieprzyjaciel kilka baterii artyleryi, którym jedynie dwa działa 6cio funtowe Straszewskiego odpowiadały.

Nieprzyjaciel wysunął z frontu artyleryi 4 działa, które kartaczami razić zaczęły nas, eskortę dział; a reszta artyleryi z położenia nieco wywyższonego granatami i kulami razila pułk 13ty huzarów, który za mną stał rozwinięty i czwarty pułk strzelców konnych, który za huzarami był w kolumnie uszykowany. Pamiętam, kiedy przyleciał do mnie w czasie tego ognia kartaczowego Lefèbre des Nouettes, którego cesarz Napoleon na miejsce Sebastianiego, na dowódcę naszej dywizyi jazdy był przysłał; ten przylatując do mnie, pyta się co ja tu robię i co się tu dzieje, odpowiadam mu jak się rzecz miała, że z razu nieprzyjaciel przypuścił szarżę na nasze działa, lecz że te odparłem i że teraz te 4 działa, które bliżej widzi, kartaczami do nas strzelają a owe na wzgórzu ciężkimi pociskami. Nie wiem czy miał wzrok krótki, czy też młodość jego była przyczyną, że się obrócił do starego wachmistrza, który jedynie stanowił jego eskortę i pyta się go: „Dagobert! dit-il vrai?“ Wachmistrz roztropniejszy od generała i więcj dla mego stopnia mający uszanowania mówi: „mais oui „général, cela doit être vrai puisque le ca-

„pitaine vous le dit.“ Lecz wyraźniej od raportu mego i od potwierdzenia Dagoberta, przekonał nieprzyjaciel generała o prawdzie, bo jak sypnie kartaczami, już wątplenia nie zostawił. Wtedy generał do mnie: „retirez vous en arriere, vous êtes trop „exposé.“ Alem go prosił, aby wprzód ten rozkaz dał artyleryi, bo ja się wprzód od niej cofać nie mogę, co natychmiast wykonał, i ja w kolumnie plutonowej za działami odszedłem. W tym odwrocie rannym był sierżant mój Korn w biodro kartaczem strzelony. Moskale wtedy nie strzelali celnie, bo jak tutaj, kartacze prawie wszystkie górowały. Strzały ich jednak nie były dla nas bez szkody, zginęło kilku oficerów z 4go pułku strzelców konnych, ranny był mocno dzisiejszy generał Gawroński, szef szwadronu z pułku 13go huzarów.

Muszę tu nieco wspomnieć o generale Lefèbre des Nouettes. Był to młody człowiek pełen odwagi, i był faworytem wielkim cesarza Napoleona; obok generalstwa dywizyi, był zarazem pułkownikiem pułku strzelców konnych gwardyi, którego pułku Napoleon zwykle mundur nosił. Jak przybył na dowódcę dywizyi naszój, chciał względem ks. Poniatowskiego przybrać ton jaki miał generał Sebastiani, lecz książe który bardzo wiele powagi w całej swój postawie posiadał, znosił to, dopóki chwila sposobna się nie znajdzie. Tu przy początku bitwy kiedy się okazało, że nieprzyjaciel przynajmniej pięć razy od nas liczniejszy, poznał

jenerał Lefèbre des Nouettes, że rzecz nad jego siły, przyjeżdża do ks. Poniatowskiego i mówi: „Mon prince, je suis absolument à vos ordres“, a księżę z flegmą, „mais je le sais bien, général“, i odtąd był na swoim miejscu, jako podkomendny.

Nazajutrz po bitwie gdzieśmy plac kompletnie otrzymali, a nieprzyjaciel się cofnął, przybył król neapolitański, który się nie mógł nachwalić i dość nadziękować księciu za w wilią odbytą bitwę. Przejężdża przed naszym frontem nie szcędząc pochwał dla waleczności Polaków. Jenerała La Houssaye przed frontem naszym złażał najmocniejszymi wyrazami, których nawet nie powtórzę bo były zbyt grenadyerskie. A na jego upokorzenie oświadczył mu że go stawia pod rozkazy ks. Poniatowskiego, prosząc księcia głośno aby go ciągle w przedniej straży używał. Wina jenerała La Houssaye zapewne że była wielka; ale żeby ją nieco zmniejszyć, a przynajmniej okazać, że pomoc jaką nam mógł przynieść, nie była tak stanowcza, muszę powiedzieć że owe 11 pułków jazdy, już wtedy nie więcej jak 1300 lub 1500 w ogóle koni liczyły. Tak jazda nasza dużo była koni straciła, szczególnie u Francuzów którzy mniej o konie dbać umieją. Nazajutrz po bitwie pod Czerykowem, a raczej w nocy, pierwszy spadł śnieg i dosyć grubo okrył ziemię, lecz około południa zupełnie zniknął, a błoto oczywiście pomnożył. Zaraz po objeździe króla neapolitańskiego ruszyliśmy w marsz ku Kałudze. Nic znaczniejszego

ż do dnia 4go października nie nastąpiło. W dniu 1m przybyliśmy na równinę lasami otoczoną pod Tarutino. Tu mieliśmy ledwie nie walną bitwę, bo nieprzyjaciel tego położenia silnie bronił, a szczególnież starodrzewnego lasu, który to położenie ku Kałudze ramił. Ciężka jazda nieprzyjacielska z kirassyerów i dragonów złożona, licznie z tego lasu wysypała się, tak że ks. Poniatowski nie liczną lecz dzielną piechotę naszą we dwa czworoboki uszykować musiał. Między niemi front artyleryi, a jazdę na skrzydłach w kolumnach, i ten groźny szyk dopiero atakom nieprzyjacielskim koniec położył.

Tarutina była ostatnim punktem w naszym posuwaniu się naprzód. Tu stanęliśmy obozem i do 18go października nieporuszenie, lecz z wielkiem utrudzeniem naszym, staliśmy. Zaczęli tu Moskale Napoleona dążyć niby pokojem. Działania te oczywiście do opisu mego należeć nie mogą; ja tylko piszę to com naocznie widział i gdzieś sam działał. Wszystkie siły króla Neapolitańskiego pod Tarutynę ściągnęły. Że tu walną bitwę 18go października odbyliśmy, winienem nieco położenie pola, na którym się odbyła, opisać. Przed całym naszym frontem, o półtora strzału armatniego, ciągnął się starodrzewny las, który równie prawie pod kątem prostym na lewém skrzydle naszym się znajdował i dochodził do strumyka ztąd biorącego początek, który płynął równolegle z całym naszym frontem, miał spadek od lewój po za prawe skrzydło i w téj dyrek-

cyi był coraz głębszym. Za strumykiem t. j. na prawym brzegu tegoż, była dość obszerna wieś za którą frontem do nas i do strumyka, stał rozwinięty korpus ciężkiej jazdy, generała Sebastianiego. Za frontem tego korpusu ciągnął się równie starodrzewny sosnowy las.

Przed prawém naszym skrzydłem polskim i na środku całej téj równiny, był mały gaik brzozy z pary morgów złożony w którym rozbito namiot księcia Poniatowskiego. W prawo od tego gajku trzymał pozycyą król neapolitański z wojskiem francuskim, przy którym znajdowała się legia nadwiślańska polska generała Chłopickiego.

Codziennie połowa naszej polskiej jazdy, chodziła po furaz, a to zawsze w dyrekcyi z kąd strumyk wypywał, t. j. ocierając się o skrzydło ciężkiej jazdy francuskiej Sebastianiego. Po kilkunastu dniach zmieniliśmy front w następujący sposób, t. j. że prawe skrzydło nasze pozostało w miejscu, a lewe zostało pod prostym kątem w tył cofnięte, co zrobiło że jakęśmy pierwój front ku Kałudze i południowi obrócony mieli, teraz patrzaliśmy prosto na wschód. Sebastianiego korpus pozostał na miejscu, lecz zamiast frontu rozwiniętego ku południowi, sformował się szwadronami w kolumnę i front kolumnowy równie, na wschód obrócił.

Sądziłem że ta odmiana frontu nastąpiła z powodu licznych koni, które nam tu były pozdychały, bo ich

w naszej brygadzie samej więcej jak 150 upadło, i to prawie wszystkie w jednej nocy. Tęj nocy nastąpił mróz tak silny, że wszystkie klacze żrebne tej nocy porzuciły i zdechły, równie jak i więcej odpsute konie, gdyż to opsucie tak było mocne, że pomimo dek w 16 razy złożonych, te kompletnie przegniły, tak że jeżeli zgnilizna i czaprak przegryzła, można było wnetrznosci konia, gdy żołnierz zsiadł z niego, z łatwością widzieć. Nie dziw więc że mróz taką śmiertelność spowodował. Służba obozowa odbywała się jak najregularniej, lecz z wielkim utrudzeniem wojska, a szczególnie jazdy. Środki ostrożności były przez Polaków jak najlepiej wzięte, bo oprócz placówek i vedet, które jazda trzymała, bataliony piechoty miały w lasach grangardy, które znowu vedety na około siebie stawiały. Jazda jak powiedziałem połowę swjej liczby codzien za furazem wysyłała, a ta połowa tyle musiała nabrać żyta w snopach, dopóki to wystarczyło, a później słomy i barłogu, aby tak dla siebie jako i połowy zostającej wystarczyło. Z razu szło to dość łatwo bo i miejsce było bliższe i nieprzyjaciel nie wiele przeszkadzał, lecz z każdym dniem rosły trudności; i miejsce po furaz coraz dalsze i grunt codzien błotnistszy i nieprzyjaciel coraz silniej atakował furazerów, tak że połowa tych stać pod bronią musiała kiedy druga wiązała furaz w snopy. Tak obladowana znowu tworzyła front dając czas drugiej połowie. Były jednak zdarzenia gdzie nieprzyjaciel tak był silny, że

trzeba było furazę pozrzucić dla odparcia jego ataków i bez niczego do obozu powrócić. Piechota mniej miała utrudzenia. Furgony i powózki armii nawiozły jej słomy, z której porządne baraki sobie porobiła, lecz jazda pomimo mrozu a czasem i słoty obozowała pod gołym niebem; jedynie zasłony od wschodniego wiatru porobiliśmy sobie; a paląc przed nimi ogień, dym i ciepło szły ku koniom. Widzieliśmy jak kapiemy po trochu, bo codzien i konie słabsze i ubywały; a ludzie prawie wszyscy mieli dyssenterję. Co łatwo było pojąć kiedy się racya żołnierza jedynie z funta mięsa składała. Bydło świeże bito co dzień, i tego nigdy nie brakło dopókiśmy stali w miejscu, ale chleba, soli, wódki, nigdy nie dawano. Żołnierze mieli między dwoma kamieniami żyto i z tego piekli podpłomyki, ale to słabość żołądka pomnażało, bo grubo mielone, a raczej tylko zgniecione żyto sprawiało że się podpłomyk zjadło, a surowe prawie żyto stolcem odchodziło. Szczęściem dla zdrowia naszego że każdy z nas był się obficie herbatą w Moskwie opatrzył, jak równie naczyniami miedzianemi, do prędkiego robienia herbaty. Ja miałem prócz tego blisko pół korca najdelikatniejszej mąki pszenicznej, którą ostrożność służącego mego Marcinka sposobem zapasu zdobytego w Moskwie oszczędziła. Kładzione kluski z téj mąki, smażone w świeżym łoju na patelni, było główném, codzienném obok mięsa pożywieniem, dla tego jednak od krwawej

dyssenteryi nie byłem wolny i tylko wiek młody mię uratował.

Nieraz oficerowie schodzili się w godzinach wolnych i nad położeniem naszym rozprawialiśmy. Wdzieliśmy jak nikniemy powoli, lecz ufność w jeniuzie Napoleona, w jego tyloletnich zwycięztwach, była tak nieograniczona, że się zawsze te rozmowy kończyły decyzją, że on lepiej jak my musi wiedzieć, co robi. Ufności podobnej wątpię, żeby który bądź człowiek od stworzenia świata był posiadał, a co do mnie wyznaję, że im więcej byłem niejako jego wyznawcą, im więcej za nadzwyczajną go istotę uważałem, tém mniej dziś jestem skłonny komukolwiek ślepo zaufać, bo rozliczając tyloliczne jego błędy tak w kierowaniu losem narodów, jak i tą wojną, widzę że każdy człowiek jest wielce ułomny.

Moskale wprawdzie byli zręczni w utrzymaniu Napoleona w nadziejach pokoju, gdyż oprócz działań dyplomatycznych, które oczywiście wiadome nam być nie mogły, we wszystkich stycznościach jakie z nami mieli na forpocztach, o pokoju jakby był bliskim, niby ze szczerością wojskową mówili. Na trzy dni przed atakiem na nas zrobionym, znaleźli furazery z wielkim swém zadziwieniem, że mieszkańcy wsi opuszczonych na powrót do chat swych przybyli, i pieczeniem chleba jako i innemi zatrudnieniami gospodarskimi byli zajęci, oświadczając żołnierzom, że ponieważ pokój już bliski, oni do chat wracają. Dowódcy rossyjscy ze swém

strony ile mogli te illuzye w nas utrzymywali. Razu jednego dało się słyszeć na całej linii moskiewskiej mocne strzelanie karabinowe, było to wyraźnie przygotowanie się do walnej bitwy, przez przestrzelenie broni staro nabitęj. Lecz dowódcy ci przysłali do nas parlamentarza, oświadczając nam, żeby się tym strzałom nie dziwić, gdyż to pochodzą od rekrutów świeżo odebranych, musztrę z ogniem odbywających. Próżne były jednak ich zabiegi, aby księcia Poniatowskiego oszukać. Doskonały ten wódz wiedział, iż ostrożność jest pierwszym obowiązkiem wodza i żołnierza. Co dzień o 4ej w nocy siadaliśmy na konie i zakaz palenia fajek, lub głośnego gadania był surowo strzeżony. Z wydobytymi pałaszami staliśmy zawsze frontem do godziny 6ej z rana, o której nieco świtać poczynąło. Książę Poniatowski dając przykład wojsku sam na koniu ze sztabem zwykle stawał przed frontem. O godzinie 6ej zsiadliśmy z koni, ale każdy stojąc przy koniu, trzymał go za musztuk, który ciągle na szyi miał zarzucony. O 7ej godzinie zaczęły kompanie koleją prowadzić konie do pojenia, insze czekały we froncie swojej kolei. O 8ej dopiero ruszała połowa koni za furazem a wracała zwykle w noc późną. Tę tak mozolną służbę, której żadne poruszenie nieprzyjaciela usprawiedliwić nie dawało, odbywało karne nasze wojsko, bez myśli szemrania, a skutek tój ostrożności księcia Poniatowskiego, bo jemu jedynie przypisać to należy, 18. października usprawiedliwiony został. Tym

środkom ostrożności winna była cała armia tu się znajdująca, swoje ocalenie.

W dniu 16m przybył nam z Moskwy ogromny transport żywności i podochodziły nas oddziały, które od Smoleńska były po drodze z powodu ran lub innych słabości pozostawiane. Niektórzy nawet jenerałowie, a między innymi Zajączek, z tym konwojem przybyli. Jak na nieszczęście w tym transporcie nadeszło wiele wódki, araku, dla korpusu ciężkiego jazdy Sebastianiego. Widać że tam niewielki musiał panować porządek, bo przez cały dzień 17go i w nocy z 17go na 18go w ogromnych rondlach warzyli rum z cukrem, co z obczu naszego, gdzie lewe skrzydło nasze pod kątem prostym o ich prawe opierało się, widzieć było można. Środki ostrożności były zaniebane, bo nieprzyjaciel właśnie z po za lewego ich skrzydła z lasu wychodząc atak swój rozpoczął, t. j. przychodził w dyrekcyi, w którąśmy zawsze po furaz chodzili. Musiał ksiązę Poniatowski bądź wiedzieć, bądź przeczuwać, że z téj dyrekcyi nieprzyjaciel atakować będzie, kiedy przed 10cią dniami dyrekcyą frontu naszego zmienił, a może i to miał co ś. p. Chłopicki pochlebnie mówiąc o mnie wspomniał, że mam węch. Jakkolwiek było, opiszę bitwę tę tak, jak ją krok po kroku odbytą widziałem. Właśnie zsiadliśmy z koni i kompania 7go pułku naszego wracała od wody, a ja już moję 6tą prowadzić miałem, kiedy okropne Hurra! zapełniło powietrze i rześisty ogień ręcznej broni dał

się słyszeć, równie jak i jeden strzał armatni; krzykniono: „na koń,“ i nie było czasu do dania komendy „do dobycia pałasy“, lecz dał książę Sułkowski od razu komendę „nacieraj.“ Piechota bowiem rosyjska, w gęste nadzwyczajnie rozsypana tyraliery, w kilku szeregach, ledwie o pół strzału karabinowego zalała przestrzeń całą przed naszym frontem. Ruszył nasz 6ty pułk sam jeden do ataku i zrąbaliśmy lub w niewolę zabrali wszystko co było przed nami; działo się to jeszcze przed wschodem słońca. Zapędziwszy się dalej od drugich z szefem szwadronu Siemiątkowskim (słońce co tylko wschodzić zaczynało), widziemy przed nami piechotę żywo ku nam postępującą w czworobokach. Sądziliśmy że to nasze piesze granardy wracają z lasu na huk strzałów. Siemiątkowski był krótkiego wzroku, a do tego trudno było i ostro na te kolumny patrzeć, bo słońce wprost za nimi wschodziło, tak że się tylko formy głów ku słońcu odbijały. Szerokie szako rosyjskie dawały wyobrazenie czworograniastych czapek piechoty naszej, u góry rozłożystych. Siemiątkowski odzywa się do mnie: „dotrzyjno z bliska, bo ty masz lepsze oczy,“ co oczywiście skoro tylko wyrzekł, szybkim biegiem dzielnej mej karéj klaczy zrobiłem, a dopadłszy do tych mass, Moskali poznałem, a ci gęstemi maie strzałami przywitani. Wróciliśmy w tył i Siemiątkowski czynnie i sprężysto jął się rajlowania pułku i uformowania frontu. Był ta całowiek nie tylko wielkiej odwagi, ale wielkiej

przytomności w chwili działania. Owa słodka postawa, która go znamionowała, nikła zupełnie, głos sam zdawał się donośniejszy, a każdy krótki wyraz każdemu co miał wykonać, przypominał; tak że w téj chwili pomimo że Kurnatowski dobry był żołnierz, istotnie Siemiątkowski komendę pułku objął. Nie było tu czasu do stracenia, bo ledwieśmy front uformowali, zaczęły się owe massy ku nam zbliżać; lecz czy nieufne w siebie, czy też raczej, że prawdziwa ich dyrekcyja chcąc nam tył zająć, była: trzymać się biegu strumyka; wzięły się te massy w prawo skośne i dopiero od strumyka w lewo-skośne ku nam maszerować zaczęły. *) **Książę Sułkowski** nie tęgi był manewrzysta, ale widząc massy blisko, dał komendę: „trzema w lewo“, a potem „nacieraj“ co było niewłaściwem, bo gdybyśmy byli poszli w dyrekcyi szóstek tak sformowanych, bylibyśmy po prostu przed frontem czoła kolumny rossyjskiej defilowali. Lecz jeżeli słowa komendy jego nie były stósowne do szyku naszego, przykład waleczności **biał**

*) Zbliżały się te massy wolno, ale nieustannie, niekiedy stawały rzęsisty ogień skośny na nas sypały, po czém znowu broń nabijały i strzelać zaczynały. Nie mogliśmy w dystansie choć tylko prawie kilkuset kroków uderzyć na nie, bo konie nasze dużo niewygodami osłabione, już pierwszą szarżą zmęczone, słaboby były uderzyły. Straciliśmy dużo ludzi, czekając na zbliżenie się tych mass, kule na wylot przesywały ludzi, tak że jak klapła, krótki jęk dawał się słyszeć i ubywał człowiek z szeregu. Tak zginął obok mnie stary żołnierz Krzycki świeżo krzyżem legii honorowej ozdobiony, z powszechnym żalem oficerów i żołnierzy. Był to człowiek dowcipny, który ze wszystkiego żartować lubił i tak trafnie rzeczy oceniał, że ciągłą wesołość między żołnierzami utrzymywał. Te pół godziny czekania na zbliżenie się mass, było chwilą, gdzieśmy najwięcej ludzi stracili.

słów poprawił, gdyż jak tylko dał komendę „nacieraj“ puścił się galopem na batalion czoło kolumny rosyjskiej formujący. A ze konie żołnierskie były słabe i już pierwszą szarżą zmęczone, przybyliśmy przed batalion w 7 koni, licząc w to księcia Sułkowskiego. Jadąc obok niego z lewej strony, mówię: „Mości książe, „wolno, bo nas mało“, lecz on z zimną krwią odpowiada: „naprzód, naprzód.“ Wpadliśmy więc w ten batalion w 7 koni nim pułk za nami zdążył. Te 7 koni składało: „Jenerał książe Sułkowski, kapitan czy major a później pułkownik Bojanowicz, ja, porucznik czy wachmistrz Górecki i 3 żołnierzy. Na szczęście nasze, Moskale żeby swe bataliony pomnożyć, byli je rekrutami wzmocnili, i ci występowali w furazerkach, a starzy żołnierze w kaszkietach. Każdy rekrut po wystrzeleniu, chronił się w środek batalionu, tak że się w batalionie utworzyły luki, któreśmy oczywiście i końmi naszymi i cięciami pałaszy powiększyli. Naturalnie pułk w krótkiej chwili zdążył za nami i batalion ten czoło kolumny formujący, został rozsiekany, co pochód całej wstrzymało kolumny. Dostałem tu silne pchnięcie w brzuch bagnetem, a lubo w pierwszej chwili ledwo nie zemdlałem z powodu silnego uderzenia, jednak mię bagnet nie przebił, choć był dobrze zaostrzony, bo znaki jakie w pasku od owych łosiowych spodni zostawił, były jakby scyzorykiem przecięte. Pod temi byłem żołądek opasał sztuczką materii w pół jedwabnej, w pół bawełnianej z Moskwy

wywiezionej i ta jakby lity pas, bagniet wstrzymała. Po rozbiciu tego batalionu, puściła się część pułku w rozsypce dalej, lecz żywym nader ogniem piechoty przyjęci, straciliśmy wiele ludzi i koni; podemną konia trzema strzałami ubito, a 7 kul dostałem w płaszcz kolisty na mnie wiszący. Z 300 ludzi, które pułk przed temi dwiema szarżami liczył, zeszedł na 100 koni, które wszakże nazajutrz na 200 się podniosły, bo żyjący ludzie wsiedli na konie pozostałe po zabitych żołnierzach. Dziesięciu oficerów było bagnietem rannych, a niektórzy od strzałów karabinowych; między innymi: Jeziński Stanisław ranny w udo kulą, kapitan kompanii grenadyerskiej. Żywość ataków naszych armią od zupełnej klęski wybawiła, bo nieprzyjaciel wstrzymał swój ruch a rozwijając liczną artylerją, raził nas srodze. To jest opis tego, co się przed frontem polskim działo. Po odbytej tej 2ej szarży sformował się nasz pułk za barakami piechoty, która teraz dalszą miała prowadzić bitwę.

Wsunięcie się tak raptowne nieprzyjaciela w środek pozycji naszej, nastąpiło z powodu złego strzeżenia się korpusu Sebastianiego i ze stanu, w jakim się tak oficerowie jako i żołnierze tego korpusu znajdowali. Wszystko tam bez wyjątku było kompletnie pijane, tak że piechota rossyjska zalała ich obóz, nim kto bądź konia dopaść potrafił. Z 18 dział nabitych, jedno tylko zdążyło dać ognia, resztę Moskale zabrali nabite. Ja sam o mało od pijaków nie zostałem za-

rąbany, bo koń padł podemną w chwili, kiedym się za daleko był wysunął, tak że pieszo ku pułkowi wracając polem, które granaty i kule nieprzyjacielskie silnie orały, nadjechało parę kirassyerów pijanych, którzy się przez strumyk na naszą stronę ratowali. Upuścił któryś z tych pijaków rękawicę, i tymże głosem woła na mnie: „Sacré-matin, ramasse moi mon gant“ a gdym mu hardo odpowiedział, sięga ręką do pałasza i obiecuje łeb przeciąć. Musiałem pychę z serca zrzucić i temu pijakowi rękawicę podnieść. Wracając dalej natrafiam na trębacza kirassyerów trzeźwego, siedzącego na koniu i wołającego na kapitana swego, któren pijany w kirysie leżał obok konia, którego trębacz trzymał za cugle, aby wstał; kapitan klnąc co niemiara nie chciał wstać i na konia wsiąść. Poczciwy trębacz widząc, że wszelkie proźby i nalegania jego nic nie pomagały, zasiada z konia i mówi do kapitana: „niech-
„że przynajmniej nieprzyjaciel się nie chwali, że zbroj-
„nego oficera kirassyerów francuskich wziął w niewolę
„pijanego“ i zabiera się do odpięcia pendentu; to ja-
koś zrobiło na pijanym wrażenie, zaczął mówić: „laisse
„donc, laisse donc“, a ja pocziwemu trębaczowi pomogłem wsadzić go na konia i w tył go odprowadziłem. Kozaki podczas samego boju jakby chmary much wszędzie się między kolumny wsunęli, wszystkie nasze grangardy pominęły, lecz te szczęśliwie bez żadnej straty do nas się przebiły. Ledwie kilka minut po ataku a już namiot księcia Poniatowskiego przez

kozaków był otoczony, kiedy w jednym czasie wzdłuż strumyka inne kozackie snuły się oddziały i uchodzące powozy z obozu po za rzekę, niektóre wprowadzać zdołali. Pamiętam nawet jak do jednego z naszych oficerów z pułku 13go huzarów jadącego w powozie pułkownika Tulińskiego, przypadł oddział kozaków i zażądał od niego zegarka, ten w przestraszu oddał, a kozacy spłoszeni przez jakiś nasz oddział, odbiegli ekwipażu, unosząc z sobą zegarek.

Skoro książę Poniatowski grangardy wszystkie ściągniętymi widział, nakazał nam odwrót za strumyk t. j. w pozycyą, gdzie parki nasze rezerwowe szeroką przykopą opasane stały. Odbyło się to w największym porządku, ale nie bez strat dla naszej piechoty, gdyż nie jeden w tym odwrocie od kuli nieprzyjacielskiej śmierć znalazł, między innymi generał Fiszer, szef sztabu księcia Poniatowskiego, którego powszechnego używał szacunku i był duszą porządku w armii. Z wysokiego położenia, któreśmy zajmowali, mogliśmy przypatrzeć się całemu tokowi bitwy. Liczna ciężka jazda nieprzyjacielska z kirassyerów i dragonów złożona, napróżno kilkakrotnie przeciw piechocie naszej próbowała szarżę i to nie tylko na piechotę pod polską, bezpośrednią komendą księcia Poniatowskiego, lecz i na legię Nadwiślańską generała Chłopickiego. Ten tak ufał swojemu żołnierzowi, że nawet czworoboków nie kazał formować, ale w rozwiniętym froncie szarżę tę przyjmował. Po każdej szarży, po komendzie „nabij

bronń“, dawał komendę „w ramię bronń“, a gdy nieprzyjaciel odparty, na nowo szedł do szarży, komendy do przygotowania się do strzałów, dawał w miarę jego zbliżania, tak że komenda „pal“ wtedy dopiero z ust jego wychodziła, kiedy nieprzyjaciel o kilkadziesiąt kroków się znajdował. Więcej 10ciu szarż tym sposobem odparł, a nieprzyjaciel widząc próżność swoich ataków, na silnym ogniu armatnim musiał skończyć bitwę. Brat mój Wacław, po ciężkiej ranie kapitana swego Grzelachowskiego, dowodząc kompanią wołyżerską, aryergardę korpusu księcia Poniatowskiego robił i mostka przez strumyk do ostatniego bronił przed rosyjskimi kirassyerami, że to uwagę króla neapolitańskiego zwróciło. Trzy razy posyłał do niego podczas bitwy, 1szy raz zapytując o nazwisko, 2gi raz obiecując, że go do krzyża poda, a 3cią razą, kiedy mój brat dla braku ładunków na bagnety poszedł ku kirassyerom, przyszedł z oświadczeniem, że mu krzyż ofiaruje. Lecz że się mój brat po bitwie nie przypominał, minęła go ta nagroda, o którą się wtedy tak silnie dobijano, a król neapolitański pomimo honorowej bitwy, jakąśmy odbyli, nie mógł się bardzo u cesarza o nagrody upominać, bo istotnie bitwa dla nas była przegrana. Z korpusu Sebastianiego ledwie się 2 szwadrony wyratowały, które były w stanie front zformować. Znalazła ta waleczna garstka sposobność pomśzczenia się za klęski, jakie ten korpus spotkały; bo gdy nieprzyjaciel massy piechoty swojej z lewego brzegu

strumyka na prawy przeniósł i zawsze z dyrekcyi ze wschodu na zachód się posuwał, pożyczył generał Sebastiani u księcia Poniatowskiego dwa działa artyleryi konnej i ukrywając te po za frontem owych dwóch szwadronów, wytrzymał niemi silny ogień ręczny, który te kolumny w ciągłym postępowaniu naprzód na tych kirassyerów sypały. A gdy dopiero na krótki strzał kartaczowy zbliżyła się piechota, zakomenderował w lewo i w prawo szwadronem i po kilku strzałach artyleryi naszej zrobił szarżę, która bez proporcyi szarżującej garstki, trupami moskiewskimi pole zastała.

Nazajutrz zaczęliśmy odwrót ku miasteczku Wereja, lecz nim pole to opuszczę, winienem wspomnieć o zdarzeniu, które mnie z pułkownikiem Kurnatowskim zupełnie poróżniło. Wspominam o niem bez żółci (bo chociaż Kurnatowski tutaj niesprawiedliwym się względem mnie okazał, tyle mi znów szacunku i przychylności okazał przy końcu saskiej kampanii w 1813 r., a szczególnie w kilku dniach bitwy pod Lipskiem). Tego samego dnia, kiedy wyznaczone krzyże legii honorowej ogłoszonymi były przed frontem pułku, miałem służbę jako kapitan inspekcyi w pułku. Mieliśmy wtedy błędną zasadę w komenderowaniu placówek i forpoczt, t. j. że zamiast kolejnej służby kompaniami, którą generał Sokolnicki dopiero w 1813 r. u nas zaprowadził, tu odbywaliśmy mozolne przez wachmistrzów wywoływanie ludzi z każdej kompanii, któremi znowu komenderował oficer równie kolejno z poruczni-

ków i podporuczników wyznaczony. Do adjutanta majora należało zebranie tak dziwnie składanego oddziału, a dopiero kapitan inspekcji oddział ten brał i na forpoczty prowadził. Że czas był w tym dniu słotny, każdy się od służby wymawiał, ja stałem przed oddziałem i czekałem na przybycie oficera i jak się jeden wymawiał, posyłałem po drugiego, lecz całą kolój pułku obesłałem, a żaden przybyć nie chciał; wołałem więc żeby starszy wachmistrz z pułku, oficera przybył zastąpić, a kiedy i teraz zwłoka nastąpiła, posłałem do adjutanta majora przypominając mu że to jego jest rzeczą, a sam wróciłem do miejsca gdzie konie moje stały i ze złością zawołałem na ordynansa aby konia odebrał. Kurnatowski, który czuł że mi niesprawiedliwość zrobił, nie podając mię do krzyża, miał ciągle oczy na mnie zwrócone, przyskoczył pieszo do mnie i mówi: „Co to jest! kapitan inspekcji opuszcza służbę widząc nieregularność, siadaj pan na konia i ruszaj przed oddział“, zawołałem na ordynansa: „podaj mi tu konia“, lecz Kurnatowski już się sam nieco zapomniał, bo stojąc przy mnie mówi: „ruszaj pan do konia“, i nawet dotknął się prawego mojego łokcia, odwróciłem się żywo mówiąc: „proszę pana mię nie dotykać, tam błoto a tu ślisko, ordynans daj mi konia.“

Wspomniałem że Kurnatowski zrobił mi niesprawiedliwość, wypada mi to objaśnić. Od czasu bitwy pod Smoleńskiem gdzie już cesarz nagrody był porozdawał, nie mieliśmy walnej bitwy jak 5go i 7go pod

Mołajskim; w tój zaś bitwie dnia 7go gdy pułk nasz rozwinięty stał we froncie, a nieprzyjaciel mocno ogniem armatnim witał, padł granat o kilkadziesiąt kroków przedemną i zaczął syczeć jak bywa przed pęknięciem. Nie wiem dla czego ten granat więcej innych ludzi strwożył jak mnie, bo i Kurnatowski podskoczył ku prawemu skrzydłu i kompania 7a cofnęła mocno konie w tył, równie jak i moje lewe skrzydło. Spiąłem konia ostrogami i ruszyłem wprost na granat, a nad nim obracając konia zacząłem wolnym głosem po imieniu ludzi moich do wyrównania się wołać. Traf chciał że ten granat nie pękł, ale czyn ten mój tak był widoczny, że nawet pułk ułański za naszym stojący winshawał mi po bitwie tój mojej przytomności. Była to zapewne rzecz mała, ale i tój nie mieli sposobności zrobienia ci, którzy w tój chwili krzyżami ozdobieni zostali. Nie mogę także opuszczać placu bitwy pod Tarutiną bez wspomnienia kilku słów o wiernym towarzyszku którego tam straciłem. Chcę mówić o mojej pocziwój karój kobyle. Od początku mój służby wojskowej t. j. od roku 1809 służyła mi. Rzadko widzieć konia takiój lekkości i szybkości i tak dobrze utrzymującego się w ściérwie. Tak była do mnie mocno przywiązana że już będąc bardzo ranną, kwiczała chcąc iść za mną i dopiero gdy padła, tę opuściłem. Pocziwy mój ordynans Siejak (z Kujaw) płakał przez trzy dni jakby krewnego stracił. Ja straciłem wiele przez zabicie szlachetnego zwierzęcia, wiele biedy któ-

rój później doznałem, byłbym uniknął, gdyby była przy życiu została. Od jej zabicia nic mi się nie wiodło.

ROZDZIAŁ XII.

Ruch nasz ku Medynie aż do powrotu na trakt Możajski.

Wracam następnie do opisu ruchów naszych. Nie daleko od miasteczka Wereja, którego zielone dachy jakby oazis w pustej zupełnie okolicy widniały, wykręciliśmy się w lewo, mając rozkaz maszerować do miasta Medyny. Komendę korpusiku tu wysłanego objął generał Lefèbre des Nouettes. Składał się ten korpusik z pułku naszego 8go strzelców, z 4go strzelców konnych i 12go ułanów pułkownika Ryszczewskiego, z dwóch dział artylerji konnej i dwóch batalionów piechoty, dowodzonych przez walecznych kapitanów grenadyerów Zielińskiego i Lossow. Maszerując ku Medynie, wkraczaliśmy w kraj gdzie śladów wojny nie było. Obfitość wszelkiej żywności, drobiu, chleba, miodu w plastrach, zrobiła żeśmy wszelkiej biedy zapomnieli i chociaż to już było w końcu października, nastąpiły ciepłe dni babiego lata, tak że nie jeden z nas nieco z odzieży swojej zdjął; tak dobra żywność krew zagrzała. Ja równie jak drudzy zrzuciłem surdut kasztankami podbity, który od czasu

bitwy pod Smoleńskiem nosikiem, a był zdobyty na oficerze rosyjskim, a raczej w jego bagażach znalezione. Kolumna nasza otoczona była małemi oddziałami kozaków, tak że i szpicę naszą i boczne straże i nawet aryergardę kozaki tworzyli. Bagażów było mnóstwo tak że kolumna z nich trzy lub cztery razy była dłuższa od kolumny wojska. Nim do opisu bitwy którąśmy tutaj odbyli przystąpię, winienem wspomnieć o stanie umysłów ludu wiejskiego w tój starój Rosyi. W marszu tym wysyłałiśmy boczne patrole z małych oddziałów, czego prawie przez całą kampanią idąc naprzód, robić nie było potrzeby. Ile razy oddział podobny natrafił na mieszkańców, jeszcze we wsi lub tóż (co częściej miało miejsce) znalazł ludność obozującą w lesie gdzie się z familiami i dobytkiem schronili, gdy taki oddział wszedł w rozmowę z chłopami i chciał w nich wmówić że są zwyciężeni, zwykła odpowiedź chłopów była: „I Smoleńsk wasz i Moskwa wasza ale my nie waszy“ i dowód tego nie poddania się srodze nie jeden z żołnierzy naszych doznawał, bo skoro pojedynczego żołnierza gdziekolwiek chłopci napotykali, pałkami nielitościwie zabijali.

W dniu zbliżania się ku Medynie wyszedłszy z lasu mieliśmy do przejścia szeroki obszar w leśnej tój okolicy wykarczowany. Przez środek tego pola szedł okopany gościniec, który w samym środku, z powodu mokrzađli, na wysoką zamieniał się groblą. Jenerał Lefèbre des Nouettes, czy przez brak do-

świadczenia, czy z powodu krótkiego wzroku, nie spostrzegł że ta grobla siły nasze na dwie części podzieli i zamiast trzymania się jednéj tylko strony grobli, kazał pułkowi naszemu po prawej stronie maszerować, a reszcie sił po lewej, artylerya zaś i bagaże po grobli. Skorośmy mokrzadłą przeszli i już za wzgórzem, wieże miasta Medyny ujrzeli, zaczął się opór kozaków od strony miasta pomnażać i po kwadransie coraz żywszego ognia z jańczarek, wysypały się z za wszystkich wzgórzów chmary kozaków, którzy podług swego zwyczaju z okrzykami na nas ze wszystkich stron uderzyli. Kurnatowski, który cały nasz pułk już wtedy mniej 200 koni liczący na dwie części był podzielił i w kolumnie w schody wzdłuż grobli maszerował, dał komendę, „w prawo zachodź“, tak żeśmy tył obrócony mieli do grobli, a front ku kozakom na nas nacierającym. Ruch ten wstrzymał nieco zapęd kozactwa, a dwa strzały armatnie dane z grobli, już kozaków do odwrotu skłoniły, gdy jak na nieszczęście generał Lefèbre des Nouettes, pragnąc błąd swój poprawić, przysłał rozkaz Kurnatowskiemu, przejścia jak najżywiej na lewą stronę grobli; Kurnatowski daje komendę: „trzema na prawo w tył“, a żołnierze nie czekając słowa „marsz“ zaczęli się wdrapywać na groblę, aby się z resztą korpusiku połączyć. Kozaki nie utracili chwili aby na nas uderzyć; żołnierze prawie wszyscy już byli na grobli, lecz my oficerowie przed frontem, znaleźliśmy się teraz sami prawie. Pa-

miętam jak Brzeżański razem ze mną jechał dla przebycia tych kilku kroków, które nas od grobli oddzielały. Stary Doniec chciał go z prawej strony przebić lancą, Brzeżański pałaszem lancę do góry podniósł, tak że pchnięcie dostał w głowę w samą podpinkę bermycy, kozak pchał dalej lancą, tak że Brzeżański jedynie za grzywę konia się trzymając mógł się na nim utrzymać. Nie mogłem konia jego obskoczyć bo mój był tak słaby że się zaledwie mógł ruszyć, dobywam więc pistoletu i przez konia Brzeżańskiego, chcę kozakowi w łeb wypalić, lecz pistolety nabite pod Grodnem, zgubiły proch z panewki i nie dały ognia. Grenadyer jeden z pułku naszego już z grobli zmierzył się do kozaka i tego z konia powalił. Drapiemy się na groblą i natrafiamy na liny od przódkar dział naszych, lecz tu nowe niebezpieczeństwo, bo kozaki w szarzy obławę zrobioną dopadli byli na linię bagażu naszych, a zabierając takowe w lewo i prawo, oddział kozaków doszedł aż do dział po bagażach; artylerzyści zaś nie zdążywszy dział obrócić, wiszorami bronili dział i siebie. Tu znowu musiałem się ku kozakom od tyłu groblą przybywającym wykręcić, a że strzał pistoletowy więcej im mógł grozić jak pałasz, do grupy kozaków mierząc kilka razy klapłem z pistoletu i dopiero gdym zobaczył, że za mną wolny przejazd do złączenia się z pułkiem, spuściłem się z grobli. Tutaj zastałem kozaków, drugi szereg naszego pułku z tyłu kolących, tak że wydobywszy pałasz, wraz z poruczni-

kiem Kope, znowuśmy z tyłu tych kozaków rąbali. Była to chwila twarda do wytrzymania, konie pod nami ruszać się prawie nie mogły, a kozaki w tym dniu byli bardziej natarczywi niżeli kiedykolwiek w życiu mojem widziałem. Były to pułki złożone z wysłużonych już kozaków, którzy z nad Donu świeżo byli do armii przybyli. U każdego siwa długa broda, a głowa łysa jak kolano. Konie mieli dzielne, a nasze się ruszać, jak powiedziałem, nie mogły, tak że jak przyszło pułkowi naszemu kilkadziesiąt kroków się cofnąć, musieliśmy ze cztery razy front robić bo najmniejsze obrócenie się w tył, w tej chwili kozaków na kark sprowadzało. Szefa szwadronu Lubo widzkiego z 4go pułku, wzięli kozaki w niewolę, przed frontem jego żołnierzy, a pomimo że był bardzo lubiony, ci go ratować nie mogli dla słabości koni. Cały nasz ratunek były dwa bataliony piechoty naszej; ci prawe i lewe skrzydło zajmując ogniem swym krzyżowym, pozwolili nam cofać się porządnie; odznaczył się tutaj pułkownik Ryszczeski z 12go pułku ułanów; ten ani razu nie był zmieszany, do czego mu wprawdzie oparcie się o piechotę narzę posłużyło. Bolesne tutaj ponieśliśmy straty, bo i działa nam zabrali, co było jedynym wypadkiem w całej tej wojnie, i dużo walecznych poległo, a między innymi obydwaj kapitanowie grenadyerów, dowódcy batalionów, od ognia jańczarek kozackich, którzy przyjeżdżając do frontu, wybierali na cel podług upodobania. Że jednak siły nasze były razem

i droga ich nie przedzielała, zaczęliśmy odwrót i ten się porządnie odbywał, tylko nas kozaki razili z własnych dział naszych; lecz żadnego nie sprawiało to zamieszania. Jak długi był szereg bagaży, najlepiej to okaże, że kapitan Jagmin, w ostatniej wojnie naszej generał, który aryergardę ze swą kompanią robił, złożoną już tylko z 30 koni, kiedy z lasu wyszedł, zdziwiony był gdzie się bagaże podziały. Ks. Poniatowski dowiedziawszy się o naszej klęsce, nadesłał nam w nocy dwa inne działa, tak że kiedy nazajutrz kozaki się pokazali zaczęły ich zaraz nasze działa sięgać i żołnierze nasi, którzy wesołości nie tracili w największych klęskach, mówili do siebie: „będą kozaki „myśleli że to nie ci co wczoraj, bo mają działa a my „tamtych zabrali.“ Wracając ku Werei zastaliśmy ziemię śniegiem okrytą i mróz zaczął być silny, tu dopiero utrata bagaży mocno się czuć dała, niebyło ani czém się okryć ani posilić. Klęska którąśmy doznali, nie tylko nas samych dotknęła, bo w tym samym czasie cesarz Napoleon odbył walną bitwę pod Małojarostawcem, gdzie pomimo waleczności armii włoskiej, nie mógł tego miasta opanować, co dużej klęski było powodem, gdyż zamiast dyrekcyi ku Kijowu, którą chciał wziąć, gdzie kraj nie zniszczony obfitość nam zapowiadał, zmuszeniśmy byli wrócić na trakt do Możajska, gdzie wszystko było zniszczone.

ROZDZIAŁ XIII.

Ruchy nasze i rosyjskiej głównej armii od Możajska aż do Smoleńska.

Między Wereją do której wcale nie weszliśmy, a którą spalić kazano aby nieprzyjaciela pozbawić schronienia, między Wereją mówię a Możajskiem padł koń podemną i pieszo dalej ku Możajskowi za armią iść musiałem. Nie szedłem sam, bo już wielka liczba maroderów tworzyć się zaczynała. Nie pamiętam wiele dni szedłem do Możajska, lecz to pamiętam że mróz był nadzwyczaj silny gdym to miasto przechodził, gdzie domy jeszcze stojące wszędzie podpalano aby Moskalów ochrony pozbawić. Okropny widok poprzedniego naszego pobojowiska! Działa maszerując nie zawsze pilnowały się drogi, bo bez ocelów konie artylerii francuskiej, szukać musiały miejsc gdzieby się mniej ślizgały. Gęsto leżące trupy po walnej bitwie niezagrzebane, dziś wyschłe przez mróz, wznosiły się do góry, jeżeli działo któremu po nogach przejeżdżało. Widziałem tutaj prawdziwą przyczynę rozsypania się piechoty francuskiej; bezsilne konie i z gładkami podkowami, pod najmniejszy pagórek działa wyciągnąć nie mogły. Musiano więc używać piechotę do pchania działa pod górę. Stawiała piechota broń w kozły a po wyprowadzeniu działa do karabinów wracała. Lecz że na noc w obozie rący żadnej żywności nie odbierali,

wolał każdy broń i szereg opuścić aby się od pchania armat uwolnić i we trzy dni z armii zrobiła się processya. Codziennie z rana ustawiano w jeden szereg obok siebie furgony amunicyjne; te otwarte były i pakuły na wierzchu tak rozłożone aby się łatwo zapalać mogły; po ruszeniu z obozu, od strony wiatru zapalano, tak aby ogień idąc od furgonu do furgonu, amunicją zniweczył.

Jakim sposobem doszedłem do Wiaźmy? ani wiem; czémem żył? nie pamiętam. Nieraz kawał mięsa z leżącego konia odkroiłem, rzuciłem na węgle palących się wszędzie ogniów i jak się to opaliło z jednej i drugiej strony, gryźć musiałem, tak żem więcej głód zagłuszył jak go zaspakajał. Przed Wiaźmą, w późnej nocy, natrafiłem na furgon pułku 13go huzarów, którzy (inaczej jak cała armia) miał długie węgierskie wozy płótnem okryte. Przyjęty gościnnie przez adjutanta podoficera Trzeciaka, który pół wołu miał na bryczce i baryłkę wódki, skrzepiłem się kompletnie a spuszczać się na los, podczas całej bitwy pod Wiaźmą z wozu Trzeciaka nie wysiadłem. Tu stare grenadyery gwardyi Napoleona, którzy jedyni w całej armii, szeregow nie opuścili, bitwę tę utrzymali.

Przejeżdżałem wzdłuż ich kolumn rozwiniętych wśród niskich krzaków; każdy żołnierz miał śnieg po kolana. Ani wiem dla czego opuścił wóz Trzeciaka, lecz może to było w Drogobużu gdzie w nocy znalazłem się przy reszcie naszego pułku, który się skła-

dał z 15 może oficerów i 40 żołnierzy. Poczciwy wiarus sprzedał mi za 5 franków, ostatnie które miałem, dużą delią futrzaną, której winienem ocalenie życia, bo nie miałem na sobie jak mundur i płaszcz kołisty wiatrem podszyty. Puściłem się wcześniej od pułku ku Smoleńskowi sam piechotą; tak jakem już maszerował dochodząc do Smoleńska o jedną lub dwie stacye pocztowe, wszedłem do pocztowego domu opaladowanego jak wszystkie były opasywane, gdzie oddziały jazdy trzymały stójki i utrzymywały komunikacye z armią. Tam zastałem porucznika 1go pułku strzelców konnych Skrzyńskiego, któren co tylko był śniadanie skończył, z kilkoma oficerami podobnie jak ja maszerującymi. Zastałem obrzynki pięknego chleba na stole i mówię mu: „co ty tak chlebem szafujesz, nie wiesz jaki tu głód prawdziwy“, nie chciał temu wierzyć i śmiał się z nagany mojej. Prosiłem go o kawałek chleba, lecz go już nie miał, a że rozkaz otrzymał aby wracać z oddziałem do Smoleńska, bo ta stacya na nocleg dla cesarza Napoleona była przeznaczona, umyśliłem sobie czekać tu na cesarza i rzucić się na jedzenie jakie by jemu podawali. Że zaś były dwie izby w domu pocztowym, wszedłem do drugiej i zostałem do ziemi przykutym. Na ławce w kącie siadłem z mocnym postanowieniem czekać cesarza, a bardziej na jego obiad. Nie długo przyjechał dwór t. j. nadeszły muły niosące jego service (nakrycie) stołowe i furiery pałacowe. Zbliża się

jeden z nich do mnie i grzecznie prosi abym z tego pokoju ustąpił, bo tu najjaśniejszego pana nocleg przygotowują; lecz na harde moje odpowiedzenie że ja z cesarzem chcę mówić i że w tym pokoju na niego chcę czekać, odpowiada mi najgrzeczniej żebym tylko wyszedł do pierwszego pokoju, a ten jak będzie uprzątniony będę mógł do niego powrócić, i ja jak dudek dałem się w pole wyprowadzić. Wyszedłem z pokoju i téj chwili dwóch grenadyerów postawiono przed drzwiami, którzy stawiając na krzyż karabiny oczywiście nikogo nie byliby wpuścili. Widziałem że mój zamiar zrobienia niejako zgorszenia w obecności cesarza już jest niepodobnym, bo oczywiście z pierwszego pokoju już nie w obecności jego byliby mię gwałtem wyprowadzili. Wyszedłem więc na opalisadowane podwórze i do obszernego ognia biwakowego, który tam zapalili, zbliżyłem się. Nie długo zajechał cesarz karetą przed pocztę, usłali mu ścieżkę ze słomy aby suchą nogą mógł dojść do domu i przybył oddział szwoleżerów polskich pułku Krasińskiego. Zbliżyli się do ognia Krasiński, Roztworowski, Załuski i kilku innych znajomych moich, lecz ja ponuro patrząc na wszystkich z nikim się witać nie chciałem.

Musiała obecność moja dojść do wiadomości sztabu cesarza otaczającego, bo przybył do ognia jakiś francuski generał, spojrział bokiem na mnie i odezwał się po francusku: „Allons, les Cantines, qu'on nous serve du pain, du vin, du sucre“ i wkrótce liberya

cesarska przyniosła ogromne tace srebrne naładowane czubato jedne chlebem w kostki pokrajanym, drugie cukrem, a trzecie ze szklankami. Rzuciłem się jak wilk zgłodniały na ten posiłek, jadłem co się zmieściło i do kieszeni chleb pakowałem. Wypiłem jedną po drugiej duże szklanki dobrego bordeaux, kiwnąłem głową niby na znak podziękowania, a że już noc zbliżała się, puściłem się dalej ku Smoleńskowi. Mróz był potężny, niebo wyiskrzone, szedłem póki sił wystąpiło, potem upatrzwszy jak zwykle robiłem miejsce gdzie wiatr mniej działał (zawsze daleko od ognia), kładłem się na śniegu, nakrywałem głowę płaszczem kolistym i zasypiałem. Jeżeli kiedy śnieg padł w nocy, ciepło było doskonałe, a sen tém smaczniejszy, lecz i tu nowa okazywała się bieda bo gdy się ciało dobrze rozgrzało, robactwo, którego kilka gatunków każdy z nas na sobie nosił, zaczynało brać pożywienie, co sen choćby najlepszy koniecznie przerywało. Do jakiego punktu plaga ta armię trapiła, przekona następujący wypadek: razu jednego wstąpiłem do budynku niedaleko traktu stojącego, a który nie wiem jakim trafem nie był spalony; liczba odpoczywających w głównej izbie była znaczna, podłoga cała okryta była słomą gładko udeptaną; wpada wśród nas młody oficer piechoty francuskiej, zrzuca z siebie odzież, a nawet i koszulę i przeklinając cesarza, który ich w taką biędę wprowadził, obnaża skancerowane plecy, które jeden tylko strup formowały, tak były przez robactwo zje-

dzone, rzuca się na ziemię i trze plecy o słomę aż całe rozkrwawił, poczem się na nowo ubrał, a klnąc bez ustanku, ruszył dalej w drogę. Pomimo żeśmy do rozmaitej biedy byli przyzwyczajeni, ta scena mocno patrzących wzruszyła; nikt słowa nie wyrzekł ale wszyscy jednej byli myśli. Powiedziałem powyżej, że chcąc spać szukałem miejsca daleko od ognia; robiłem to z dwóch przyczyn, pierwsza żem poznał iż w gwałtownym mrozie kłaść się przy ogniu było niebezpiecznie, bo z jednej strony ogień piekł, a z drugiej mróz dokuczał, lecz robiłem to także z powodu że nie łatwo było zbliżyć się do ognia, który przez kogo innego był założony, bo taka zazdrość, taka nienawiść jednych do drugich panowała, że ci co założyli ogień, choćby i najobszerniejszy, nikomu obcemu zbliżyć się do niego nie pozwalali, szczególnież jeżeli Francuzi wzniecali takowy; a zbliżał się Polak, tego groźnie oddalali, bo nam zawsze wyrzucali że tę wojnę dla nas robią. Było więc dla Polaków podwójnie bolesnie, bośmy czuli błąd Napoleona, że tego co każdy żołnierz francuski rozumiał, nie robił, t. j. Polski istnienia nie wyrzekł i wyrzuty massy francuskich żołnierzy, którzy pomimo tego, nas za przyczynę wojny uważali. Wspomnę tu do jakiego stopnia nieukontentowanie mass było doszło, bo gdy raz, prawda później, cesarz chciał się do ognia zbliżyć i wysłał wprzód adjutanta, aby rozpoznał kto ogień nałożył, wrócił do niego adjutant, mówiąc że ogień przez francuskich żołnierzy założony, lecz że byłoby

i w tój samój izbie skutki dyssenteryi zostawać musiały. Korn z ordynansem przynieśli cegieł i w sieni brudnej izdebki, w której leżałem, ułożyli posadzkę i na tój ogień nałożyli, pokładli się około tegoż i wszystko zasnęło. Ogień tlił pomału przed otwartemi drzwiami naprzeciwko którego leżałem bezsennie, gdy w tém raptem wszczął się duży płomień i wszystko zgasło z wielkim szumem, a to z tój przyczyny: szparami między cegłą doszedł płomień do podłogi, tę wysuszył do najwyższego stopnia tak że jak się zapaliła, to się i załamała i wszystko padło na lód poprzednio gorącym popiołem rozpuszczony tak, że cegły swoim ciężarem przebiły go do reszty i wszystko w wodzie utonęło.

Nazajutrz trudno było do mnie dostąpić; leżałem tak dzień jeden i dwie nocy żyjąc jedynie herbatą, którą Korn gdzieś dostał. Byłem prawdziwie bliski śmierci, lecz wiek młody przemógł; trzeciego dnia Korn się odzywa: „Jeżeli pan kapitan wstać może, to „musimy iść dalej, bo już aryergarda nadchodzi i wszystko za Dniepr rusza.“ Kazałem sobie podać mą odzież, która strząśnięta po wymarznieniu była podana tak czystą, jakby ją rękawicznik wyczyścił; ubrałem się, wsiadłem na powózkę i przez most nie bez trudności dla wielkiego tłumu, przejechałem. Przejechawszy przez Dniepr, nie wjechałem do miasta, do którego jedynie gwardyą cesarską wpuszczano, lecz pomiąłem Smoleńsk i przejeżdżałem przez miejsca, gdzie

nasza piechota tyle była ucierpiała i dostałem się do obszernego budynku drewnianego, gdzie była sala re-dutowa. Było to miejsce na zabawy miasta nieco ustrojone, tam natrafiłem na oddział wołyżerów, szefa batalionu Samuela Rożyckiego, który jeszcze sto kilkadziesiąt ludzi razem prowadził, a że żywności za-dnej dla oddziału nie miał, poświęciłem moję kałmo-górską krowę, którą mu darowałem, a chociaż chuda, wystarczyła oddziałowi na 24 godzin pożywienia. Jaki nieporządek panował, można widzieć jeszcze i z tego: obok budynku, w którymśmy spoczywali, stał park wozów czterokonných krakowskich, naładowanych ryżem i kaszą jęczmienną, którą rząd Księstwa Warszawskiego za armią wysyłał; dozór tego transportu miał jakiś szlachcic, zdaje się ekonom z Krakowskiego; gdy się dowiedział od Różyckiego, że ja tu jestem, przyszedł do mnie, aby pana Chorążycę powitać, tak imię mego ojca od lat tylu zmarłego, było szanowane i dopiero na usilne proźby moje dał nam parę kwart krup, tłu-macząc się, że robi wielkie nadużycie, bo mu surowo przykazali téj żywności nie ruszać, jako dla gwardyi cesarskiej przeznaczonój. Wątpię, żeby to doszło w porządku téj gwardyi, bo wkrótce po ugotowaniu rosółu z méj krowy, do którego owe parę kwart kaszy wsypano, nadeszła ostatnia aryergarda francuskiej pie-choty i ta nas bez ceremonii z owéj sali redutowéj wyrugowała. Scenę, która tu nastąpiła, muszę opisać, jest bowiem charakterystyczną. Komendant téj ty-

straży wszedł do sali w chwili, kiedyśmy tę dokoła na słomie oblegli, i zasypiać zaczęli; musiał zapewne zawołać na śpiących, aby ustąpili, lecz widząc że to nie skutkuje, wprowadził kilku doboszy na środek sali i kazał im bić marsz a oddział jego wzięwszy broń do ataku szeregami maszerując zaczął po nas deptać. Obudziłem się ze snu, czując że mnie deptają i krzyknąłem ze złością, że jestem oficerem, lecz żołnierze z uśmiechem szyderskim zniżając bagnety do mego brzucha jakby do pchnięcia mówią: „przepraszamy pana „oficera, ale ustąp“, wstałem ze złością, wyrzucając temu komendantowi jego błąd, że szlif oficerskich szanować nie każe, ale ten równie uśmiechając się dalszą ewakuacją sali wykonywał sposobem powyższym.

Opuściwszy salę byłem świadkiem czynu jeszcze bardziej obruszającego, pomimo nieczułości jaka w nas wszystkich panowała; spostrzegłem żołnierza z jazdy francuskiej, który zsiadł z konia a dobywszy pałasz, stanął naprzeciwko konia i wbił mu w piersi aż po gifes, koń był tak osłabiony, że stał nieporuszenie pomimo że ten nieludzki żołnierz pałaszem na wszystkie strony kręcił by go domordować. Wydobywa w końcu ze złością pałasz z piersi konia, przeklina to biedne stworzenie, że się ruszyć nie chce, staje obok niego, jakby do wsiadania, chwyta za prawą nogę jedną ręką a drugą popycha aby przewrócić, co po jakimś czasie dokonał i dopiero gdy leżał na ziemi, zaczął z bólu ruszać nogami, a żołnierz nie czekając, aby życie konia

opuszczało, pałaszem bok mu przecina, wydobywa wątrobę jako część najprędzej mogącą się ugotować. Długo mi rzecz podobna stała przed oczami.

ROZDZIAŁ XIV.

Różne przygody moje od czasu opuszczenia w odwrocie Smoleńska aż do przejścia Berezyny.

Od Smoleńska opuściłem moją powózkę, bo była na kołach a śniegi były wielkie, udałem się znowu sam jeden ku Orszy, gdzie processya dążyła. Za Smoleńskiem zetknąłem się z piechotą naszą, której szeregi jeszcze były w porządku, któregoś dnia, bo już tu ani dat, ani miejsc nie pamiętam. Idąc obok traktu, słyszę głos z powozu, wołający: oficer, oficer! poznaję głos generała Zajączka, lecz zły humor, jakaś chęć nie przyjmowania żadnej pomocy, zrobiły że głowę nie obrócił i szedłem dalej, lecz ten sam głos dodaje: „oficer od szasserów“, wtedy musiałem się obrócić i poznaję Zajączka, który mnie się pyta: „Co za jeden?“ Nie chciałem nazwiska mego wymienić, lecz odpowiadam: „Kapitan 5go pułku strzelców konnych.“ Zajączek z uniesieniem poznawszy głos mój, mówi: „A czy nie Dembiński, brat tego poczciwego, co przy „mnie zginął?“ A na odpowiedź moją, że tak jest, chce koniecznie miejsce obok siebie w koczach zrobić,

ale podziękowałem, bom śniegiem mocno padającym był okryty. Wsiadłem na kozieł i tak kilka mil zrobiłem. Lecz że generał często się zatrzymywał aby pilnować porządku w dywizyi, uprzykrzyło mi się i nie doczekawszy noclegu puściłem się dalej, zdaje mi się nawet bez pożegnania Zajączka a może tłumacząc się, że mi się zimno robi w nogi, siedząc w ten sposób.

Dochodząc do Orszy o pół mili od tego miasta, we wsi Dubrowcza idąc obok naszej piechoty, natrafiliśmy na pierwszą karcznię polską. Widok ten radością wszystkich przejął Polaków, jednomyślny okrzyk się wydobył: „oh! oh! karczma polska.“ Wtedy poczułem po raz pierwszy brak pieniędzy, gdy każdy szedł napić się wódki, a ja téj nie miałem czém zapłacić, puściłem się więc ze czczym żołądkiem dalej. Dochodząc do samego miasta Orszy, zszedłem się z bratem moim Waławem, podporucznikiem w pułku 12m piechoty, ten miał dukata w kieszeni. Wstąpiliśmy do żyda, który czarną kawę sprzedawał i całego dukata przepiliśmy na tęż kawę z miodem, tak że nam tylko cztery cwancygiery reszty wydał i z tych dwa brat mnie oddał a sobie dwa zostawił. Przed wieczorem znaleźliśmy się w liczniejszém gronie i weszliśmy do chałupy, gdzie upieczono prosiaka i ugotowano kartofli smażonych na słoninie, co było prawdziwym bankietem. Niektóre osoby pamiętam z pewnością, drugie tylko jakby przez sen; był tam Morawski, później generał, a wtedy sztabscifer pułku 12go pie-

choty, Hoffman, grosmajor pułku 2go piechoty, Jan Siemiński oficer, później dowódca 14go liniowego w wojnie 1831 r., Prolewicz, później nauczyciel czyli mentor kuzyna mego Piotra Moszyńskiego, a dziś podobno majątny obywatel Ukrainy. Po tym bankiecie wszyscy się cieszyli, że będą spać w ogrzanej izbie, lecz skorom się położył, zdawało mi się, że to ciepłe powietrze za duszne; wyszedłem więc na podwórze, gdzie stały kopce tatarki, wdrapałem się na jedną, czubek śniegiem okryty zrzuciłem i pomimo mrozu 12sto gradusowego, wyborną noc przespałem.

Z Orszy dostałem rozkaz mego pułkownika ruszyć podwodą do Mohylowa dla zabrania małego zakładu, którego pułk naprzód postępujący tam zostawił. Jakim sposobem ten rozkaz dostałem, z kąd się tu wziął mój pułkownik, lub z kąd dostałem podwodę, tego wszystkiego nie pamiętam. Pamiętam tylko wzmiankę pułkownika, że tę powinność mam wykonać jako najmłodszy kapitan z pułku, co oznaczało rodzaj niełaski.

Przybywszy do Szkłowa, udałem się do komendanta placu kapitana Wybranowskiego, zdaje mi się, z pułku 6go piechoty; nie mogłem się wydziwić spokojności, z jaką tu wszystkie rozkazy jego były wykonywane, bo komendy prawie żadnej nie miał, zjadłem u niego obiad na stole nakrytym, czego od kilku miesięcy nie widziałem, a podczas obiadu zaszła podwoda, która mię do Mohylowa wieźć miała.

Na pół drogi między Mohylowem a Szklówem spotkałem małe stado bydła gnane przez chudego olbrzyma trzymającego długą żerdź w ręku, w kaszkiecie wojskowym bez daszka, portki płócienne, derha na plecach zarzucona. Wpatruję się w twarz tego nędzarza i z zadziwieniem poznaję mego pijaka skrzydłowego Fruszyńskiego, z którym czytelnik się już w Kałuszynie i nad Dnieprem poznał. Zapomniałem wspomnieć, że za Smoleńskiem deresz Fruszyńskiego padł pod nim trzeciego dnia po bitwie pod Możajskiem i jego z siodłem na plecach w tył odesłano. Zapytany co tu robi, mówi że skarbowe pasie bydło i że z rozkazu pędzi do Szkłowa. Jakoś około tego miasteczka mało było śniegu. Przed wieczorem dnia tego samego stanąłem w Mohylowie, zaszedłszy do magistratu, gdzie municypalność zasiadła, dla otrzymania biletu na kwaterę. Między członkami władzy zasiadał jakiś poważny żyd, którego widać duch spekulacyjny pomimo godności jaką piastował, nie opuścił; zrobił mi bowiem propozycją, abym mu futrzaną delią, strój, któremu życie winien byłem, sprzedał. Obruszyła mię ta propozycja i odpowiedziałem mu: „Gałganie, cóż ty myślisz, że ja tandeciarz? zrób swoją powinność, daj „bilet na kwaterę, a handlem się nie baw.“ Chciał się pan członek municypalności obruszać, lecz go koledzy uspokoili, a przybyły ze mną do magistratu porucznik kirassyerów Böse, wziął mię z sobą na kwaterę do jakichś państwa Krukowskich. Zakład le-

dwie się z kilku składał ludzi, tym dałem rozkaz ruszenia natychmiast, to jest nazajutrz, ku pułkowi, w dyrekcją jaka mi nakazana była, lecz w nocy nastąpił allarm na wiadomość, że Moskale z lewego brzegu Dniepru do miasta się zbliżają i o 1éj w nocy na bryczce Bõsego wróciliśmy ku armii, ale już nie na Szklów i Orszę, lecz bardziej ku zachodowi. W którym miejscu z armią złączyłem się, tego nie pamiętam; to tylko jak przez sen sobie przypominam, żeśmy bryczką dalej jechać nie mogli dla ogromnych zasep śniegu i ja się znowu znalazłem sam jeden w odmęcie processyi.

W téj pielgrzymce mojej różne miałem przygody, pamiętam, że mnie razu jednego 4 żołnierzy naszego pułku mających powózkę dobrami trzema końmi litewskimi uprzęzoną, z przychylności i litości zabrali. Byli to ludzie zwawi, Kujawiaki; powózka w żywność dobrze opatrzona. Na pierwszy nocleg, który z nimi odbyłem, zajechaliśmy do stodoły, gdzie napaliwszy dobry ogień, prosiaka żywego czy gęś zabili i czerniny z kluskami nagotowali. Pokładliśmy się spać w owéj stodole; dobrze posilony z ich gościnności, skoro moi towarzysze zasnęli, chciałem koszulę moję odświeżyć; innéj na zmianę nie było, ale czułem, że ta dobrze nad ogniem wytrzęsiona, od kłasnania owadków uwolnić mię może. Rozebrawszy się więc, zdjąłem takową i nad żarem dobrze wytrząsałem; trzeszczenie ognia okazało, że m celu dopiął, bo garść prochu mniejszego-

by odgłosu nie wydała. Nazajutrz siedząc na ich powozce i jadąc o pół mili w lewo od Wielkiej armii, zrobił się popłoch, który często miał miejsce, kiedy kozaki coraz bardziej ośmieleni na processyą naszą napadali. Wszystko zaczęło uciekać i nas mijało; ja wziąłem strzelecki karabinek i siadłem na powozce tak, że front ku stronie, gdzie kozacy byli spodziewani, postawiłem; bo wiedziałem, ile się kozak strzału obawia. Jechaliśmy wolnym kłusem, kiedy podpułkownik Zaleski z pułku 13go hazardów, mający sześciu żołnierzy, z których każdy dwa porządnie objuczone konie prowadził, dobrym kłusem nas mijać zaczął i widząc mnie na tej powozce, szydersko wołać zaczął: „Nie ujdiesz na tej powozce“, proszę go, aby mi jednego konia sprzedał, mówiąc: „znasz moją familią, zapłaci ci go „co zechcesz, a sprzedaj.“ Lecz on powtarzając: „nie ujdiesz“, polecał dalej, i mnie w prawdziwem niebezpieczeństwie opuścił. Paki te pochodziły z rabunku w Moskwie, jak sam mówił dużo klejnotów zawierały. Wielką krzywdę sobie wyrządził przez brak litości dla znajomego, bo jak się później w Krakowie o tém dowiedzieli, wszyscy drzwi mu swoje zamknęli, a nawet i panna, która miała iść za niego, ręki mu swojej odmówiła. Wychodził on ze służby austriackiej, gdzie był kapitanem w piechocie.

Albarm pokazał się fałszywy, a może też kozacy obładowawszy się łupem i jeńcami na chwilę koczując opuścili. Ruszyliśmy dalej blisko milę; okolica

była leśna, kiedy niekiedy tylko pola wykarczowane. Na noc zajechaliśmy do obszernej wsi i rozłożyliśmy się w chałupie, lecz ledwie w pół godziny po naszym przybyciu w drugim końcu wsi dały się słyszeć strzały i okrzyki hurra. Widząc że obrona byłaby próżną, puściłem się sam jeden do bliskiego lasu w dyrekcyą, gdzie miarkowałem, że na armią natrafić muszę; biegłem więc dwóch godzin przez las brnąc w śniegu po kolana bez żadnej drogi ani ścieżki, i dopiero biedz przestałem, kiedym natrafił na gołoborze, gdzie kilka kopic siana daszkami okrytych zostawało. Wdrapałem się na stóg wysoki wzdłuż pawązu i tam czekałem, aż łuny założonych ognisk pokażą mi, gdzie się armia znajduje. Łuny te w parę godzin okazały się i można było widzieć trzy łuny, t. j. przednią straż, główną armią i o podał łunę aryergardy. Stado sarn przebiegło mi pod nogami, była więc obawa i wilków, ale gorsza obawa była dostać się do niewoli, albo w ręce chłopów, którzy bez litości pojedynczych ludzi mordowali. Ułamawszy więc kawał łąty z daszku, aby mieć obronę przeciw wilkom, spuściłem się około 1éj w nocy ze stogu i ciągle lasem postępując, nadedniem doszedłem do miejsca głównej kwatery. Tam w jakimś miasteczku dom w czworobok otoczony starą gwardyą Napoleona okazał mi jego kwaterę.

Nie pamiętam, jakem tu resztę nocy przepędził, ani téż nawet dalszych dni, które mnie od Berezyny oddzielały. Wiem tylko, że jednéj nocy zaszedłem do

kwatery generała Sokolnickiego, który w głównym sztabie cesarskim miał dyrekcyą zwiadów tyczących się nieprzyjaciela. Przytułek na noc tę wyrobił mi jego adjutant Ludwik Jordan, ojciec Zygmunta, którego jako mego adjutanta do chrztu ognia kartaczonego w roku 1849 w Węgrzech pod Kapolną prowadziłem, i spodziewam się, że tego chrzestnego syna nie powstydzę się. Drugi adjutant wtedy mniej mi znajomy był Roman Sołtyk, później generał. Pamiętam jak opuszczając z rana kwaterę generała, zaszedłem do piekarni, gdzie kucharz jego kolacyą był zgotował, aby widzieć, czy jakiego kawałka mięsa do wzięcia z sobą nie znajdę; a nie zastawszy nic innego jak skórkę z barana w wilią zjedzonego, oderznąłem dwie nóżki, włożyłem do kieszeni i byłem spokojny, że już tego dnia z głodu nie umrę, ani téż potrzebować będę uciekać się do pożywienia, którém największa część maroderów się żywiła, t. j. do zdechłych koni, wzdłuż traktu leżących. Zdaje mi się, że te dwie nóżki miałem w kieszeni, kiedy wyprzedzając armią, a raczej processyą, doszedłem do Berezyny.*).

*) Opis przybycia mego nad Berezynę jest najlepszym dowodem fałszywości historii pana Thiers; te pamiętniki pisane są kilka lat przed wyjściem tomu 14go jego historii. Opis bitwy i przejścia Berezyny jest romansiem a nie historyą; przypisuje on generałowi Caulincourt, że znalazł przejście dla armii pod wsią Studzianką, kiedy ja który wyprzedziłem całą processyą, bez żadnych kombinacji strategicznych pod Studzianką przeszedłem, bo to była prosta droga i tam już dywizyą generała Dąbrowskiego znalazłem, która z nami w Mokwie nie była.

Doszedłszy do téj rzeki nie mało zdziwiony zostałem zastawszy most na niéj spalony i całe brzegi na stronie naszej działami najeżone; była to dywizya Dąbrowskiego, która jak to powyżej na początku opisu kampanii powiedziałem, naprzeciwko twierdzy Bobrujska była zostawiona. Dąbrowski przez przemagające siły jenerała Czyczagowa od obserwacji Bobrujska odepchnięty stoczył nad Berezyną bitwę i na brzeg nasz zmuszony się cofnąć, mosty które nam jedynie z błotnistej téj okolicy wyjść dozwalały, za sobą spalił.

Nie widziałem obozu dywizyi nigdzie, lecz jedynie działa i przy tych artylerzyści. Prawda, że wieczór już nieco ciemny nie pozwalał mi szeroko okiem sięgnąć. Wieś Studzianka na wzgórzu była w prawo od spalonego mostu. Gdym się wahał szukając miejsca na spoczynek nocny, widzę ułanów polskich oddział około 40 koni liczący, który od wsi Studzianki pod komendą oficera żywo naprzeciwko armii rusza. Zdaje się, że ten oficer musiał raport Dąbrowskiego wieść cesarzowi, patrząc za tym oddziałem postrzegłem, że jednemu żołnierzowi jakieś zawiniątko z białego płótna na ziemię upadło, wołam co głos mi dał siły: ułan, ułan, lecz oddział w tym momencie żywiej, to jest galopem ruszył. Zbliżam się do owego zawiniątko i znajduję pół wieprzaka porządnie oprawionego, zawiniętego w nową koszulę z żołnierskiego płótna i nowe gatki żołnierskie. Odrzuciłem gatki, prosiaka

w koszulę zawiniąłem, nóżki baranie z kieszeni wyrzuciłem i szukałem ognia, gdziebym część paciuka mógł upiec. Tymczasem zaczęła armia do Berezyny dochodzić i w małych krzakach olszowych na lewo od spalonego mostu stanęły obozem szczątki 5go pułku strzelców konnych, t. j. pułkownik Kurnatowski z 15 oficerów i tyluż żołnierzy! Oczywiście przyłączyłem się do swoich, a jeden żołnierz upiekł połowę mojej prowizyi, za co dobry kawał pieczeni otrzymał. Z rana przy obudzeniu spostrzegłem dwa postawione mosty, jeden bliżej nas był przeznaczony dla artyleryi i jazdy; drugi na kobylicach tylko rzucone mając tarcice, dla pieszych. Żandarmi nad mostami robili policyą, co było tém potrzebniejszą, że się kilka kolumn utworzyło i do mostu napierało. Pragnąc przejść do mostu dla piechoty przeznaczonego, zbliżam się do artyleryi, która czekając swojej kolei, stała nieporuszenie i biorąc przednie konie za cugle, chcę przejść na drugą stronę, lecz woźnica górnio woła: „ne coupez pas la file“, w czém miał racyą, bo gdybym ja był przeszedł, przechodziła za mną liczna czereda, która widząc, że tu przejść nie można, wróciła w tył, aby szczęścia próbować. Świeżo najedzony i wiedząc, że woźnicę skuszę, rozwijam zawiniątko i na kole poprzedzającej armaty pieczoną wieprzowinę jakby do śniadania rozkładam. Nie omyliła mię moja nadzieja, zbliża się woźnica i proponuje mi, abym mu sprzedał kawał pieczeni, odburknąłem zem nie jest markietanem, Fran-

cuz na to proponuje mi zamianę, t. j. kawał podpłomyka; przystałem na to, ale z warunkami, że mi linia przeciąć pozwoli, na co oczywiście przystał. Na dyskrecyą pozwoliłem mu oderznąć pieczeni, on równie na dyskrecyą placka i nie tracąc czasu, zawinąłem moje prowizye i nad most dla pieszych przeznaczony dostałem się, lecz tutaj nowe trudności, liczba napierających do przejścia była nader wielka i rosła z każdą chwilą. Żandarmi często tę całą ciżbę w tył odpychali, tak że kilkakrotnie już byłem bliski mostu i znowu w tył odepchnięty. Mógłem widzieć jak pułk nasz most dla jazdy przeznaczony przechodził i jak z mostu udał się w prawo. Żeby lepiej położenie miejsca oddać, na którym się walna w tym dniu bitwa odbyła, winieniem powiedzieć, że trakt idący od nieprzyjaciela szedł równoległe z rzeką Berezyną, wszystko więc co do cofania się było przeznaczone, szło po przejściu mostu w prawo, a to co do boju w lewo. Widziałem więc jak pułk mój przeszedłszy most, udał się w prawo, a piechota polska w lewo. W nocy jeszcze przeszła była dywizya Dąbrowskiego i tą w lesie ogień ręczny tyralierski rozpoczęła przeciwko korpusowi Czyżagowa, który się w oszańcowane swoje pozycye przed Borysowem cofnął, nie przeszkadzając bynajmniej stawianiu mostów. Dywizya Zajączka i Książewicza, chociaż nieliczne ale jednak dobrą postawę jeszcze mające, ruszyły także w lewo w dyrekcyą wziętą przez Dąbrowskiego. Skerom most przebył około je-

dynastój z rana, udałem się tam, gdzie poszła piechota nasza, aby wyszukawszy mego brata Wacława zapasem żywności się posilić. Zaledwie parę set kroków po trakcie idąc w lewo uszedłem, natrafiłem na obóz piechoty naszej. Brat mój miał zapas krup jęczmiennych, trochę wprawdzie ze szkłem tłuczonym pomieszanych, bo tę kaszę zdobyli jego żołnierze wybijając szybę izby kaszą zasypaną, podobno we wsi Studziance. Ledwieśmy się zabrali do gotowania, z którego cały sztab księcia Poniatowskiego miał korzystać, zaczęto bić w bębny pod broń i piechota nasza szybko pod broń stanęła; było to nieco po godzinie południowej. Udałem się za naszą piechotą i spostrzegłem cesarza Napoleona, który z małą świtą przeszedłszy most, udał się był w lewo, tak że piechota nasza postępując po gościńcu, ku stronie, gdzie trwał ogień, przed nim defilowała oddziałami szerokości traktu. Cesarz stanął na piaszczystém wzgórzu po lewej stronie gościńca bardzo śliskiego z powodu gołoledzi. Na czele téj dywizyi szedł pieszo generał Zajączek, mający czapkę sobolową na głowie, i ciepłym szalem owiniętą szyję, maszerował z gołą szpadą, lecz podpierali go z obu stron jego adjutanci, Józef Miroszewski i Wołodkowicz. Cesarz nie poznawszy Zajączka dobrze mu znanego z Egiptu, wziął go za Dąbrowskiego i mówi do niego: „Allons Dąbrowski, allez prendre votre révenge.“ Zajączek pyta adjutantów, co on mówi, a gdy ci mu słowa cesarza powtórzyli, odpo-

wiada: „Powiedzcie mu, że pójdę wziąć rewangę za Dąbrowskiego.“ Bawić się tu nie można było, bo zbliżanie się ręcznego ognia było widoczne, dywizya Dąbrowskiego cała w tyralierach, pomimo największej waleczności, przeciwko przemagającym siłom Czyczagowa, choć wolno, ale ustępować musiała. Przybycie dywizyi posiłkowych na plac boju w kilka minut poznać było można, bo ogień silny plutonowy ogień tyralierski zastąpił.

Szczęściem dla nas wszystkich że się cesarz dłużej tu zatrzymał, a to z powodu następującego: Tylko co piechota nasza odparła rossyjską, pułkownik (bo jeszcze jak mi się zdaje nie był generałem) Doumère na czele 400 kirassyerów i dragonów francuskich marszerujących szeregami, po lewej stronie traktu, gdzie tylko małe krzaki się znajdowały, natrafia na osobę cesarza, który pomimo że kule armatnie nieprzyjacielskie dużo dalej po za nim sięgały, stał nieco zakryty pagórkiem piaszczystym. Wszczęła się między cesarzem a generałem Doumère następująca rozmowa, którą szczególnie co do słów przez cesarza wyrzeczonych, słyszałem bom ledwie 15 kroków stał od niego: pyta go cesarz: „Où allez-vous, Doumère?“ „Je vais en arrière, car les Polonais ont repoussé les Russes, et le pays est couvert de bois“ bo z prawej strony traktu był las wysoko drzewny. Cesarz na to z zimną krwią: C'est égal; retournez en arrière et déployez vous sur la gauche.

des Polonais“ *) co oczywiście Doumère z oddziałem swoim wykonał. Cesarz już krótko tutaj bawił, zawrócił konia i pojechał ku Wilnu, a my wróciliśmy do obozu. Było to może godziną przed wieczorem. Ledwieśmy doszli do obozu nastąpił powszechny allarm, opiewający że piechota nasza kompletnie rozbita i że Moskale w silnych kolumnach ku nam postępują. Wyniesiono sztandary na gościniec, poczęto bić w bębny na allarm i powszechny głos rozszedł się: „brońmy sztandarów“. Zaczęliśmy się kupić koło sztandarów z czém kto mógł w ręku. Przybywający z ognia, łączyli się z nami i w kilku minutach zebrało się nas ze 300. Pytam każdego uciekającego o mego brata i opowiada mi jeden oficer że widział jak go wzięto do niewoli. Zasmucony do żywego, nie chciałem temu dać wiary i wysunąłem się naprzód na spotkanie uciekających, gdy wkrótce brat mój przybywa nie utraciwszy nawet kożucha baraniego, w czém się różnił prawie od wszystkich innych, bo inni aby

*) I tu nowy dowód fałszywego i niechętnego dla Polaków opisu pana Thiers; przypisuje on tu całą bitwę pod Borysowem francuskiej piechocie, cudom waleczności marszałka Oudinot, generałów Maison i Legrand, kiedy tu ani jednego żołnierza piechoty francuskiej nie było i jedynie dywizye polskiej piechoty generałów Dąbrowskiego, Zajączka i Kniaziewiczza cały ten bój prowadziły i wszyscy trzej generałowie tu byli obecni; a pan Thiers w romansie swoim nic o tém nie wspomina. Takem się tu z bliska na wszystko patrzył, tak dobrze każdy szczegół pamiętam, że się aż kiszki przewracają z oburzenia na tak bezczelne kłamstwo; mosty były kiepsko stawiane, można ich było 5 lub 6 postawić bo rzeka była wązka a las i wieś pod ręką.

biédz prędzój, co tylko im zawadzało porzucali z siebie. Brat mój opowiedział mi w krótkce jak się bitwa odbyła, t. j. że piechota nasza rozsypana w gęste tyraliery, tak Moskali parła, że on z kilkoma innymi już był blisko szanców rossyjskich i właśnie w chwili kiedy do jenerała Kniaziewicza mówi: „Jenerale, jeden batalion a zabierzemy działa“ Moskale ze wszystkich baterii kartaczami sypnęli i 12 batalionów rossyjskich za bateriami stojących, uderzyło w kolumnach na rozsypaną piechotę naszą. Oczywiście wszystko naszych zmusiło do najszybszego cofania się. Trzech jenerałów dywizyi było rannych, Dąbrowski w rękę, Kniaziewicz w kostkę, a Zajączek w kolano kulami karabinowemi. Brat mój ścigany przez młodego podoficera piechoty rossyjskiej, któren dla łatwiejszej gonitwy karabin na ramię zarzucił, kolbą w plecy uderzony, potoczył się prawie naprzód i to opowiadający oficer za wzięcie go do niewoli uważał, lecz brat mój nie tracąc przytomności chwytającego już go podoficera, rękojeścią szpady uderzył w zęby tak, że ten wznak się przewrócił, z czego mój brat korzystając do nas przybiegł.

Attak ten rossyjski nader niebezpieczny, bo byliby Moskale bez oporu na przeciwko mostu na Berezynie stanęli, obrócił się dla nich w stanowczą klęskę; owe 400 koni kirassyerów i dragonów wsparte brygadą jazdy ułanów polskich, 700 koni do dywizyi Dąbrowskiego należących, wzięli lewe naprzód i szarżę z tyłu

na te massy piechoty wykonali. O tém żaden z uciekających nie był nam jeszcze doniósł, kiedy widzimy liczącą kolumnę rossyjską szybkim krokiem biegowym zbliżającą się do nas około sztandarów stojących. Sądziłiśmy że idą do ataku, tém bardziej że zmierzch już zapadający nie pozwalał nam widzieć że nie mają broni. Jużeśmy byli pewni nieochybnój śmierci lub niewoli, kiedy widzimy z obydwóch boków traktu ułanów polskich tę kolumnę eskortujących i zamiast kolumny atakowój 5000 niewolników przyprowadzili t. j. że wskutek szarzy Doumère'a, cała kolumna jak szła do ataku, tak broń rzuciła i tym samym krokiem szła do niewoli. Bitwa oczywiście tego dnia zakończoną została, i wszystkie działania Czyczagowa ustały, wróciłiśmy do obozu gdzieśmy nocowali spokojnie. Zajączka którego Wołodkowicz kilkadziesiąt kroków włókł po śniegu ze środka ognia, 12 grenadyerów pieszych na gałęziach przynieśli także do obozu, gdzie mu amputacją nogi natychmiast zrobiono. Nazajutrz ruszyliśmy w tył traktem do Wilna bynajmniej przez Czyczagowa nie ścigani. Trakt szedł, jakem powiedział, równolegle z rzeką Berezyną i tak blisko od téj, że nas kule armatnie rzucone przez nieprzyjaciela z drugiego brzegu łatwo sięgały. Że płaszczyzna była dość obszerna, maszerowała nasza piechota frontem batalionu w kolumnie w odstępach batalionów. Smutno było patrzeć w prawo t. j. na drugi brzeg Berezyny; obszerne tabory artyleryi i bagaży

oblegały znaczną przestrzeń; chmary kozaków jakby ptaki na źér z okrzykami hurra, galopem wpadały na ten tabor i widać każdy kozak łupem był zajęty, bo całe oddziały zsiadały z koni; nie mieli wprawdzie żadnej sposobności szkodzenia nam, bo mosty już były zerwane, a ogień armatni nie był równie silnym z powodu, że każdy zajęty był obłowieniem się w tym pospolitym rabunku. O pół mili od mostów Berezyny weszliśmy na szeroką groblą, która przez bagna prowadziła; bagna te były tak głębokie że grobla więcéj z mostów jak z ziemi była sformowana i nie mogliśmy się wydziwić że Czyczagow pomimo cofnięcia się w lewo nie posłał jakiego oddziału aby te mosty popalić bo zdaje się nikt do Wilna dostać by się nie mógł.

ROZDZIAŁ XV.

Pacierz na drodze do Mołodeczna aż do przybycia mego do Wilna.

Pierwszą noc za Berezyną przepędziłem jeszcze z bratem moim Waclawem i ostatnie cztery cwancygiery jakieśmy mieli, wydaliśmy na kupienie od żyda w jakimś miasteczku czterech jaj, lecz tak śmierdzących że się zdawało jakby kura jeszcze w lecie na nich siedziała, bo zaledwieśmy takowe zjedli, oddaliśmy je womitami, co nas już i tak osłabionych o większą nie-

moc przyprawiło. Że mój brat z piechotą maszerował, a przez to samo wolniej jak człowiek pojedynczy, puściłem się sam znowu w odmet processyą tworzący. Nie pamiętam czy nazajutrz czyli też później doszedłem do Mołodeczna; lecz nim przybycie moje do miejsca tego opiszę, winienem niektóre szczegóły marszu mego między Smoleńskiem a Berezyną opisać, a między innymi szczegółami wypowiedać się niejako z téj mojej maroderki t. j. z następnego czynu, który sobie do dziś dnia w sumieniu moim wyrzucam. Było to w czasie kiedym jeszcze na powózce mojej z sierżantem Korn i z woźnicą żołnierzem się znajdował; jechaliśmy nocą przez starodrzewny las, trakt wszędzie przez pojedyncze ognie był oświecony; razu jednego usłyszałem głos w polskim języku błagający ratunku i pomimo żałosnego tego głosu wzywającego aby kto sływszy do niego przybywał, nie pozwoliłem zatrzymać się powózce lecz przejechałem głuchy przystępowi ludzkości. To sobie do dziś dnia wyrzucam i pojąć nie mogę dla czego tak głuchym się wtedy okazałem? Wspomnę tu również kilka noclegów jakie przebyłem w przechodzie przez Litwę. Nie zawsze trzymałem się głównego traktu, który oczywiście był zniszczony i żadnej żywności nie mógł dostarczyć; lecz tak jak inne marodery trzymałem się dróg bocznych mniej więcej od traktu oddalonych. Jednej nocy zaszedłem do dworu, gdzie zastałem w pokojach nieopuszczonych przez gospodarzy, konie oddziału

francuskiego na woskowanych posadzkach stojące; jednakże rabunku się tam Francuzi nie dopuszczali, bo syn gospodarstwa otrzymał był od władzy jakieś pismo upoważniające go do robienia służby żandarma, którą acz nie w mundurze ale przy pałaszu wykonywał, jako stróż bezpieczeństwa. Naturalnie żem mu, ile było w méj możności, pomógł. Inną razą natrafiłem na dragona, który proboszcza chciał rabować i tego równie obroniłem, zgromiwszy dragona jeszcze wtenczas szanującego szlifę oficerską. Jedną noc przepędziłem we wsi wśród ogromnych lasów w chałupie, gdzie zastałem sierżanta kirassyerów saskich z trzema innymi równie jak on bez koni, którzy sobie tam wypoczynek naznaczyli. Poczciwa baba stawiała nam ciągle przetak z gotowanymi drobnymi kartoflami w mundurach, obok tego sól i cybulę, była to uczta z ogromnym apetytem ciągle sprzątana i znowu przez babę odnawiana. Popijaliśmy kwasem i żaden bankiet nie smakował mi tyle. Gdy raz głód zaspokojony został, powiadam po niemiecku do tych ludzi że bezpieczeństwo nam każe nie czekając dnia puścić się dalej, lecz sierżant silnym głosem odpowiada, „że gdy raz postanowił tu trzy dni wypocząć nie ruszy ztąd aż do dnia trzeciego“. Zdawało mi się że pragnie dostać się do niewoli, opuściłem ich więc przespawszy się parę godzin. Marsz w nocy nie był niebezpiecznym co do zbłądzenia, bo łuny obozujących zawsze dyrekcją armii wskazywały, a w nocy prędkiej ruszać było można, gdyż tak drogi

jak i ścieżki były nierównie wolniejsze, w dzień zaś ciżba żywego pochodu nie dozwalała. Temu nie traceniu czasu winienem moje ocalenie, ale głównie Opatrzności Boskiej i ufności w Bogu, której przed przybyciem do Mołodeczna jak najwyraźniej doznałem w sposób następujący.

Z rana tego dnia w którym do Mołodeczna doszedłem, byłem tak słaby że mi się niepodobnym zdawało dalej maszerować. Jeżeli jechał furgon amunicyjny, a pozwolił mi woźnica chwycić ręką za dyszelek z tyłu będący na piąte koło zapasne przeznaczony, mogłem iść dalej; lecz nie zawsze woźnica na to pozwalał, a przynajmniej po chwili oddalał z powodu że ma konie zmęczone. W dniu więc który wspominam, zdawało mi się że żadną miarą dalej iść nie potrafię. Stałem więc na trakcie, a widząc w prawo od siebie obszerną równinę na której się kilka wsi znajdowało, zacząłem się bić z myślą czy nie powinienem dowlec się do której z nich i przyjąć u chłopca obowiązek na całe życie pod jedynym warunkiem żeby mi jeść dawał. W tém mojem rozmyślaniu nadjeżdża porucznik Turno (później generał) i mój szwagier i pyta mnie co tu robię, a gdy mu mój zamiar oświadczyłem, namawiać mnie zaczyna abym szedł dalej przedstawiając, że już granice Polski nie daleko, a tam i podwoły nam dadzą i żywność będzie łatwiejsza. Nic na to nie odpowiedziałem; pojechał więc dalej, a ja przypominałem sobie pacierz którego mię guwerner mój ksiądz Bou-

cher własnoręcznie był napisał i mistycznie do kieszeni wsunął kiedy miałem lat dziesięć. Tytuł tego pacierza był, że kto go codziennie odprawi wielkie będzie miał łaski u Boga. Pacierz ten na chwałę Matki Boskiej przeznaczony, który codziennie do téj chwili odmawiam, a który potrzebuje blisko kwadransu czasu, zmówiłem wtenczas z podwójną gorliwością i jakaś ufność we mnie wstąpiła, tak żem się poczuł dużo skrzepiony i postanowiłem sobie ile razy w życiu będę miał sposobność do tego, głosić: ile prawdziwa ufność w Bogu może być pomocną. Więcej półtóry mili od tego miejsca było do Mołodeczna; uszedłem tę przestrzeń bez żadnego większego zmęczenia i za ledwie wszedł do miasta, co około 2éj z południa nastąpiło, widzę po lewéj stronie ulicy odosobniony od innych budynków dworek, na którego zamkniętych okiennicach dużemi literami krédą napis był: Quartier du général de division Zajączek, amputé. Było to zrobione aby żołnierze budynku tego nie rozbierali, bo stara gwardya obozująca na około domu gdzie się cesarz znajdował, ognie swoje rozbieraniem budynków utrzymywała. Wszedłem do tego domu gdzie z sieni w prawo był pokój, w którym leżał jenerał. Wszedłszy do pokoju mówię: „Przepraszam jenerała że go będę prosił o schronienie na noc dzisiejszą i pozwolenie posilenia się, bom głodny zupełnie.“ Poczciwy jenerał jak najchętniej na to zezwolił i pyta mnie się: „A jakiż twój ekwipaż?“ A na odpowiedź

moję, że jestem tak jak mię pod Smoleńskiem spotkał, mówi do mnie: „boście poczciwa krew, bo nie „rabujecie; żebyście jak inni rabowali, tobyście mieli jak inni, ale lepiej robisz, że nie rabujesz“ i zarazem dodaje: „ale mój panie Dembiński, ja twemu bratu 65 dukatów byłem winien, mogę ci te pieniądze oddać“. Odpowiedziałem że nie miałbym sumienia, od niego w stanie w jakim się znajduje, pieniędzy odbierać, że wreszcie pieniądz mi nic nie pomoże, że jeśli chce ze dwa dukaty mi oddać to przyjmę, ale że więcej na nic by mi się nie przydało; on zaś na to: „Nie! ja mam pieniądze bo mi cesarz 6000 fr. przysłał, dowiedziawszy się o moim wypadku“, i nie czekając na moją odpowiedź woła pułkownika Koseckiego i mówi do niego: „Proszę cię obrachuj też pana Dembińskiego, bo on coś kucharzowi mojemu był winien.“ W kilka minut wrócił Kosecki, siedem dukatów należące się kucharzowi potrącił, a mnie 58 napoleondorami wręczył. Pożegnałem generała mówiąc mu że pójdę do piekarni do jego adjutantów, aby mu spoczynku nie przerywać. Ledwie wszedł do piekarni i za stołem zasiadł, wpada żołnierz legii Nadwiślańskiej i pyta mnie: „Nie kupi sobie pan kapitan konia z sankami?“ a gdy go spytał co za niego żąda; mówi „ludera“, dałem mu dwa i zaraz się mi oferował za woznicę, co oczywiście przyjąłem. I tak pacierz ufaie zmówiony pomógł mi, bo o 10ej z rana nie miałem a teraz o 2ej po południu i pieniądze i ekwipaż kom-

pletny. Skoro się rzecz o ekwipaż skończyła, wchodzi Wołodkowicz któremu dopiero poznał nad Berezyną i mówi mi: „Mój panie Dembiński, nie pozwoliłbyś abym konia przyprzągł do twoich sanek i abyśmy do Wilna pojechali dla zrobienia staremu kwatery?“ na co najchętniej przystałem, lecz on dodaje: „ale bo trzebaby dziś jeszcze ruszyć“, na co równie przystałem prosząc go tylko by mi kazał dać co ciepłego do zjedzenia i w godzinę posiliwszy się ruszyliśmy do Smorgoń, gdzie nadedniem przybyliśmy; sanna była doskonała i litewskie szkapy ciągle galopowały. W Smorgoniach trzeba nam było popaść; zajechaliśmy do dużej murowanej austeryi, gdzie nam żyd jajecznicy z kilku jaj usmażył, którąśmy lichą nader wódką popili. W czasie téj biesiady wchodzi do izby kilku sztabsoficierów, grenadyerów konnej gwardyi Napoleona i tu dopiero dowiedzieliśmy się że cesarz téj saméj nocy armią opuścił i 600 koni gwardyi sanki jego do Smorgoń eskortowało. Stołu naturalnie musieliśmy tym panom ustąpić, którym salcesony i likwory wkrótce przyniesiono.

Ucieszyła nas ich rozmowa, bo sobie głośno winiszowali, mówiąc: „Maintenant nous sommes à l'abri des hurras.“ Szepneliśmy sobie z Wołodkowiczem, musi coś być dobrego kiedy ci panowie tak gadają. Skoro konie nasze popały ruszyliśmy dalej, lecz o milę drogi Wołodkowicz się odzywa: „Mój panie Dembiński, nie pozwoliłbyś abyśmy tu w lewo się

wykręcili? bo ja tu znam dobrze okolicę i więcej 1 1/2 mili oszczędzimygi.“ sobie drobny Próżny ły moje perswazy że nie warto szukać skrócenia drogi w okolicy śniegiem zasypanej, kiedy trakt gładki jak szklanka; lecz tak silnie nalegał, że się dłużej opierać nie chciałem. Wjechaliśmy więc w boczną drogę, zaczęły się sanki w śniegu zarzynać i postronki obrywać. Szczęście że mam zwyczaj zawsze nóż w kieszeni nosić i żeśmy za pomocą tego noża mogli kawałki lejców urzynać i postronki nawiązywać. To mnie posępnym zrobiło bo zamiast galopowania po trąckie, tuśmy krok za krokiem prawie jechać musieli. Poczciwy Wołodkowicz chciał mnie koniecznie rozweselić, a widząc że to nie pomaga, mówi do mnie: „Jacyście wy dziwni Dembińscy, macie tyle wyższego usposobienia umysłu, a jak wam się co nie podoba, już i mówić nie chcecie.“ Zrobiło to na mnie wrażenie, bo to mówił młody człowiek sam prawdziwie wyższego usposobienia. Już udobruchany na umyśle, zajechaliśmy około południa do wsi okolicznej bo tak nazywają w Litwie wsie przez drobną szlachtę zamieszkałe.

Zajechaliśmy do sędziwego, pobożnego szlachcica, który równie sędziwą miał żonę. Dobrym sercem lecz smutnie nas przyjęli, bo jako Polacy widzieli upadek Napoleona do którego wszyscyśmy los ojczyzny naszej przywiązywali. Lecz co gorzej prawie na tę chwilę dla nas było: niedostatek w domu był widoczny. Parę jaj usmażonych i galareta z nóg wołowych z octem

było całém naszym posileniem, co przy mrozie 20 stopniowym nie bardzo nas posiliło. Jak tylko konie zjadły ruszyliśmy dalej, a że wsie były blisko siebie w téj okolicy, droga już nieco była utorowaną, zdawało się więc że bez żadnej przeszkody dokończymy podróż do wsi, gdzie Wołodkowicz miał zamiar u bogatego młynarza nocować. Lecz około 3ej z południa gdyśmy nieco pod górę w garbatéj téj okolicy jechali, i wieś za pagórkiem spostrzegali, staje nasz furman nic nie mówiąc nam, konia z przyprzązki bierze i w tył prowadzi. Nie wiedzieliśmy w jakim zamiarze; aż tu w lewo za nami słyszemy sprzeczkę, głosem prozby wprawdzie. Obracamy się w stronę téj sceny i widzimy woźnicę naszego, któren wyprzągł konia równie na przyprzązce będącego u sanek drzewem naładowanych, które chłop wiozł do wsi do którejśmy dojeżdżali. Wraca z tym koniem, zaprzęga do naszych sanek, ale chłop za koniem swoim przybywa i prosi aby mu konia oddać. Wszedłem z chłopem w rozmowę, którą luidorem poparłem, okazuję mu że koń którego mu dajemy jest lepszy od tego co mu bierzemy, tylko na dzisiaj zmęczony, a w dodatku daję mu tyle ile koń jego wart. Chłop jednak czy niekontent, czy téż udawał, nie przestawał narzekać, a z 15 chłopów z siekiérami wybiega naprzeciwko nas, a podzieliwszy się na dwa oddziały przybliża się ku nam; lecz głos polski nieco ich wstrzymał i jakby się oczami jeden drugiego radził co mają robić. Widziałem że tylko

skinienia czekali aby się na nas rzucić, a furman jakby dla ułatwienia rozmowy jedzie noga za nogą. Widziałem że tu trzeba nagle się wymknąć, kopnąwszy woznicę naszego noga, mówię pół głosem „a jedźże be-
styo“. Już chłopie nie dalej nad 10 kroków byli od nas kiedy ten konie zaciął i my się z ich środka wyrwali. Ruszyli za nami żywo, lecz droga spuszczała się w rodzaj wąwozu z płotów z obydwóch stron utworzonego i spadek do wsi był mocny, co nam spieszenie jechać dozwoliło; uszliśmy szczęśliwie przed siekiérami chłopów. Lecz zaledwie tutaj nędzniejszej nie podpadł śmierci; nie wiem czy z umysłu nastawiony na szture kołek w płocie dębowy utknął mié wprost w piersi; że sanki galopem zjeżdżały z góry, gdyby się był kołek nie złamał byłbym na wylot przebity, a tak się tylko na mocnym siniaku skończyło. Ruszyliśmy co żywo dalej nie wiedząc ile nas jeszcze niebezpieczeństw w tym dniu czekało. Pierwsza niedo-
godność była, że jakieśmy wjeżdżali na podwórze owego młynarza gdzie Wołodkowicz nam dobry nocleg zapowiedział, zastaliśmy dziesięciu konnych grenadyerów, którzy nas nie chcieli wpuścić; był to ów oddział 600 koni któryśmy w Smorgoniach odjechali. Radzi nie radzi, musieliśmy ruszyć do Oszmiany*) choć już noc była ciemna, a mróz do 25 stopni dochodził. Do-

*) Oszmiana pamiętna rzezią 1831 r.

jeżdżając do Oszmiany nie małośmy zostali zdziwieni, zastawszy liczny park artyleryi jak najporządniej ustawiony przed którym sztydwachy piesze warty trzymały. Koni ani w działach, ani w fargonach amunicyjnych nie było, bo te dla mrozu znajdowały się w mieście. Odzwyczajeni od porządku nie mogliśmy zrozumieć co ten park tak porządny tu znaczy, aż następujące wypadki dopiero nas oświeciły.. Skorośmy wjechali do miasta i byliśmy już blisko rynku, stanęliśmy przed domem szynkowym aby szukać kwatery. Wołodkowicz poszedł dalej w miasto, ja zaś otworzyłem drzwi do szynku w domu z prawej strony ulicy znajdującego się. Jakem tylko drzwi otworzył i blask palącego się ognia na kominie ukazał się, dał się słyszeć huk działowy, a kula armatnia przeleciała mi nad głową; drugi strzał padł prawie jednocześnie i druga kula w ziemię, trochę po przedemnie uderzyła. Po czém nastąpiło hura wyraźnie kozackie. Zaszedłem po za dom, przy którym stajni zajezdnej nie było, szukając miejsca, gdziebym się mógł schować przed kozakami. Widząc stajenkę osobno stojącą chciałem się w niej ukryć, lecz tam zastałem ośm koni jazdy włoskiej welitami zwanój i żołnierz Włoch mnie do stajni nie wpuszcza. Napróżno mówię mu kozako, kozako, ale on czy strzałów nie słyszał czy wierzyć nie chciał, gwałtem ze stajni wypycha, łącząc mię po włosku. Oddalam się jak niepyszny, aż tu słyszę trąbienie na koń rozlegające się po mieście i wpada podoficer wołając „subito,

monta cavallo". Wróciłem do stajni i Włochom kulbaczyć konie pomogłem, ciesząc się skoro który jeździec już wsiadł na konia. Wkrótce oprócz trąbienia usłyszałem bębnienie piechoty na allarm i zaraz rynek napełnił się kolumnami piechoty. Po chwili znalazł się i Wołodkowicz i woźnica, który z sankami z miejsca gdzie kule dosięgały, uciekł. Dowiedzieliśmy się, że to była dywizya posiłkowa, która z rzeszy niemieckiej, podobno z żołnierzy badenckich, utworzona szła Wielkiej armii na pomoc. Uderzenie na Oszmianę przez Moskali było jak nam mówiono zrobione podług jednych przez Czerniszewa, podług drugich przez Ożarowskiego. Zdaje się że nieprzyjaciel o odjeździe cesarza uwiadomiony, albo też miarkując ze stanu w jakim się armia znajdowała, że ten odjazd nastąpi, atak ten w nadziei schwywania cesarza był zrobił. Atak oczywiście spełził na niczem natrafiwszy na tak wielkie siły; mówiono nam że owe 600 koni dostały się w niewolę, a cesarz już był dawno Oszmianę przejechał.

Przenocowaliśmy w Oszmianie i biorąc już dyrekcyą nasząj podróży, udecydowałem żeby do 9ej z rana czekać w Oszmianie, aby generał tu komenderujący, którego podobno był Louazon, miał czas trakt jakkolwiek oczyścić z kozaków. Ruszyliśmy z Oszmiany dopiero o 9ej i bez popasu do Wilna około 7ej wieczór przyjechalśmy.

ROZDZIAŁ XVI.

Wyjazd z Wilna, znalezienie chorego brata mego i przybycie do Warszawy.

Przybywszy do Wilna prosiłem Wołodkowicza z miejscowością dobrze obeznanego aby mię w takie miejsce zawiózł żebym się mógł czém ciepłym skrzepić bo mróz był nieznośny. Zajechaliśmy więc przed cukiernią mającą obok bufetu obszerną salę, gdzie się eleganci zwykle zbierali. Wołodkowicz ruszył dalej aby czasu nie tracić w szukaniu kwatery dla Zajączka, chociażśmy armią o duże dwa dni wyprzedzili. Stanąwszy przed bufetem rzuciłem luidora na stół i co komu chciano podać, czy pończ, czy czekoladę, czy herbatę, wszystko, jedno po drugim wypijałem, ciastami pojadając. Zostałem tam dosyć liczne grono oficerów gwardyi litewskiej, która się tu organizowała. Panowie ci widząc osmolonego obdartusa, wszyscy się w głąb sali cofnęli; kostium mój wprawdzie za mną nie przemawiał, bermysca o jednej podpince, bo druga nad Tarutyną ustrzelona, więcj do żydowskiej czapki była podobną; broda jak ją pan Bóg stworzył, na obszernj delii zarzucony płaszcz kolisty, któren siedm dziur miał od kul karabinowych, prawa noga niby w bucie, a lewa skórką z czarnego baranka oczywiście futrem do nogi obróconego, sznurkami obwiązana. Nie wiem kiedybym był poprzestał jeść i pić,

gdyby nie był wszedł mój dobry znajomy Niewiadomski, którego znałem w Warszawie jako sekretarza generała Wielohorskiego trudniącego się ubiorem wojska i zastępującego teraz ministra wojny w Warszawie. Niewiadomski przysłany z Warszawy pełnił te obowiązki ordynatora żywności. On równie ze wstrętem spojrzawszy na mnie żąda pół funta karmelków, które widać dzieciom domu gdzie się na wieczór wybierał, chciał zanieść. Elegancko ubrany, buty ze sztylpami, na białych spodniach, breloki a zegarka, piękna niedźwiedzia na ramionach zarzucona i rękawiczki jasne. Nie od razu do niego przemówiłem, czekając aby mię sam poznał, lecz widząc że o tém nie myśli i niejako się odemnie odwraca, mówię do niego głośno: „Cóż to, Niewiadomski, nie poznajesz mię?“ zwrócił się wtedy do mnie i zapytuje cichym głosem: „Cóż to? Dembiński? cóż ty z niewoli wracasz?“ spoglądając na mój kostium, a ja jeszcze głośniej jak razą pierwszą: „Cóż to kpisz ze mnie, ja wracam od Wielkiej armii i jutro tu 300,000 tak ustrojonych jak ja, zobaczysz.“ Na te słowa Wielkiej armii całe grono elegantów gwardyi litewskiej zbliżyło się do mnie, a między innymi i kapitan Śliwoski, którego jako jednego z pierwszych elegantów Warszawy znałem, gdzie nawet pojedynek miał o kobietę z Krukowieckim, którego mu obydwie łydki był przestrzelił. Zamiast na liczne ich zapytania odpowiadać mówię do nich: „Co tu panowie robicie,

trzeba panom mantelzaki do kulbak troczyć i trąbie-
nia na koń oczekiwać.“ Chcieli mi wyperswadować,
że przed Wilnem utworzoną zostanie linia bojowa, lecz
radziłem im żeby w żadne linie nie wierzyli, ale konie
ostro okuli, bo marsz będzie żywy. Niewiadomski
o wieczorze zapominając zabrał mię z sobą do swego
mieszkania. Znajdowało się mieszkanie jego w domu
kasztelanowej Ogińskiej i zajmowało dolną część
domu. Nazajutrz udałem się do krawca aby nieco
odzienie połatać i tego dnia jeszcze jadłem obiad
w traktyerni bo od armii jeszcze nic nie przybywało.
Zapomniałem wspomnieć że podczas rozmowy z ofice-
rami gwardyi litewskiej, ci mię ciekawie zapytywali
czy to prawda że cesarz ma przez Wilno przejeżdżać,
na co im odpowiedziałem że już w wilią przejechał.

Trzeciego dnia wyjechałem na miasto, za luidora ca-
łego zakupiłem bułek pszennych, masła i jaj i do kwa-
téry Niewiadomskiego przywiózłem. Łatwo sobie wy-
stawić jaki stos bułek trzy groszowych kupno moje
zrobiło. Obszerną kanapę czubato bułkami zakryłem.
Niewiadomski, który był na mieście, wróciwszy do
domu zaczął się gniewać i znajdować to śmieszném,
lecz ja na to nie zważałem i wreszcie dodałem że się
zaraz z tém przeprowadzę do domu Rezlera gdzie
kwatéra dla Zajączka i jego sztabu przez Wołodko-
wicza przygotowaną została. Noc tę jednak jeszcze
u Niewiadomskiego przebyłem, choć już maroderów
pełno było w ulicach, a w nocy już miasto było nimi

zalane. Oczywiście brakło od razu żywności na mieście. Nazajutrz przychodzi pokojówka i prosi imieniem kasztelanowej Ogińskiej o bułkę do kawy. Naturalnie dałem ile chciała, lecz natychmiast wziąłem sanki dorozkowe i zapas mój do domu Rezlera przewiozłem, gdzie cały sztab Zajączka przez dwa lub trzy dni które tam zabawiłem, jajecznicą i bułkami żył mojemi. W wieczór tego dnia wróciłem jeszcze do Niewiadomskiego tak dla pożegnania się z nim jak i dla namówienia, aby ze mną wyjeżdżał. Lecz zdawało mu się że już bezpieczny ma gdzie indziej odjazd, odmówił więc mojej rady, na czém źle wyszedł, bo bagaże swoje utracił.

W czasie bytności mojej u Niewiadomskiego, wszedł do pokoju ogromny sztabsoficer piechoty francuskiej w płaszczu z obwiniętą szalem szyją i z włosami zamrzniętymi, a za nim żołnierz. Niewiadomski zaczyna mu nadskakiwać, prosi go siedzieć na kanapie, słowem chce mu honory w stancyi swojej robić. Mówię do niego: „Mój Niewiadomski, tylko się téż o niego nie turbuj, pomyśl nad tém gdzie masz sam nocować, bo on niezawodnie twoje łóżko zajmie; widzisz że wszedł dla tego że szparami przez okiennice się w twojej stancyi świeciło“, i w samej rzeczy pan pułkownik nie odpowiedziawszy ani słowa na grzeczności Niewiadomskiego, kiwnął głową a ordynansowi wskazał na łóżko, żeby mu pokazać że tu spać będzie. Pożegnałem Niewiadomskiego i do domu Rezlera wróciłem. Nazajutrz

jeszczem się ośmielił wyjść z miasta na przedmieście po za Ostrą-bramę, pomimo ciżby jaka w téj bramie była, gdzie kilkaset osób zduszonymi zostało. Wprawdzie przez samą bramę nie przechodziłem, lecz obok bramy przez palisady. Szedłem tam z narażeniem życia żeby się o brata mego Wacława dopytać i zarazem udać do płatnika, który jak mówiono dwa miesiące żołdu wypłacał, lecz obydwaj te cele zostały próżnemi. Wróciłem więc do domu i po północy w dniu kiedy mówiono, że już aryergarda przechodzi, ruszyłem z Wilna, a zem brata mego nie znalazł, ofiarowałem miejsce w sankach Kostkowskiemu, oficerowi sztabu Zajączka. Wkrótce po wyjeździe z miasta ku Kownu nie można było dalej ruszać, bo wszystko przed nami stało nieporuszenie, a to z powodu stroméj góry Ponarskiej. Wykręcić się w lewo lub prawo było niepodobném; bo kilkanaście a może kilkadziesiąt rozmaitych wozów i furgonów zalało całą dolinę tak, żeśmy musieli czekać świtu. Gdy już widnieć poczęło, widzimy że wszystkie prawie wozy stoją bez koni i ludzi; szczególniej we wszystkich zaprzęgach służbowych. Woznice poodrzynali konie i z temi pouchodzili, tak że nawet furgony złotem i srebrem naładowane dostały się na łup tak tylniej straży naszej jak i kozakom. O tym wspólnym rabunku złota przez kozaków i naszych, dowiedziałem się w Saksonii, w kampanii 1813 r. gdy nas tam połączono w jeden pułk z resztkami pułku 1go strzelców konnych; a którym dowodzący jenerał fran-

cuski pozwolił uderzyć na furgony i brać co chcą w miejscu maroderów, którzy beczki ze złotem rozbijali i woreczki po 1000 laidorów unosili. Jak przybyli kozaki widać nie dość silni żeby naszych odpuścić, uderzyli ze swój strony, na inne kassowe furgony; i tak chęć łupu sprawiła chwilowe między nimi zawieszenie broni.

Jak się więc rozwidniło zaczęliśmy w lewo przez ten tabor się przebijać; odsuwając zawady różnych wozów a przejeżdżając około furgonu francuskiego przez ludzi i konie opuszczonego, sięgnąłem po tornister zdaje się jakiegoś chirurga lub urzędnika komisaryatu, bo jakem później ten tornister otworzył, znalazłem w nim cienką bardzo bieliznę, tak żem siebie i brata w cienkie koszule mógł opatrzyć. Przebierając się przez te wozy ku spadkowi góry w lewo będącej, natrafiłem na porucznika pułku naszego Olechowskiego, który leżał w sankach; był on ranny bagnietem w brzuch, naprzeciwko Kaługi t. j. pod Tarutyną. Nie byłem w stanie dać mu żadnej pomocy, bo sanki moje były pełne, a on osobnych potrzebował. Jak się dowiaduję, wyszło mu to opuszczenie go na szczęście, bo wzięty w niewolę, wyleczył się i bogato na Białorusi ożenił, co było nagrodą dobrze zasłużoną, był bowiem człowiek miłego nader charakteru, zawsze wesół i choć małego wzrostu i na małym koniu, odwagi tak odznaczającej się, że nie było bitwy gdzieby on albo koń, rany jakiej nie był odniósł.

Że góra do której zdążyłem była nader pochyła w dyrekcyi ku Kownu i sanki się ciągle przewracały, kazałem się obrócić wprost w lewo. Wysiedliśmy wszyscy z sanek i tak na szczyt góry wydobyliśmy się. I w tém znowu prawdziwą Opatrzność Boską uznaję, bo wyjechawszy na górę, bez żadnej drogi, znalazłem że się tam piechota korpusu naszego zbiera, dla maszerowania na Olitę zamiast na Kowno, i czegoś napróżno w Wilnie szukał, tu znalazłem. Natrafiłem bowiem na oficera 12go pułku, który mi robi wymówki że mając sanki, brata mego chorego na nie nie biorę. Zapytałem go żywo „a gdzie jest mój brat?“ Przyprowadził mię o kilkadziesiąt kroków, gdzieś kochanego Wacława pod krzakiem jałowcowym znalazł tak chorego, że już nieco miał maligny. Wziąłem go rozumie się na sanki i w parę dni do siebie przyszedł. Jechaliśmy przez województwo Augustowskie, gdzie nas przestrzeżono że chłopci idąc za przykładem chłopów rossyjskich i litewskich, gdziekolwiek łupu spodziewać się mogli, pojedyncze osoby tak Francuzów jak Polaków, zabijali. Byliśmy więc na ostrożności i choćśmy dniem i nocą jechali, nic nas złego nie spotkało. Owszem i tu Opatrzność czuwała nad nami, gdyż zapuściwszy się razu jednego około Sein na zamarznęte jezioro, dla skrócenia parę mil drogi, dwoje sanek które razem prawie z nami ruszyły, natrafiły na oparzeliska nad którymi lód się załamał i jezioro ich pochłonęło; a my szczęśliwie na Augu-

stów, Rajgród do Warszawy dojechalśmy. W Warszawie stanęliśmy w domu generała Wielohorskiego, który miał Dembińską za żonę; tam czekaliśmy na przybycie sztabów naszych pułków aby urlopy otrzymać i jechać do matki naszej do wsi Jurkowa. Czas ten, parę tygodni zabierający, posłużył do kompletniej kuracyi mego brata i wygojenia nóg, które miał odziębnięte, jak również do oporządzenia się i wytchnienia; po otrzymaniu zaś urlopów zdrowi do matki przybyliśmy.

K O N I E C.



4

74ST BR3

53-005-00

4740



Stanford University Libraries



3 6105 004 406 885

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

~~JUN 16 1998~~

~~JUN 16 1998~~